Piotr Lisiewicz
TAKIE STRZAŁY JESZCZE U NAS NIGDY NIE PADAŁY

Agnieszka Kowalczyk
HENRYK SIENKIEWICZ WŚRÓD LUDOŻERCÓW

#130 12/2016 NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 16 820
indeks 211060
#130 12/2016
ISSN 1895-4960

Siła Polonii w USA

Wielka Ameryka versus Rosja

Niepoprawny Mr. TRUMP

eprasa.pl 913 7612b50

TEMAT NUMERU ▼ 4–39

ilustracja Mariusz Troliński

Pożegnanie z „szemraną Hillary". Kto wybrał Trumpa? / 4

IDEE ▼ 40–49

fot. JIM LO SCALZO/PAP/EPA

Religijna kontrrewolucja / 40

HISTORIA ▼ 50–75

fot. arch. www.ksiadz-streich.org

Takie strzały jeszcze u nas nigdy nie padały / 50

KULTURA ▼ 76–81

fot. KEVIN DIETSCH/PAP/Newscom

Dla kogo świecą gwiazdy Ameryki / 76

ŚWIAT ▼ 82–96

fot. Stefan Czerniecki

Z jednej rewolucji w drugą / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU

Iwo Bender
Pożegnanie z „szemraną Hillary". Kto wybrał Trumpa? / 4

Z Danielem Pipesem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Jak znormalnieje, to impeachmentu nie będzie / 8

Z Hansem Pungiem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Doradcy Trumpa to ludzie z doświadczeniem / 10

Z Chrisem Jacksonem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Robili z niego potwora, Amerykanie tego nie kupili / 11

Konrad Wysocki
Złota dziesiątka kapitana Trumpa / 15

Ryszard Czarnecki
USA za kulisami / 18

Z Matthew Tyrmandem rozmawia Wojciech Mucha
„Wielka Ameryka" Trumpa będzie najlepszą przeciwwagą dla Rosji / 20

Z dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem rozmawia Wojciech Mucha
Sondaże nie zawiodły / 23

Antoni Rybczyński
Trump może zaskoczyć Putina / 26

Hanna Shen
Azjatyckie spojrzenie na Trumpa / 32

Jacek Liziniewicz
Psychoza strachu / 36

Maciej Kożuszek
Ann Coulter i śmiech pokonanych / 38

IDEE

Tomasz Terlikowski
Religijna kontrrewolucja / 40

Małgorzata Matuszak
TAK dla życia / 43

Roman Andrzej Stańczyk
Polskie drony najlepsze na świecie / 46

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Takie strzały jeszcze u nas nigdy nie padały / 50

Dariusz Jarosiński
Wyrok na Kresy / 56

Magdalena Złotnicka
Gwiazdy szczają na czerwono / 62

Agnieszka Kowalczyk
Sienkiewicz u ludożerców, czyli o „Listach z Afryki" / 68

Newt Gingrich
Wielki kryzys kompetencji / 74

KULTURA

Krzysztof Karnkowski
Dla kogo świecą gwiazdy Ameryki / 76

Jakub Kozłowski
Przerwane plany Leonarda Cohena / 80

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Z jednej rewolucji w drugą / 82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 90

oprac. Antoni Rybczyński
Świat Hillary / 92

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Nie marudzić, a działać
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Kim jest... człowiek
KATECHIZM INTELIGENTA 79

Olga Doleśniak-Harczuk
Berlin przedmurzem cywilizacji
Z GLOBALNEGO TYGLA 88

Ryszard Czarnecki
Polak na Tajwanie
CZARNECKO TO WIDZĘ 97

Marcin Wolski
W prawo, zwrot
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Siła Polonii
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

prasa.pl 9137619b

Katarzyna Gójska-Hejke

Nie marudzić, a działać

Musimy wywierać presję, domagać się spełnienia obietnicy, mówić o tym i dopingować naszych rodaków zza oceanu, by dobijali się do ludzi nowego prezydenta z żądaniem zaangażowania się w pomoc władzom Rzeczypospolitej w batalii o wyjaśnienie przyczyn śmierci naszej delegacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele.

Na finiszu kampanii wyborczej dzisiejszy amerykański prezydent elekt udzielił bardzo ważnego wywiadu polskiej telewizji publicznej. Wypowiedź Trumpa trafiła do polskiej opinii publicznej ze sporym opóźnieniem, bo właściciele materiału najwyraźniej nie wyczuli jego wagi. Mimo wszystko po wyborczym rozstrzygnięciu „Gazeta Polska Codziennie" doprowadziła do upublicznienia słów 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych, który zadeklarował, iż zrobi wszystko, co w jego mocy, by wesprzeć starania polskich władz o zwrot wraku rządowego Tu-154M niszczejącego na lotnisku Siewiernyj w Smoleńsku. Momentalnie w polskich mediach ruszyła lawina bagatelizowania wypowiedzi nowej głowy najpotężniejszego państwa świata. Dowiedzieliśmy się, że w kampanii Donald Trump mógł nam obiecać wszystko, iż takie deklaracje są funta kłaków warte, a w ogóle jest to człowiek kompletnie nieprzewidywalny, zatem nieważne co mówi. Słowa prezydenta elekta deprecjonowali nie tylko dziennikarze znani z propagowania kłamstwa smoleńskiego, lecz także, o dziwo, reprezentujący media – przynajmniej oficjalnie – utożsamiające się z potrzebą dotarcia do prawdy o straszliwym sobotnim poranku 10 kwietnia 2010 r. Jaką wagę ma zatem wypowiedź prezydenta Trumpa? Oczywiście dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy podejmie on zapowiedziane działania, ale bez wątpienia w interesie naszego kraju jest podbijanie jego słów, a nie ich podważanie. W polityce nawet przypadkowe wypowiedzi mogą uruchomić procesy, które wcześniej wydawały się mało prawdopodobne. Zatem przedwyborcza deklaracja dzisiejszego prezydenta elekta to wyzwanie i dla polskiej dyplomacji, i dla polskiej opinii publicznej, i amerykańskiej Polonii. Musimy wywierać presję, domagać się spełnienia obietnicy, mówić o tym i dopingować naszych rodaków zza oceanu, by dobijali się do ludzi nowego prezydenta z żądaniem zaangażowania się w pomoc władzom Rzeczypospolitej w batalii o wyjaśnienie przyczyn śmierci naszej delegacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Tym bardziej, że sygnały płynące z Ameryki dotyczące ewentualnej obsady kluczowych stanowisk w Białym Domu, mogą w nas budzić uzasadnione nadzieje. W otoczeniu Donalda Trumpa przeważają ludzie przychylni sprawom naszego kraju, a nie brakuje i takich, których po prostu możemy określić mianem przyjaciół sprawy Polski. To dla nas szansa, którą musimy w stu procentach wykorzystać, a nie tracić czas i energię na marudzenie, że i tak nic nam się nie uda. Wmawianie polskiej opinii publicznej, iż wiązanie nadziei ze słowami nowej amerykańskiej głowy państwa jest naiwnością, to prezent dla Kremla. ■

> Wmawianie polskiej opinii publicznej, że wiązanie nadziei ze słowami Donalda Trumpa, iż zrobi wszystko, by wesprzeć starania polskich władz o zwrot wraku rządowego Tu-154M niszczejącego na lotnisku Siewiernyj w Smoleńsku, jest naiwnością – to prezent dla Kremla.

eprasa.pl 9137619b50

Olga Doleśniak-Harczuk

W 2009 r. na tych łamach (jako jedyne do dziś polskie medium) rozmawialiśmy z dr. Walidem Pharesem, ekspertem do spraw terroryzmu i Bliskiego Wschodu. Rozmowa dotyczyła zagrożeń, jakie dla bezpieczeństwa świata stwarza islamski terroryzm, i tego, że przed Stanami Zjednoczonymi i Europą wyrasta kolejna rafa, o którą nasze państwa, systemy i wartości mogą się rozbić niczym drewniane szalupy. Ekspert nie omieszkał przy okazji podkreślić zasług Polaków w stabilizowaniu sytuacji w zapalnych rejonach globu. Stwierdził wtedy m.in.: „Wkład Polski w obronę wolności i demokracji w świecie jest niezbitym faktem. Stany Zjednoczone już wiele lat temu zdały sobie z tego sprawę. Rola Polski w Iraku, Afganistanie i w zwalczaniu globalnego terroryzmu uczyniła z niej jeden z filarów obrony przed totalitaryzmem dżihadu [...] Polacy doświadczyli w swojej historii ucisku i terroru, wiedzą, co to znaczy, i prawdopodobnie dlatego łatwiej im zrozumieć naturę zagrożenia ze strony fundamentalnych terrorystów, może nawet lepiej niż przedstawicielom innych krajów europejskich, którzy mieli swoje kolonie i imperia, a obecnie ustępują przed petro-dżihadem. W odróżnieniu od większości Amerykanów, Polacy instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo, są na nie bardziej wyczuleni. [...] Nawet jeżeli obecna administracja w Waszyngtonie planuje zmienić rolę Polski na polu stosunków międzynarodowych i odstąpić od przypisywania Polsce szczególnej roli w wojnie z terroryzmem, jest oczywistym, że amerykańska opinia publiczna i polskie skupiska w Stanach Zjednoczonych są zbyt przywiązane do historycznych relacji między obydwoma narodami, by dopuścić do takiej sytuacji".

Takie słowa padły z ust eksperta do spraw dżihadu, który dziś jest doradcą prezydenta elekta

Jak znormalnieje, to impeachmentu nie będzie

Wiele osób, republikanów nie wyłączając, będzie Trumpowi patrzeć na ręce. Jeżeli zdarzą mu się większe wpadki, jestem sobie w stanie wyobrazić koalicję dążącą do jego impeachmentu. Chyba że stanie się normalnym prezydentem, wsłuchującym się w głosy innych. W takiej sytuacji impeachment nie przejdzie – mówi **Daniel Pipes**, dyrektor Middle East Forum.

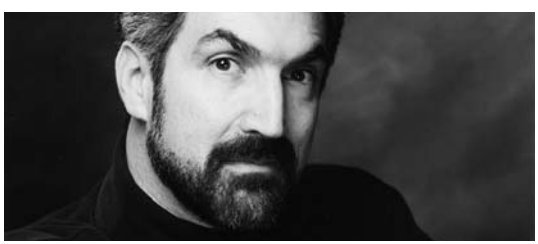

▶ Zaskoczyło Pana zwycięstwo Donalda Trumpa?

Z każdą kolejną chwilą [kampanii] czułem się coraz bardziej zdumiony tym, jak Trump rośnie w siłę. Do tej pory nie mogę otrząsnąć się z szoku. Dowiedziałem się przy okazji tych wyborów wiele nowego o moim własnym kraju i o republikanach. I to nie były dobre newsy.

▶ Dlaczego Trump wygrał i z drugiej strony – co zadecydowało o porażce Hillary Clinton?

Trumpowi udało się przekonać do siebie wiele osób, które zwykle oddawały swój głos na demokratów. Z drugiej strony, Hillary zabrakło, z ogólnie wiadomych powodów, wystarczającego poparcia. Była marną kandydatką, jej skorumpowanie, kłamstwa i słaba strategia w kampanii wyborczej zrobiły resztę. Zdobyła co prawda więcej głosów, ale nie w tych miejscach, co trzeba.

▶ W październiku wieszczył Pan, że nawet jak Trumpowi uda się wygrać, to szybko dojdzie do jego impeachmentu. Nadal Pan tak uważa?

Wiele osób, niektórych republikanów nie wyłączając, będzie mu patrzeć na ręce. Jeżeli zdarzą mu się większe wpadki, jestem sobie w stanie wyobrazić koalicję dążącą do jego impeachmentu. Chyba że stanie się normalnym prezydentem, wsłuchującym się w głosy innych. W takiej sytuacji impeachment nie przejdzie.

eprasa.pl 9137619b50

Donalda Trumpa do spraw Bliskiego Wschodu. Nawet zakładając, że nawiązanie do Polski było zręcznym zabiegiem, kurtuazją, dobrze wiedzieć, że nawet człowiek oddelegowany do tak z polskiego punktu widzenia dalekich (teoretycznie) zagadnień, jak sprawy Bliskiego Wschodu, ma świadomość, gdzie leży Polska i jak trudną, ale i wyjątkową ma historię. Jeżeli taki ktoś, jak Phares rozumie, kim jesteśmy, to co dopiero doradcy Trumpa oddelegowani na odcinek „wschodnio- i środkowoeuropejski"? Byle to była dobra wróżba, a nie mrzonka. Amerykańscy eksperci pytani przeze mnie o to, jak będzie wyglądała polityka zagraniczna Trumpa, reagują na razie powściągliwie, zwłaszcza pytania o możliwe scenariusze relacji z Rosją wprawiają ich w pewnego rodzaju zakłopotanie. Daniel Pipes, którego trudno zaliczyć do fanów Trumpa, skąpi komentarza, a jeżeli już się wypowie, to zazwyczaj dodaje wyjaśniająco, że „Trump jest nieobliczalny i wszystkiego można się po nim spodziewać". Hans Pung z RAND Europe nie przewiduje, by Trump podważył istotne znaczenie NATO (co wielokrotnie sugerowano w kampanii wyborczej), i uważa, że 45. prezydent USA dzięki swoim doradcom będzie doskonale poinformowany o sytuacji w naszym rejonie. Oby miał słuszność. Z Chrisem Jacksonem, działaczem ruchu Katolicy za Trumpem, rozmawiam o genezie sukcesu Trumpa i – czego nie da się oddzielić – porażki Hillary Clinton. Jackson to głos tej części Ameryki, która bardzo potrzebuje zmiany. Nadzieję już ma.

Oddajemy w Państwa ręce trzy rozmowy z Amerykanami, każda z nich ma inaczej rozłożone akcenty, myślę, że w pewnym sensie oddają one nastroje, jakie zagościły za oceanem po nominacji, która pół świata wprawiła w osłupienie, a pozostałych utwierdziła w przekonaniu, że Stany Zjednoczone to kraj nie tylko wielkich możliwości, lecz także wielkich niespodzianek.

▶ Dr Walid Phares, doradca prezydenta elekta do spraw Bliskiego Wschodu, zasygnalizował, że nowa administracja wystąpi m.in. o rewizję atomowego dealu z Iranem i uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela. Co będzie oznaczała prezydentura Trumpa dla polityki USA na Bliskim Wschodzie?

Na tak wczesnym etapie trudno powiedzieć, na ile znaczące są komentarze Pharesa. Prognoza dotycząca przyszłej polityki bliskowschodniej Donalda Trumpa, i w zasadzie każdej innej polityki w jego wydaniu, jest niemożliwa chociażby z uwagi na to, jak często zmienia on zdanie w różnych kwestiach.

▶ W 2008 r. zauważył Pan, że wówczas Barack Obama pierwszy telefon wykonał do Mahmouda Abbasa, a Trump jako prezydent elekt najpierw zadzwonił do Benjamina Netanyahu. To ważny sygnał dla Izraela?

I znowu dotykamy tego samego problemu – biorąc pod uwagę niestałość Trumpa i osób z jego otoczenia, prognozowanie jego posunięć w polityce zagranicznej jest z góry skazane na porażkę. Wolałbym się wstrzymać z oceną do czasu, aż poznamy więcej szczegółów.

▶ Myśli Pan, że Trump mógłby w swoim przyjaznym stosunku do Rosji prześcignąć autora resetu Baracka Obamę?

Zdaje się, że to możliwy wariant. Jednak, tak jak zaznaczyłem wcześniej, w przypadku Trumpa zmiana stanowiska może nastąpić w każdym momencie.

▶ A czy panika w Europie Zachodniej wywołana porażką Clinton jest uzasadniona?

Jak najbardziej. Trump jest niestałym w swych poglądach i rozgadanym narcyzem. I jego radosna twórczość nie zna granic. Chyba że odnajdzie się w byciu prezydentem i znormalnieje. Czas pokaże.

▶ Jakich zmian w samej Ameryce spodziewa się Pan po prezydenturze Trumpa, mówi się o „konserwatywnej rewolucji"...

Trump nie jest konserwatystą. Nie wypowiada się na temat wolności osobistej, ograniczenia władzy rządu, tradycyjnych wartości, silnej polityki zagranicznej czy innych pokrewnych tematów z konserwatywnego repertuaru. Nie wiemy, kim jest w sensie politycznym, i on sam również tego nie wie, ale cierpliwości, już niebawem wszystkiego się dowiemy. ■

Daniel Pipes – historyk, pisarz, komentator polityczny i dyrektor think tanku Middle East Forum. Absolwent Harvardu. Autor 16 książek. W kampanii wyborczej w 2008 r. był doradcą ubiegającego się wtedy o nominację republikanów Rudolpha Giulianiego.

fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

eprasa.pl 9137619b50

Doradcy Trumpa to ludzie z doświadczeniem

Prezydent elekt ma wokół siebie grono doradców z doświadczeniem wojskowym i dyplomatycznym. Spodziewam się po nich znajomości wszelkich zagadnień dotyczących bezpieczeństwa państw europejskich – mówi **Hans Pung**, dyrektor think tanku RAND Europe.

▶ Czego, w kontekście bezpieczeństwa Europy, mogą się spodziewać po administracji Donalda Trumpa państwa europejskie?

Spodziewam się dalszej presji z Waszyngtonu na te kraje, które do tej pory nie wypełniły zobowiązań dotyczących podwyższenia wydatków budżetowych na obronność. Europa i Stany Zjednoczone są sojusznikami i przyświecają im te same cele obronne, mają też żywotny interes w tym, by utrzymywać i zabezpieczać dobrze funkcjonujący porządek globalny – a najlepszą drogą do osiągnięcia tego celu jest współpraca. Tak więc spodziewam się po nowej administracji kontynuacji [w relacjach z europejskimi partnerami] dotychczasowej polityki USA, ale z dodatkowym założeniem, że niektóre z państw Starego Kontynentu powinny bardziej przyłożyć się do wzmocnienia potencjału własnego bezpieczeństwa.

▶ Prominentni politycy europejscy tuż po ogłoszeniu nominacji Donalda Trumpa wyrazili zaniepokojenie o przyszłe relacje NATO–Europa, przepowiadając, że nowy prezydent USA może zechcieć ograniczyć zaangażowanie USA w Europie. To uzasadnione lęki czy objaw przedwczesnej paniki?

Widać wyraźnie, że niektóre z komentarzy wypowiedziane przez prezydenta elekta w trakcie kampanii wyborczej mogły wywołać podobne obawy. Jednak trzeba pamiętać, że Stany Zjednoczone jako członek założyciel NATO mają swoje zobowiązania względem Europy. Europy silnej i bezpiecznej, a te zobowiązania mają uzasadnienie zarówno geopolityczne, jak i gospodarcze. Scenariusz, w którym Stany Zjednoczone opuszczają swoich sojuszników w NATO, jest mało prawdopodobny. Raczej będziemy mieć do czynienia z zachęcaniem do wzmocnienia i pewnego rodzaju próbą zreformowania organizacji przez wywieranie presji na europejskich partnerów, tak by zwiększyli swoje zaangażowanie militarne w ramach NATO. Dla wzmocnienia własnego bezpieczeństwa.

▶ Wracając do wypowiedzi Donalda Trumpa z czasu kampanii wyborczej, Trump powiedział wprost, że kto nie podniesie wydatków na obronność do poziomu 2 proc. PKB, ten nie może w razie zagrożenia liczyć na parasol ochronny USA. Polska przeznacza na obronność wymagane środki. Rozumiem, że w razie ataku z zewnątrz nie zostaniemy sami...

Artykuł 5. Traktatu Założycielskiego NATO zobowiązuje wszystkich członków do przyjścia z pomocą zaatakowanemu sojusznikowi. Stany Zjednoczone zawsze bardzo mocno podkreślały wagę obrony kolektywnej. Po atakach z 11 września 2011 r. na WTC koncepcja ta zresztą okazała się bardzo przydatna samym Stanom Zjednoczonym, kiedy potrzebowały wsparcia sojuszników. Bardzo bym się zdziwił, gdyby w przyszłości Stany Zjednoczone odstąpiły od zasady obrony kolektywnej i to w dodatku względem członków NATO, którzy spełniają ich wymagające warunki.

▶ Kilka miesięcy temu eksperci RAND Corporation wydali raport dotyczący Przesmyku Suwalskiego. Stwierdzono, że jest to najsłabszy punkt obrony NATO w Europie, porównano go nawet do niemieckiego Przesmyku Fulda[1]. W 2014 r. Rosja zajęła Krym, do dziś prowadzi wojnę na wschodzie Ukrainy, tutaj każdy scenariusz jest możliwy. Myśli Pan, że Donald

[1] W Przesmyku Fulda NATO podczas zimnej wojny przygotowywało się do hipotetycznych ataków sowieckich.

eprasa.pl 9137619b50

Trump i jego doradcy mają pełną świadomość naszego położenia?

Prezydent elekt ma wokół siebie grono doradców z doświadczeniem wojskowym i dyplomatycznym. Spodziewam się po nich znajomości wszelkich zagadnień dotyczących bezpieczeństwa państw europejskich. Pamiętajmy, że członkowie przejściowej administracji Trumpa otrzymają dostęp do oficjalnych sprawozdań armii i służby zagranicznej, co siłą rzeczy wzbogaci ich wiedzę również w takich kwestiach, jak aktualna sytuacja w Europie.

▶ Na początku 2017 r. w Polsce i na Litwie mają już stacjonować cztery batalionowe grupy bojowe. Dla nas to dobra wiadomość, ale pojawiły się głosy sceptyków sugerujących, że Trump może dogadać się z Moskwą i wycofać z planu wzmacniania wojskowego naszego regionu. Bierze Pan pod uwagę taką opcję?

Najważniejsza wiadomość jest taka, że podczas lipcowego szczytu państw NATO w Warszawie zapanowała zgoda co do potrzeby wzmocnienia potencjału militarnego wschodniej flanki. I nie sadzę, by Stany Zjednoczone miały się teraz wycofywać ze zobowiązań złożonych państwom członkowskim, byłbym w każdym razie taką decyzją bardzo zdumiony. Pamiętajmy, że na szczycie NATO również takie państwa, jak Kanada, Niemcy i Wielka Brytania obiecały zwiększyć swoją obecność na wschodniej flance i raczej się z tych planów nie wycofają.

▶ A jak Pana zdaniem ułożą się relacje administracji Trumpa z Moskwą?

To jest teraz najważniejsze pytanie, ale na odpowiedź przyjdzie nam jeszcze poczekać kilka tygodni, a może miesięcy. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja zasygnalizowały wolę „resetu", ale trzeba podkreślić, że ewentualny reset mógłby zaistnieć w kontekście innych już istniejących relacji i to w odniesieniu do obu stron. Stosunki panujące na linii USA–NATO–Europa będą tu miały zasadnicze znaczenie. ■

Hans Pung – dyrektor RAND Europe. Analityk, historyk, matematyk z dyplomem m.in. United States Military Academy at West Point, specjalista ds. bezpieczeństwa i obronności. Zanim w 2002 r. trafił do RAND, służył jako oficer w armii USA. Po zamachach z 11 września 2001 r. dowodził w Pentagonie zespołem reagowania kryzysowego.

Robili z niego potwora, Amerykanie tego nie kupili

Trumpa nie można kupić. A to dla nas dobra wiadomość, ponieważ już jego pozycja daje nadzieję, że na poważnie zajmie się przywracaniem normalności w Stanach. Nie zamierza gnębić chrześcijan czy forsować na siłę szkodliwych dla Ameryki projektów socjalnych – mówi **Chris Jackson**, publicysta i aktywista ruchu Catholics 4 Trump.

▶ Organizacja Catholics 4 Trump (Katolicy za Trumpem) od początku kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych podkreślała, że katolicy są moralnie zobligowani do poparcia Donalda Trumpa. Skąd ta determinacja?

Zainspirowała nas postawa papieża Piusa XII, który w 1948 r., w obliczu wyborów parlamentarnych we Włoszech, zobowiązał wszystkich włoskich katolików do głosowania wyłącznie na tego z kandydatów, który nie zagraża Kościołowi i promowanym przez Kościół wartościom. Włochy stały wtedy przed trudnym wyborem, władzę w państwie chcieli przejąć komuniści, Pius XII postanowił nie dopuścić do takiego scenariusza. Kandydatem opozycyjnym wobec komunistów był człowiek, któremu było daleko do świętości, ale zdaniem papieża stanowił realną opcję, by powstrzymać komunistów. W 2016 r. zmierzyliśmy się w Stanach Zjednoczonych z podobną sytuacją.

▶ Czyli doszukując się analogii, Hillary Clinton stała w Państwa przekonaniu w tej kampanii „tam, gdzie włoscy komuniści w 1948 r.", i trzeba było zrobić wszystko, by do jej prezydentury nie dopuścić?

Stawka w tych wyborach była faktycznie bardzo wysoka. Przede wszystkim, gdyby Clinton wygrała, uzyskałaby prawo powołania trzech, czterech sędziów Sądu Najwyższego, ludzie ci sprawują swój

eprasa.pl 9137619b50

urząd praktycznie dożywotnio, co w praktyce wiązałoby się z długofalowym, liczonym w generacjach, przechyłem naszego sądownictwa w lewą stronę. Tego nie dałoby się w żaden sposób naprawić. Od momentu, gdy lewica w Stanach Zjednoczonych zorientowała się, że społeczeństwo nie ma zamiaru głosować na jej radykalne programy społeczne, stara się je przeforsować na poziomie sądownictwa. Porażka Hillary Clinton oznacza w tym kontekście m.in., że tzw. prawo do aborcji nie zostanie na zawsze scementowane z amerykańską konstytucją. Wygrana Hillary oznaczałaby zaprzepaszczenie kilkudziesięciu lat walki środowisk pro-life o prawo do życia nienarodzonych. Wybór Trumpa natomiast stwarza niepowtarzalną szansę, by obalić decyzję Sądu Najwyższego z 1973 r., znaną w USA jako „sprawa Roe przeciwko Wade", gdy aborcja została uznana w Stanach Zjednoczonych za legalną. Zależy nam na tym, by kwestia aborcji stała się na powrót domeną prawa stanowego, a z tego, co nam wiadomo, na poziomie stanów obywatele są gotowi zaostrzyć prawo aborcyjne. A wracając jeszcze do tematu Sądu Najwyższego, w ostatnich latach przyjął on wyraźny, bardzo niepokojący kurs na ograniczenie praw chrześcijan. Clinton raczej by tego kursu nie odwróciła.

▶ W jaki sposób lewicowa inżynieria społeczna w Stanach Zjednoczonych gnębi katolików?

To dzieje się na różnych poziomach. Najpierw administracja Baracka Obamy usiłowała zmusić organizacje katolickie, takie jak Little Sisters of the Poor, by dokładać się finansowo do polityki kontroli urodzeń i środków poronnych. Następnie Sąd Najwyższy orzekł, że osoby tej samej płci mają konstytucyjne prawo do zawierania małżeństw. Zdarzało się potem, że cukiernik chrześcijanin, który odmówił upieczenia tortu ślubnego na wesele homoseksualistów, był pozywany, a katolickie ośrodki adopcyjne zamykano na cztery spusty za to, że sprzeciwiły się adopcji swoich wychowanków przez homoseksualne pary. To oczywiste, że gdyby Hillary Clinton wygrała wybory, to katolicy musieliby w pewnym momencie wybierać między dochowaniem wierności swojej wierze a łamaniem prawa, które stoi z nią w sprzeczności. Z nominacją Clinton do Białego Domu na ludzi wierzących przyszłyby ciężkie czasy. Nie jest wykluczone, że tzw. prawa dotyczące mowy nienawiści zostałyby skonstruowane w taki sposób, by wymazać z pierwszej poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych prawa chrześcijan.

▶ Poza Trumpem nikt inny nie spełniał oczekiwań ludzi wierzących?

Wiadomo było, że walkę o Biały Dom wygra jeden z dwóch kandydatów reprezentujących dwie najważniejsze partie polityczne. Oczywiście w wyborach kandydowali też politycy spoza głównego nurtu i na nich też można było zagłosować. Pytanie jednak, czy z punktu widzenia wyborcy katolickiego, który opowiada się za życiem i poszanowaniem praw chrześcijan, zagłosowanie na trzeciego kandydata, który i tak nie miałby szans na wygraną, nie byłoby zwykłym zmarnowaniem głosu. Stawka była zbyt wysoka, by ryzykować.

▶ Wybory bezlitośnie obnażyły zawodność sondaży, to Clinton miała wygrać, Trump co najwyżej miał tę kampanię urozmaicić. Jak Pan tłumaczy drastyczne rozbieżności między prognozami a ostatecznym rezultatem?

W wielu sondażach publikowanych w mediach w pewnym sensie podkręcano wskaźniki pod oczekiwania z 2008 i 2012 r., kiedy to wyborcy demokratów nadawali ton, a republikanie byli w defensywie. W tamtych wyborach to Barack Obama był siłą napędową kampanii, elektorat demokratów był w niego ślepo zapatrzony, w przeciwieństwie do wyborców głosujących na republikanów, którzy nie byli entuzjastami ani Johna McCaina, ani Mitta Romneya, i o żadnym zapatrzeniu nie mogło być mowy. Ten trend przełożył się potem na rozkład głosów. Wyborcy republikanów z braku „idealnego kandydata" odpuścili wybory, podczas gdy fani Obamy wykazali pełną mobilizację. Jeżeli w 2016 r. robi się sondaże według tych z 2008 i 2012 r., gdzie ani nie ma Obamy, ani demokraci nie są już tak silni jak w latach ubiegłych, to trudno się spodziewać, by odzwierciedlały one realne preferencje wyborców. Skończyło się na zawyżeniu słupków poparcia dla Hillary Clinton o 10, 12, a nawet 15 punktów procentowych. Tylko że zwolennicy demokratów nie pałali szczególną sympatią do Hillary, natomiast wyborcy republikanów, ale i na przykład część demokratów ze Środkowego Zachodu, poszli za Trumpem jak w dym. Generalnie Partia Republikańska fantastycznie się spisała. Jeśli spojrzymy na skalę poparcia dla GOP w 2012 i 2016 r., to to jest niebo a ziemia.

▶ Ale nie wszyscy dali się omamić sondażom.

Konserwatywni komentatorzy nieraz wytykali potężnym mediom, że ich sondaże są niemiarodajne, spotykały ich za te uwagi kpiny i publiczne poniżanie. I wtem nastąpiło wielkie zdumienie i wszyscy się do dziś głowią, jak mogło dojść do tak wielkich rozbieżności. A wystarczyłoby najzwyczajniej przyznać, że od początku robiono te sondaże pod tezę. A tezą była wygra-

eprasa.pl 9137619b50

na Hillary. Kiedy dziennikarze i komentatorzy polityczni kibicujący Clinton pojęli, że poparcie dla niej nie jest wcale tak pewne, jak sądzili, sondaże miały za zadanie zbić z tropu wyborców Trumpa, sprzedać im wersję, że stanowią margines i nie mają najmniejszych szans. Ta taktyka, jak wiadomo, zawiodła.

▶ A czym Hillary Clinton najbardziej naraziła się wyborcom o tradycyjnym, chrześcijańskim światopoglądzie?

Sporo tego było. Wiemy m.in. z depesz WikiLeaks, że w sztabie Clinton niepochlebnie wyrażano się o katolikach. W wewnętrznych mejlach przewijał się nawet pomysł „katolickiej wiosny", która miałaby doprowadzić do rewolucyjnego przejęcia kontroli nad Kościołem. Kolejną dla katolików bulwersującą kwestią były wątki okultystyczne związane z Johnem Podestą, szefem kampanii wyborczej Clinton. Miał on brać udział w okultystycznych rytuałach. Poza tym Hillary z pewnością nie przysłużyły się jej skandale korupcyjne oraz zaniedbania i kłamstwa dotyczące afery Benghazi, gdzie w 2012 r. w ataku terrorystycznym na konsulat USA zginęło czterech Amerykanów, w tym ambasador Stanów Zjednoczonych. Kolejna sprawa to jej stosunek do katolików pracujących fizycznie, zwłaszcza tych zamieszkujących Środkowy Zachód USA. Kiedy Bill Clinton podpisywał umowę NAFTA [Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu, porozumienie między USA, Kanadą i Meksykiem], wielu ludzi na Środkowym Zachodzie straciło swoje miejsca pracy. Clinton nawet nie podjęła próby, by dotrzeć do tych ludzi i z nimi porozmawiać. Podobny scenariusz dla wielu Amerykanów miałoby naszym zdaniem podpisanie TTIP [Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji], co Hillary uczyniłaby bez mrugnięcia okiem, nie pytając nikogo. Bo tak ma w zwyczaju działać. Podczas swojej kampanii wyborczej totalnie zignorowała ciężko pracujących Amerykanów, mało tego, górnikom z Wirginii Zachodniej zakomunikowała bez ogródek: „Wysadzimy z siodła wielu górników i firm wydobywczych!". I jeszcze była z tego dumna! I sprawa dla nas najważniejsza – Hillary jest zagorzałą zwolenniczką aborcji, w pewnym momencie stwierdziła nawet, że jak komuś przekonania religijne nie pozwalają na akceptację „prawa do aborcji", to należy takie przekonania zmienić. Clinton przyjęła Nagrodę imienia Margaret Sanger [założycielki Planned Parenthood] i wyraziła swój podziw dla jej dokonań. Mówimy o „dokonaniach" kobiety znanej ze swojej nienawiści do katolików, która otwarcie popierała eugenikę i przemawiała przed Ku Klux Klanem.

▶ Wielu polityków w Europie nie zostawiało w trakcie kampanii wyborczej w Stanach suchej nitki na Trumpie, a z mediów dowiadywaliśmy się, że jest kontrowersyjny i nieobliczalny, że nie ma programu etc. Jaki jest Donald Trump w oczach członków Pańskiej organizacji?

Trumpowi udało się przebić ze swoim przekazem przez czarny PR, jaki mu robiono w mediach. Niewielu kandydatów byłoby stać na coś podobnego, a jemu się powiodło. Media bardzo ciężko pracowały na wygraną Hillary Clinton, nawet nie starano się udawać obiektywizmu. Widząc to, Trump przyjął jedyną słuszną strategię: postawił na bezpośrednie spotkania z wyborcami, wyszedł do ludzi na wiecach, jego kontakt z nimi nie mógł więc być filtrowany przez medialną machinerię. Ponieważ każdy, kto był na spotkaniach z nim, wiedział, jak było naprawdę. Owszem, media próbowały wyrywać z kontekstu jego wypowiedzi i tak je sprzedać, by odstraszały wyborców. Tylko że Donald Trump nie jest potworem, jakiego usiłowano z niego zrobić. I media o tym doskonale wiedziały. Przez ostatnie dziesięciolecia Trump był osobą publiczną i przez ten cały czas nikt nie zarzucił mu rasizmu czy seksizmu. Tego typu oskarżenia padły dopiero w kampanii wyborczej, dziwne, prawda? Trump odnosi sukcesy w biznesie, jest typem pragmatyka i zależy mu na Amerykanach, ludzie to czują. Jego nie można kupić. A to dla nas dobra wiadomość, ponieważ już jego pozycja daje nadzieję, że na poważnie zajmie się przywracaniem normalności w Stanach i rozwiąże problemy, z którymi przez całe dekady nie mogli się uporać politycy goniący wyłącznie za własną karierą. Nie zamierza gnębić chrześcijan czy forsować na siłę szkodliwych dla Ameryki projektów socjalnych. Osiągnął sukces w życiu zawodowym i prywatnym, teraz będzie osiągał sukcesy jako prezydent naszego kraju. Dobrze czuć się dziś Amerykaninem, mając takiego prezydenta.

▶ Jakie macie gwarancje, że po przeprowadzce do Białego Domu Trump nie zapomni o wyborczych obietnicach, takich jak chociażby obcięcie czy nawet zlikwidowanie funduszy dla organizacji proaborcyjnych?

On to zrobi. Powołał specjalny, 30-osobowy zespół składający się z uznanych w środowisku pro-life działaczy katolickich. Wiceprezydent Mike Pence też jest za życiem, co dobrze rokuje. Szefową kampanii Trumpa była Kellyanne Conway, pierwsza kobieta sprawująca tę funkcję i która odnotowała w tej materii tak spektakularny sukces. Conway jest katoliczką. Katolikiem jest również najbliższy współpracownik

eprasa.pl 9137619b50

Trumpa, Steve Bannon. Oboje opowiadają się też po stronie środowisk pro-life. Sam Trump sporządził listę ponad 20 sędziów deklarujących swoje poparcie dla ochrony życia poczętego i to spośród nich wybierze nowych sędziów Sądu Najwyższego. Obiecał ponadto, że będzie stał na straży tzw. Hyde Amendment, regulacji prawnej, która nie zezwala na to, by pieniądze podatników płynęły na konta organizacji aborcyjnych. Jesteśmy pewni, że Trump dotrzyma słowa i zrealizuje te obietnice.

▶ Wróćmy jeszcze na chwilę do Hillary Clinton. Co zadecydowało o tak sromotnej porażce doświadczonej i „kutej na cztery nogi" polityk?

Powodów było wiele. Po pierwsze, Hillary była okropną kandydatką. Jej kariera polityczna to niekończące się pasmo skandali. Jako sekretarz stanu ponosi odpowiedzialność za zaniedbania w Konsulacie w Benghazi i śmierć czterech pracowników tej placówki. Jako sekretarz stanu dołożyła swoje pięć groszy do destabilizacji sytuacji na Bliskim Wschodzie, wyjątkowo niesmacznie żartowała na temat morderstwa Kadafiego w Libii. Jej fundacje są znane z korupcji, wiadomo, że w zamian za pieniądze od zagranicznych rządów oddawała im liczne przysługi. Amerykanie nie ufali Hillary. Nawet jej zwolennicy nie darzyli jej sympatią, większość z ludzi, którzy na nią oddali głos, zrobiła to wyłącznie po to, by nie dopuścić do zwycięstwa Trumpa. Zero entuzjazmu. Obama zostawił po sobie Amerykę bezrobotną i zranioną. Wielu ludzi nie ma pracy, ale o nich zapomniano. Trump ich odnalazł i podniósł na duchu, Hillary nie zadała sobie takiego trudu, bo dla niej ci ludzie nie istnieli. Afera mejlowa przelała szalę goryczy, nie mam co do tego wątpliwości.

▶ Amerykanie mieli dość i chcieli rozwalić system, a Trump pojawił się w samą porę?

Miliony właśnie tak myślały. Hillary nie doceniła Trumpa i poparcia, jakim zaczął się w pewnym momencie cieszyć. Administracja Obamy notorycznie ignorowała frustracje i lęki ogromnej grupy Amerykanów. Ta wściekłość potęgowała się z każdym rokiem, gdyż okazywało się, że republikańscy kongresmeni, na których konserwatywni wyborcy głosowali po to, by walczyli o ich prawa i stawiali czoła Obamie, najzwyczajniej zawiedli ich oczekiwania. To właśnie tę bazę Partii Republikańskiej zdołał porwać za sobą Trump, to dla tych ludzi jeździł od spotkania do spotkania. I przychodziły na nie tłumy. Media podważały związek między frekwencją na wiecach wyborczych a ewentualnym oddaniem głosu, ale nie wpadły na to, że jak ktoś był w stanie spędzić sześć godzin na wiecu Trumpa, to te kilka minut przy urnie wyborczej nie stanowiło większego wyzwania. Tak jak wspomniałem – media dopasowywały sondaże do swoich preferencji wyborczych, Hillary uwierzyła w te sondaże, nie przyszło jej do głowy, że może z Trumpem przegrać. I ona, i wspierające ją media żyli w bańce zafałszowanej rzeczywistości. 8 listopada Donald Trump przekuł ten balon.

▶ Balon przekuł, ale rozczarowani wyborcy Hillary wyszli na ulice. Kilka dni po ogłoszeniu nominacji Trumpa grupa protestujących przed hotelem miliardera w Pensylwanii trzymała w rękach transparent z hasłem „Zgwałcić Melanię" (żonę Trumpa). To już nie przypomina zwykłego protestu, ale jakiś seans zbiorowej agresji. Gdzie bije źródło tego szaleństwa?

Odpowiedź może się wydać zaskakująca, ale są podejrzenia, że jeden z cichych inspiratorów tych protestów przebywa poza Stanami Zjednoczonymi. Mamy w Stanach organizację MoveOn.org, która tak jak wiele innych lewackich środowisk w USA jest finansowana przez miliardera George'a Sorosa. Te organizacje płacą protestującym za to, że wychodzą na ulice. Te same środowiska, które wcześniej w otoczce anarchistyczno-komunistycznej dbały o frekwencję na protestach ruchu Occupy Wall Street i wiecach Black Lives Matters, dziś stoją za antytrumpowskimi demonstracjami. Wśród protestujących są studenci college'ów i lewicowcy, ale są to „protestujący z doskoku", na zamówienie. Manipuluje się nimi, wzbudza agresję, a sympatyzujące z nimi media nagłaśniają ich wyskoki. Nie tak dawno działający pod przykrywką aktywiści konserwatywnego Project Veritas zdemaskowali organizacje związane z demokratami, które naganiały na wiece Trumpa prowokatorów wszczynających burdy.

▶ Zamieszki szły na konto zwolenników Trumpa...

Robiono z nich agresywnych, nieobliczalnych ludzi. Media rozdmuchiwała te burdy, winiąc za nie wyborców Trumpa, ale kiedy któryś z nich został pobity za swoje poglądy polityczne, milczano. Hillary Clinton ani razu nie podjęła próby, by uspokoić sytuację. Raczej wykorzystywała te ewidentne manipulacje, by zdyskredytować kompetencje Trumpa jako potencjalnego prezydenta USA. Tyle że skutek był odwrotny. Amerykanie przejrzeli te podchody i poszli za Trumpem, zobaczyli w nim bowiem kogoś, kto może przywrócić w Stanach praworządność i porządek. I na to wszyscy liczymy. ■

eprasa.pl 9137619b50

Konrad Wysocki

Złota dziesiątka kapitana Trumpa

Choć do oficjalnego przejęcia władzy w Białym Domu przez Donalda Trumpa zostały prawie dwa miesiące, prezydent elekt Stanów Zjednoczonych po zwycięskiej bitwie z targaną aferami i skandalami kandydatką demokratów Hillary Clinton nie próżnuje i powoli rozpoczyna kompletowanie swojego gabinetu prezydenckiego. W większości będzie on składał się z osób, które wywindowały republikanina na 44. następcę Jerzego Waszyngtona – ojca amerykańskiego narodu

Kampanię wyborczą i zwycięstwo Donalda Trumpa 8 listopada tego roku w wyborach prezydenckich można porównać do ekskluzywnego jachtu, którym w latach 90. podróżował miliarder. Jacht zapierał dech w piersiach, łączył w sobie cechy tradycjonalizmu i nowoczesności, wielokrotnie gościł też przedstawicieli różnych środowisk społecznych. Zachowując terminologię morską, można stwierdzić, że wątła łódź pod banderą demokratów, której kapitanem była Hillary Clinton, nie miała szans na ostateczne zwycięstwo na falach wyborczego oceanu, który każdego dnia uderzał w demokratyczną burtę kolejnymi aferami i skandalami. Wspomnianego 8 listopada łódka demokratów, przepełniona wyświechtanymi hasłami wyborczymi, ostatecznie runęła na samo dno, a republikański jacht zacumował na najbliższe cztery lata w najbardziej prestiżowym miejscu w Stanach Zjednoczonych. Czymże byłby jednak kapitan bez dobrej załogi, której mrówcza praca u podstaw najczęściej przesądza o wyborczej wygranej. Kilka osób ze sztabu wyborczego Trumpa już trafiło do jego administracji, nominacje innych wydają się czystą formalnością. Poniżej prezentujemy listę dziewięciu polityków, którzy powinni mieć największy wpływ na przyszłą prezydenturę republikanina.

Mike Pence

– TWARDY NEGOCJATOR

Wiceprezydent elekt USA ma wraz z Donaldem Trumpem zmieniać Amerykę, „by znów była wielka". 57-letni polityk od 2013 r. do lipca tego roku był gubernatorem Indiany. Wcześniej przez wiele lat zasiadał w Kongresie USA. Dał się poznać jako polityk wrogo nastawiony do lewicowej ideologii i wierny konserwatywnym wartościom. Podobnie jak Donald Trump Pence nie wierzy w globalne ocieplenie i uważa, że jest to wymysł pewnych środowisk, które chcą zbić na tym kapitał. Jako gubernator Indiany doprowadził do największego w historii tego stanu obcięcia podatków, czym podpadł wielu środowiskom liberalno-lewicowym. Mike Pence popiera politykę zewnętrzną Izraela i przekonuje o utrzymaniu twardego kursu wobec Rosji. Nowy wiceprezydent może mieć również kluczowy głos w kształtowaniu polityki USA z innymi krajami. Od ogłoszenia wyników wyborów prezydenckich wraz z Donaldem Trumpem odbył kilkadziesiąt rozmów telefonicznych z przywódcami wielu państw. Jak wielokrotnie deklarował publicznie, energię do stawania przed nowymi wyzwaniami i obowiązkami czerpie z głębokiej wiary.

Newt Gingrich

– WIELKI SYMPATYK POLAKÓW

Były szef Izby Reprezentantów (1995–1999) podobnie jak Donald Trump wielokrotnie pochlebnie wypowiadał się o Polsce, jej najważniejszych wydarzeniach i wybitnych Polakach, m.in. o św. Janie Pawle II. 73-letni republikanin był jednym z niewielu amerykańskich polityków, który po katastrofie smoleńskiej opublikował specjalne oświadczenie o wyrazach współczucia i łączeniu się w bólu ze wszystkimi Polakami po śmierci pary prezydenckiej oraz pozostałych ofiar. Również w 2010 r. ukazał się film pt. „9 dni, które zmieniły świat", którego współproducentem był Gingrich. Opowiada on o pierwszej pielgrzymce papieża Jana Pawła II do Polski, która według autorów obrazu była jednym z najważniejszych wydarzeń XX wieku, mającym wpływ na losy świata. W 2014 r. ukazał się kolejny film republikanina, zatytułowany „Miłosierdzie Boże. Kanonizacja Jana Pawła II", będący rozważaniem nad nauczaniem papieża Polaka. Oba tytuły, jak również wiele innych, których autorką jest także żona Newta, Callista, można kupić na spe-

eprasa.pl 9137619b50

cjalnej stronie internetowej prowadzonej przez polityka. Według amerykańskich mediów Newt Gingrich może zostać nowym sekretarzem stanu.

Rudolph Giuliani

– strażnik Nowego Jorku i nie tylko

Powiedzieć o byłym burmistrzu Nowego Jorku (1994–2001), że rządził tam twardą ręką, to za mało. Gdy 11 września 2001 r., za rządów Giulianiego doszło do zamachów terrorystycznych na nowojorskie wieże World Trade Center, polityk osobiście kierował akcją ratunkową, za co kilka miesięcy później otrzymał tytuł Człowieka Roku magazynu „Time". Jest uważany za polityka, który jako jeden z nielicznych poradził sobie z oczyszczeniem Nowego Jorku zarówno z drobnych, jak i zatwardziałych przestępców. 72-letni Giuliani od początku wspierał kampanię wyborczą Donalda Trumpa. Prywatnie obaj znają się i przyjaźnią od wielu lat. Przez ostatnie miesiące Giuliani doradzał Trumpowi m.in. w kwestiach bezpieczeństwa, zabierał głos na wielu wiecach wyborczych republikanów. Jak zaznaczył niedawno Newt Gingrich, Rudolph Giuliani to polityk, który „jeżeli chce jakieś stanowisko, to je dostaje". Najpoważniejszy konkurent Gingricha do objęcia funkcji sekretarza stanu.

Michael T. Flynn

– zagorzały wróg dżihadu

Desygnowany 17 listopada przez Trumpa na stanowisko prezydenckiego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego 58-letni były dyrektor wywiadu wojskowego (DIA) oraz wywiadu narodowego USA może mieć największy wpływ na politykę zewnętrzną Stanów Zjednoczonych. Flynn to niezwykle doświadczony wojskowy, którego analizy militarne pojawiały się w największych amerykańskich branżowych czasopismach. Ze względu na bogate doświadczenie, zdobyte w misjach w Iraku i Afganistanie, głos Michaela T. Flynna może okazać się kluczowy w kwestii dalszych działań US Army na Bliskim Wschodzie. Flynn określa walkę z islamskimi ekstremistami mianem wojny światowej i stanowczo sprzeciwia się wszelkim ustępstwom w operacjach zbrojnych przeciwko dżihadystom. Amerykańskie media szeroko cytują jedną z wypowiedzi generała, w której określił on muzułmanizm mianem ideologii politycznej, nastawionej na konfrontację z Zachodem. Nie wyklucza współpracy z Rosją w kwestii zażegnania ideologii dżihadu.

Stephen Bannon

– strateg z marynarską przeszłością

62-letni były redaktor naczelny (2012–2016) konserwatywnego portalu Breitbart.com został niemal zlinczowany przez amerykańskie środowiska lewicowe, gdy w sierpniu tego roku przyłączył się do sztabu wyborczego Donalda Trumpa. Jego były portal Breitbart również aktywnie włączył się w kampanię republikanów. Owocem współpracy było m.in. sfinansowanie przez serwis ekranizacji głośnej książki Petera Schweizera „Kasa Clintonów", opowiadającej o przekrętach finansowych fundacji kierowanej przez małżeństwo Clintonów. Kilka dni po wyborach Bannon jako jeden z pierwszych otrzymał nominację od Donalda Trumpa. Będzie sprawował funkcję głównego stratega i doradcy prezydenta. W przeszłości Stephen Bannon był m.in. oficerem marynarki wojennej, pracował także jako bankier. Postrzegany jako osoba nerwowa i pozbawiona cierpliwości.

Reince Priebus

– człowiek z grubym notesem

Sprawujący od 2011 r. funkcję przewodniczącego Republikańskiego Komitetu Narodowego (RNC) 44-letni Reince Priebus został mianowany nowym szefem personelu Białego Domu. Znawcy amerykańskiej sceny politycznej twierdzą, że w ten sposób polityk został nagrodzony za lojalność wobec Trumpa w czasie prawyborów u republikanów, kiedy to za cenę zerwania stosunków z partyjnym establishmentem dążył do scalenia całego środowiska konserwatystów wokół osoby Trumpa. Nie do przecenienia są również jego rozliczne kontakty polityczne i biznesowe oraz znajomość wewnątrzpartyjnych powiązań wśród republikanów. Ogółem związany z partią od szkoły średniej. W 2007 r. objął funkcję szefa republikanów w Wisconsin, zostając najmłodszą w historii osobą piastującą tego typu stanowisku.

eprasa.pl 9137619b50

Peter Thiel
– jak miliarder miliarderowi

Amerykański biznesmen niemieckiego pochodzenia wie, jak sukcesywnie mnożyć pieniądze. W 1998 r. zainwestował kilkaset tysięcy dolarów w system płatności PayPal, by po kilku latach sprzedać swoje udziały za kilkadziesiąt razy większą kwotę. Podobny manewr zastosował z udziałami w serwisie Facebook, dzięki czemu bardzo szybko przerodził się z milionera w miliardera. Nie dziwi więc fakt, że biznesmen przeznaczył ponad milion dolarów na kampanię wyborczą Trumpa. W jej trakcie doradzał kandydatowi republikanów w takich sprawach, jak m.in. kwestie społeczne. Sam lansuje pogląd, że państwo powinno być jak najmniej obecne w życiu publicznym. Jako biznesmen myśli efektywnie, dlatego sprzeciwia się marnotrawieniu rządowych pieniędzy, np. na wieloletnie konflikty zbrojne, nieprzynoszące wymiernych efektów. Swego czasu głośno zrobiło się o rzekomych homoseksualnych preferencjach Thiela, jednak on sam nigdy nie odniósł się do tych zarzutów. Prywatnie 49-letni biznesmen jest wielkim fanem szachów, wspiera również wiele organizacji charytatywnych. W administracji Donalda Trumpa może pozostać jednym z jego najważniejszych doradców do spraw finansowych.

Mitt Romney
– wrogów trzymać przy sobie

Wśród osób, które mogą zyskać po zwycięstwie Donalda Trumpa, nieoczekiwanie znalazł się... jeden z jego największych krytyków. Jeszcze nie tak dawno były gubernator Massachusetts (2003–2007), charakteryzując Donalda Trumpa, używał takich określeń, jak „oszust", „krętacz" czy „naciągacz". Jak wieszczą media za oceanem, kandydat republikanów w wyborach prezydenckich z 2012 r. może objąć jedną z intratnych posad w prezydenckiej administracji, np. sekretarza stanu. W kontekście polityki zagranicznej 69-letni Romney nie szczędzi krytyki pod adresem Władimira Putina za neoimperializm Rosji. Jednocześnie jest uważany za polityka, który w umiarkowany sposób podchodziłby do dyplomacji z kluczowymi partnerami Stanów Zjednoczonych.

fot. Wikipedia

Gen. James Mattis
– „Wściekły Pies" obronności

Mianowany 20 listopada przez Donalda Trumpa na stanowisko sekretarza obrony USA gen. Mattis to osoba uważana za oceanem za wybitnego stratega wojskowego, która jest w stanie przewidzieć każdy scenariusz na polu walki. Podczas swojej wieloletniej służby, m.in. w Korpusie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, 66-letni wojskowy znany był z bardzo ostrego języka, dzięki czemu zyskał przydomek „Wściekły Pies". Od listopada 2007 r. do września 2009 r. sprawował funkcję dowódcy Sił Sojuszniczych NATO ds. transformacji (ACT). Niemal równocześnie, bo od 2007 do 2010 r., był także szefem Połączonego Dowództwa Sił Zbrojnych USA (USJFCOM). Kawaler wielu amerykańskich odznaczeń wojskowych. Dla służby poświęcił swoje życie prywatne.

Kelly Ayotte
– nadzieja w oczach Kijowa

Na koniec warto poświęcić kilka słów kobiecie, która przebojem może wedrzeć się na prezydenckie salony. Mowa o 48-letniej Kelly Ayotte, senator Stanów Zjednoczonych z New Hampshire, którą wymienia się w gronie faworytek do objęcia funkcji m.in. prezydenckiego doradcy ds. sił zbrojnych. W swoich wystąpieniach (również na terenie Ukrainy) i publikacjach Ayotte wielokrotnie podkreślała, że Stany Zjednoczone muszą skutecznie dozbroić Kijów w walce z rosyjskim okupantem. Wcześniej nawoływała ustępującego prezydenta Baracka Obamę do podjęcia stosownej decyzji w tej sprawie. Co ważne, senator z New Hampshire ubył jeden z głównych konkurentów w wyścigu o funkcję doradczą. Mowa o Jeffie Sessionsie, senatorze z Alabamy, którego 18 listopada tego roku Donald Trump desygnował na stanowisko prokuratora generalnego. Tego samego dnia nowym szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) został Mike Pompeo, członek Izby Reprezentantów.

***

W ostatnich dniach listopada w amerykańskich mediach przewinęło się również wiele innych nazwisk ewentualnych przyszłych członków administracji Donalda Trumpa. Dziennikarze wskazywali m.in. na Stevena Mnuchina jako przyszłego sekretarza skarbu, Sarah Palin jako nową sekretarz zasobów wewnętrznych czy Victorię A. Lipnic, która miałaby objąć funkcję sekretarza pracy. ■

eprasa.pl 9137619b50

Ryszard Czarnecki

USA za kulisami

Kulisy powstawania gabinetu 45. prezydenta USA są pasjonujące. Jednak dziś na 100 procent można powiedzieć dwie rzeczy: po pierwsze, będzie nim kierował Donald J. Trump; po drugie, jego większość stanowić będą politycy dojrzali albo bardzo dojrzali.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zakończyła się najdroższa i najostrzejsza kampania w dziejach USA, a zatem demokratycznego świata. Oczywiście możemy wyliczać na pęczki kraje, gdzie podczas kampanii przed wyborami parlamentarnymi czy prezydenckimi dochodziło do zamachów i ginęły dziesiątki ludzi. Ale państwa takie trudno uznać za demokratyczne.

Orkiestra medialna grała na jedną nutę. Hillary Diane Rodham Clinton miała być mesjaszem demokratów, który przeprowadzi amerykańskie elity (i przy okazji naród) przez Morze Czerwone populizmu, seksizmu, rasizmu etc. Donalda Trumpa. Tyle że mesjasz Hillary zatonęła w trakcie.

Szok wielu ludzi w Stanach, Europie, Polsce wynikał z tego, że kupili globalną medialną narrację, że na pewno wygra była sekretarz stanu w pierwszym gabinecie Baracka Husseina Obamy. Nic dziwnego, gdy chłonęło się amerykańskie media. Tuż przed klęską Clinton „Newsweek" (oczywiście ten wydawany w USA) z datą... 11 listopada 2016 r. ogłaszał światu: „Prezydencka kampania Donalda Trumpa zmierza ku czemuś, co wydaje się być katastroficzną porażką, politycy obu partii parskają śmiechem, że kariery doradców i strategów Trumpa legły w gruzach".

Od Trumana i Deweya do Busha jr. i Gore'a

Oczywiście za wielką wodą zdarzały się już wyniki, które kompletnie zaskakiwały amerykańskie media. W 1948 r. poważny dziennik „Chicago Tribune" ogłosił zwycięzcą wyborów prezydenckich nie tego, który wygrał, czyli demokratę Harry'ego Trumana, lecz tego, który przegrał republikanina Thomasa Deweya. Minęło pół wieku i amerykańskie telewizje pokazały, że żyją w wirtualu, gdy zupełnie bezkrytycznie przed ósmą wieczorem czasu wschodniego ogłosiły, powołując się na exit polls (informacje zebrane od ludzi po wyjściu z lokali wyborczych), że kandydat demokratów Al Gore (wiceprezydent za Billa Clintona) wygrał na Florydzie, a więc w całym kraju. Tyle że o 2:30 w nocy, po policzeniu 65 proc. głosów odszczekały wiktorię Gore'a, ogłaszając zwycięstwo George'a W. Busha. To nie był jeszcze koniec farsy. Po dwóch kolejnych godzinach, o 4:30 nad ranem, zaprzestano trąbić o zwycięstwie Busha, ponieważ według wyliczeń amerykańskiej agencji Associated Press wyniki na Florydzie były zbyt zbliżone, aby je ogłosić, przesądzając triumf jednego kandydata. Pod wpływem telewizji właśnie Al Gore najpierw w nocy pogratulował Bushowi, a następnie rakiem wycofał się z gratulacji. Cała ta sytuacja, wraz z niezbyt sprawnie działającymi maszynami liczącymi głosy, spowodowała, że Florida, a szerzej USA, stały się pośmiewiskiem dla całego świata. W szyderstwach oczywiście przodowały rosyjskie media.

30 mln dolarów za... brak wpadki

Ale po 15 latach Amerykanie potrafili z tego globalnego obciachu wyciągnąć wnioski. Za kwotę 30 mln dolarów i dzięki pracy wykonanej przez 6 tys. statystyków, analityków, reporterów i ankieterów pytających wyborców po ich wyjściu z lokalu, na kogo głosowali, stworzono maszynerię, która oparła się na najbardziej skomplikowanym w historii wyborów modelu statystycznym. Od szóstej rano pierwsze tysiąc ankieterów indagowało wyborców w 933 miastach i miasteczkach różnych stanów. Przepytano 100 tys. (sic!) wyborców. Rezultaty połączono z wynikami 16 tys. telefonicznych wywiadów. Dodatkowo jeszcze Associated Press rozmieścił 4 tys. korespondentów w lokalach wyborczych w każdym z 50 stanów. Kompilacją wyników zajmowała się Edison Research, której wiceprezesem jest Amerykanin polskiego pochodzenia Joe Lensky. Tym razem uniknięto skandalu z 2000 r., gdy wpadki zaliczyły nie tylko lewicowo-liberalne CNN, ABC, NBC, CBS, lecz także prawicowa Fox News. Skądinąd nowe konsorcjum medialne utworzone przez tych pięć telewizji wraz ze wspomnianą już agencją AP National Election Poll, aby uniemożliwić przeciek danych przed godzinami największej oglądalności w dniu wyborów, utworzyło strefę kwarantanny, czyli dwa specjalne pomieszczenia w Waszyngtonie

eprasa.pl 9137619b50

i Nowym Jorku, gdzie nie wolno było używać telefonów, komputerów, iPadów, smartfonów i jakiejkolwiek technologii. Piszę o tej technicznej stronie ogłoszenia wyników wyborów w Ameryce (która była przyczyną chaosu na Florydzie A.D. 2000), bo to także tłumaczy nieprawdopodobną dramaturgię wtorkowej nocy z 8 na 9 listopada. Wtedy telewizje przezornie, w obawie przed falstartem, nie podawały przedwcześnie ostatecznych symulowanych wyników, choć coraz bardziej ściągnięte twarze amerykańskich dyplomatów na evencie zorganizowanym przez ambasadę USA w hotelu Westin w Warszawie wskazywały, że dzieje się coś dziwnego. To dlatego wielu ludzi na świecie kładło się spać z poczuciem, że oczywiście wygrała Clinton, by rano z przerażeniem albo radością dowiedzieć się, że zwycięzcą jest 70-letni miliarder.

Skądinąd podawane co chwilę cząstkowe wyniki w różnych stanach w oglądanej przeze mnie CNN, zliczanie ich i pokazywanie przewagi raz Clinton, raz Trumpa na Florydzie było o pierwszej, drugiej czy trzeciej w nocy czasu polskiego bardziej fascynujące niż ostatnie minuty dogrywki meczu koszykówki.

Kto w gabinecie Trumpa?

Ale to już historia. Warto znać te kulisy, bo może do obecnego poziomu amerykańskiej perfekcji w relacjonowaniu przeliczania głosów dojdziemy kiedyś również w Polsce. Teraz jednak liczy się amerykańska teraźniejszość wychylona w najbliższą przyszłość. Spekulacje odnośnie gabinetu Donalda Trumpa są doprawdy fascynujące. Kto zastąpi Toma Vilsacka na stanowisku sekretarza (amerykański odpowiednik europejskiego ministra) rolnictwa? Gubernator z Kansas Sam Brownback? Ten sam, który w 2012 i 2013 r. obniżył podatki od dochodów w swoim stanie, aby w ten sposób ożywić lokalną gospodarkę? Czy może szef Narodowej Rady Spółdzielni Rolniczych Chuck Conner (nie mylić z Chuckiem Connerem III, szefem Partii Demokratycznej w Maryland)? A może były gubernator Nebraski (to jeden z dwóch stanów USA, gdzie dzieli się stołki elektorów proporcjonalnie do ilości głosów, a więc nie obowiązuje zasada, że „zwycięzca bierze wszystko") Dave Heineman? A może były gubernator stanu Georgia Sonny Perdue? A może odpowiedzialny za rolnictwo w stanie Teksas Sid Miller?

Albo kto będzie następcą spotkanej przez mnie dopiero co w Kijowie sekretarz handlu Penny Pritzker, której korzenie sięgają mieszkającej tam niegdyś żydowskiej rodziny? Były gubernator Arkansas Mike Huckabee? Biznesmen i inwestor Wilbur Ross, który ma ego chyba niewiele mniejsze niż Trump, skoro w nazwie własnej firmy umieścił swoje nazwisko? A może Lew Eisenberg odpowiedzialny za zbieranie kampanijnych funduszy w Republican National Committee? A może były senator stanu Georgia David Perdue (zbieżność nazwisk z gubernatorem Perdue nieprzypadkowa – mieli wspólnych dziadków)?

Session czy Cotton? Giuliani czy Bolton?

Nie ukrywajmy jednak, że przy całym szacunku dla amerykańskiego handlu oraz rolnictwa (GMO!) bardziej nas, Polaków, interesuje, kto będzie sekretarzem (ministrem) obrony USA. Kto będzie zarządzał resortem, który liczy 25 tys. pracowników (sic!) i ma pod sobą prawie 2 mln żołnierzy i rezerwistów. Kto zawiadywać będzie ministerstwem, które pochłania jedną szóstą (!) federalnego budżetu. Czy następcą Ashtona B. Cartera będzie jeden z najbliższych współpracowników Trumpa od początku jego prezydenckiej kampanii, gdy miliarderowi dawano 1 proc. szans na wygraną, senator z Alabamy Jeff Session (poznałem go w Kongresie w 2015 r.)? A może senator z Arkansas Tom Cotton, dzielny weteran z Iraku i Afganistanu, który jako 39-latek został najmłodszym członkiem senatu? A może były senator z Missouri Jim Talent? Albo kongresmen z Kalifornii Duncan D. Hunter? A może konserwatywny jastrząb ustępująca senator New Hampshire Kelly Ayotte, jedna z prawdopodobnie tylko kilku kobiet w gabinecie Trumpa? A może słynny szef wywiadu wojskowego generał Michael Flynn oskarżany czasem o... zbyt prorosyjskie poglądy i występowanie w Russia Today? Czy doświadczony ekspert i doradca w zakresie bezpieczeństwa międzynarodowego Stephen Hadley?

A teraz cała plejada kandydatów na szefa MSZ, jakbyśmy to powiedzieli w Europie, czyli sekretarza stanu (no, akurat w Watykanie to... odpowiednik premiera). Listę otwiera ktoś, za kogo mocno trzymam kciuki (cóż, prywata!), czyli znajomy z konferencji w Waszyngtonie, Paryżu i Berlinie oraz eventów Partii Republikańskiej Rudolph W. Giuliani, niegdyś burmistrz Nowego Jorku oraz były (o czym się w ogóle nie pamięta) zastępca prokuratora generalnego USA. Następcą dzielnego kombatanta z Wietnamu, a dziś nieszczęsnego polityka Johna F. Kerry'ego może też być inny znajomy z kilku konferencji na dwóch kontynentach John Bolton, były ambasador USA przy ONZ. Jeden i drugi będą mieli opozycję ze strony ważnych republikanów w Kongresie, jak choćby wpływowego członka komisji spraw zagranicznych Senatu, uwodzącego republikańską młodzież, chodzącego w dżinsach i koszuli bez krawata senatora z Kentucky Randa Paula. A może też „czarny koń z Tennessee", czyli senator z tego stanu i szef senackiej komisji spraw zagranicznych Bob Corker?

Ciekawe, że Giuliani przymierzany jest także do funkcji prokuratora generalnego, choć w wywiadzie dla „Wall Street Journal" powiedział, że nie chce nim być. W kontekście tego stanowiska wymieniany jest też Jeff Session, jednocześnie „numer jeden" w rankingach kandydatów na sekretarza obrony.

Kulisy powstawania gabinetu 45. prezydenta USA są pasjonujące. Jednak dziś na 100 procent można powiedzieć dwie rzeczy: po pierwsze, będzie nim kierował Donald J. Trump; po drugie, jego większość stanowić będą politycy dojrzali albo bardzo dojrzali. I dobrze, bo to może nieco uspokoi światową histerię odnośnie do „niedoświadczonego" i „nieprzewidywalnego" nowego lokatora Białego Domu. ■

eprasa.pl 9137619b50

„Wielka Ameryka" Trumpa będzie najlepszą przeciwwagą dla Rosji

Nikt nie szanował Baracka Obamy. Nikt. To był najgorszy i najsłabszy prezydent w historii Stanów Zjednoczonych. Cały świat stał się przez niego bardziej antyamerykański – z **Matthew Tyrmandem,** ekonomistą i uczestnikiem kampanii wyborczej Donalda Trumpa, rozmawia **Wojciech Mucha**.

Matthew Tyrmand, syn Leopolda Tyrmanda, jest ekonomistą i publicystą. Razem z Marcinem Makowskim prowadzi w tygodniku „Do Rzeczy" rubrykę felietonową „Zły Tyrmand". W USA prowadzi organizację „Open the books", która kontroluje rządowe wydatki.

fot. Jakub Kamiński/PAP

▶ Czy jest Pan zdziwiony zwycięstwem Trumpa?

W żadnym wypadku. Wiedziałem od wielu miesięcy, że to tak się skończy. Wiedziałem to pomimo tego, że wielu ludzi, w tym sama Hillary Clinton, przekonywało, że bój z Donaldem Trumpem to będzie najłatwiejsza z przepraw.

▶ Niby skąd Pan to wiedział?

Wiedziałem, że Trump wygra, bo te wybory to był sprzeciw wobec obecnego establishmentu politycznego. Hillary Clinton pokonaliby i Trump, i Ted Cruz, i każdy polityk „niekarierowicz". Cały świat widział, jak była skorumpowana, jak zła, jak zawiodła Amerykę na tak wielu polach. Przewidywałem to, pisałem o tym w polskich mediach.

▶ Media w Stanach biją się w piersi. Nie przewidzieli tego, co się stanie. Nie sądzili, że zwycięstwo Trumpa jest możliwe.

Walczyli do końca. Walczyli tak mocno i tak zacięcie o zwycięstwo Clinton, bo wiedzieli, że mogą stracić wpływ na rzeczywistość. Media w USA były w jednym układzie z władzą, to trwało latami. Media wyznaczały polityków, politycy współpracowali z mediami i to trwało.

▶ I Trump w to wszedł.

Tak. Zaczął porozumiewać się z ludźmi bez pośrednictwa mediów – poprzez internet, media społecznościowe. Nie miał tej bariery niedostępności już na wejściu. Co więcej – wszedł jako outsider, po czym zmienił się w showmana. I główne media nie mogły go przemilczeć.

▶ No, ale czy musiały pokazywać to, co robi, gdzie jest?

eprasa.pl 9137619b50

Musiały, bo ludzie chcieli to widzieć, byli tym zainteresowani. I musiały pokazywać jego program, idee, słowa. Musiały znosić, gdy chłostał establishment, tę „klasę waszyngtońską". A on równocześnie bez ich pomocy porozumiewał się z ludźmi na przykład za pomocą Facebooka. I dlatego kłamali na jego temat. Kłamali nawet bardziej niż zwykle, bo się zwyczajnie bali. Ale ludzie odrzucili tę narrację.

▶ Dobrze, a co z przeciekami, e-mailami, hakerami? One uderzały w Clinton.

Oczywiście, są też inne czynniki, które odegrały rolę w wyborach. Tu mowa choćby o przeciekach z WikiLeaks. Nie sądzę jednak, by była to rosyjska robota. To raczej wewnętrzna sprawa Stanów.

▶ Co ma Pan na myśli?

Przecieki ze strony CIA, FBI czy NSA. My w ramach swojej działalności też swoje zrobiliśmy. Odkryliśmy na przykład, jak pewna kongresmenka z Chicago płaciła bezdomnym i niepełnosprawnym umysłowo, by szli na wiec Trumpa i wszczynali burdy, by potem na przykład CNN mogła pokazać, jak „Trump niszczy Amerykę".

▶ Czy Trump z kampanii i prezydent Trump to będzie ta sama osoba? Mówię o kontrowersjach wokół choćby budowy muru na granicy z Meksykiem czy zredefiniowania roli USA w Sojuszu Północnoatlantyckim.

I tak, i nie. Pewne rzeczy podnosi się w kampanii wyborczej do „wysokiego c", by zwrócić na nie uwagę, a potem realizuje się je w inny sposób. Więc tak – będzie na pewno jakaś bariera na granicy USA z Meksykiem. Będzie zmiana w polityce imigracyjnej, co jest zresztą bardzo dobrym posunięciem. Ta polityka przez lata była wykorzystywana przez lewicę w Stanach do sprowadzania ludzi i uzależniania ich od pomocy społecznej, *de facto* hodowania sobie elektoratu. Taka reforma jest bardzo potrzebna. Podobnie ekonomiczna i zagraniczna. Należy zmienić politykę wewnętrzną – odejść od „Obamacare" [ustawy o systemie opieki zdrowotnej, nakładającej ten obowiązek na wszystkich Amerykanów – red.]. Lista tych zaniechań i błędów jest bardzo długa. Kolejne problemy, z którymi trzeba się zmierzyć, to korupcja, korporalizacja, instytucjonalizacja prywatnych biznesów. To są rzeczy, o których zresztą ja też mówię. Ba! – krzyczę od lat.

▶ Powiedzmy coś o współpracownikach Trumpa. Kim jest brany pod uwagę jako jeden z najbliższych doradców prezydenta Steve Bannon, szef portalu Breitbart.com?

Świetny gość. Pochodzi z tzw. pracującej klasy średniej. Ma za sobą karierę w wojsku i na Wall Street. Pracował w Hollywood jako dokumentalista. Promował prawicę od zawsze.

▶ W mediach amerykańskiego „głównego nurtu" jest przedstawiany jako antysemita, szowinista, radykał. To najlżejsze określenia.

Bannon opowiadał się od zawsze za wielkim projektem prawicowej kontrrewolucji, także w sferze kultury. To jeden z ludzi, do których mam nieskrywany szacunek. Ma całkowicie kompleksową wiedzę, jeśli chodzi o politykę, historię i kulturę. Doskonale orientuje się w sprawach Europy, także Środowej i Wschodniej. Wie doskonale, że dziś toczy się bitwa o kształt świata zachodniego w związku z multikulturalizmem, poprawnością polityczną i relatywizmem kulturowym czy marksizmem kulturowym.

▶ Jaką odegrał rolę w kampanii wyborczej Trumpa?

Zasadniczą. Był strategiem.

▶ Czy jako główny doradca Trumpa wie cokolwiek o Polsce?

Oczywiście. On zdaje sobie sprawę z tego, że państwa Europy Środowej i Wschodniej – Polska, Czechy Słowacja Węgry, prawdopodobnie także państwa bałtyckie, są na pierwszej linii frontu. Że muszą znaleźć formułę funkcjonowania, że konieczna jest budowa Międzymorza. Bannon, a za jego sprawą również Trump, zdaje sobie sprawę z tego, jak chcą funkcjonować państwa, które wyrwały się spod jarzma komunizmu, że one odrzucają dyktat moskiewski i brukselski.

▶ Breitbart pisał o Polsce, również Pana piórem.

Tak. To tam pojawiały się najpoważniejsze informacje na temat Polski i całego regionu, pisane z prawicowego, konserwatywnego punktu widzenia. Cała reszta jest przesiąknięta punktem widzenia Anne Applebaum i Radosława Sikorskiego.

▶ No dobrze, a co z zarzutami wobec Bannona?

Te zarzuty są absurdalne. Ja sam zostałem nazwany antysemita, bo nie zgadzałem się z Anne Applebaum. Ja, który sam jestem Żydem.

▶ W Polsce obawy rodzi przyszła polityka Trumpa w stosunku do Rosji. Jest się czego bać?

Cóż, Trump wydaje się stać na stanowisku, by nie prowadzić wzmożonej polityki interwencji, jeśli można spróbować polityki rozmów.

▶ Izolacjonizm? Wycofanie?

eprasa.pl 9137619b50

To jest tak – nikt nie szanował Baracka Obamy. Nikt. To był najgorszy i najsłabszy prezydent w historii Stanów Zjednoczonych. Cały świat stał się przez niego bardziej antyamerykański. Skłócił nas z wieloma krajami na świecie, rozpętując konflikty, których nie zażegnał. Trump jest jego przeciwieństwem. To prawdziwy praktyk, wie, że biznes to wojna, polityka to wojna, dyplomacja to wojna. Wiedzą to Trump i Bannon. Oni chcą wielkiej Ameryki, a nic nie będzie lepszą przeciwwagą dla Rosji niż wielka Ameryka.

▶ Ale czy zdają sobie sprawę, czym jest dzisiejsza Rosja?

Oczywiście, i Trump chce zmienić to, co działo się za Obamy – politykę porzucania spraw, podążania za faktami dokonanymi, nie przewodzenia, a podążania w ogonie. Tak jak porzucono Krym, kiedy zaanektowała go Rosja. To był dla USA fakt dokonany, rzucony przez Moskwę. Trump chce zmienić to poprzez mocną politykę dyplomatyczną. To lider i tak będzie się zachowywać. Nie będzie polityki „podążania" i „porzucania", jak zrobił to Obama z Krymem czy choćby z Libią – zaskoczony pozostawił, porzucił.

▶ A kim są inni ludzie w otoczeniu nowego prezydenta?

Trump i Bannon to liderzy, generałowie. Wie o tym każdy, kto się z nimi spotkał. Ludzi z jego otoczenia nazywa się „Honey Badgers" [ang.– ratel miodożerny] – od drapieżnych zwierząt, które nie cofają się przed niczym, którzy pójdą po swoje niezależnie od wszystkiego. To także zawsze starałem się promować w Polsce – iść, niezależnie od wszystkiego. Dlatego postawiłem na tych ludzi, wiem, kim są i co za nimi stoi. Ręczę za nich.

▶ A co z generałem Michaelem Flynnem. Wiemy, że to były wojskowy, powiązany w jakiś sposób z Rosją, dziś desygnowany na doradcę ds. bezpieczeństwa USA. Tymczasem był stałym komentatorem Russia Today, na rocznicy tej stacji siedział w Moskwie obok samego Władimira Putina. Jak będą wyglądać te relacje z Rosją?

Poznałem generała Flynna, wielokrotnie z nim rozmawiałem. To kolejne przeciwieństwo Obamy. Człowiek, który patrzy na świat w szalenie realistyczny sposób.

▶ Czyli?

W sposób realistyczny patrzy na Rosję i Europę, a także na radykalny islam i kwestie imigracyjne. I nie sądzę, by Flynn choć przez moment pomyślał, że Rosja jest dla Stanów jakimś doskonałym partnerem do czegokolwiek. To typowy pozimnowojenny człowiek Pentagonu. To nie jest ktoś, kto pozwoli Rosji na dominację nad światem.

▶ A jednocześnie gości na antenie Russia Today.

Co do Russia Today – cóż, wielu moich znajomych ogląda Russia Today i uważają to za zwykły program telewizyjny. Są też tacy, którzy mają mnie za antysemitę, ponieważ publikuję w Breitbart. Jeśli Flynn twierdzi, że za pomocą Russia Today może docierać do innego odbiorcy – ma do tego prawo. To pragmatyk, a RT jest dla niego kolejną platformą do przekazu. Gdyby Flynn dał mi choć jeden powód, bym powiedział, że jest maskotką Putina – pierwszy bym to powiedział. Nigdy mi takiego powodu nie dał.

▶ Pytanie o rolę Polaków w sukcesie Trumpa. Czy to możliwe, że Polonia przeważyła szalę?

Tak. Pomysł, by skupić się na polskiej mniejszości, pojawiał się wielokrotnie w kampanii Trumpa. Pensylwania, Wisconsin, Michigan, Ohio. To tam Polacy zagłosowali i to mogło być czynnikiem, który przeważył szalę na jego korzyść. Wielu pracowników fizycznych, wśród których są Polacy, wniosło i wyniosło coś z kampanii. To oni zagłosowali na Donalda Trumpa.

▶ Czy Donald Trump może wycofać się z ustaleń szczytu NATO w Warszawie, mówiących o wzmocnieniu wschodniej flanki sojuszu?

Zdecydowanie nie. To jest człowiek honoru i na pewno tego nie zrobi. Prędzej będzie domagał się od krajów, które nie wypełniają swoich zobowiązań wobec Sojuszu, by zaczęły to robić.

▶ Słynne 2 proc. PKB na obronność?

Tak. Polska to czyni i Trump to wie. Wie i ceni, bo sytuacja, w której Ameryka *de facto* utrzymuje wielu członków NATO, nie jest w porządku. Jestem tego samego zdania.

▶ Rozumiem, że Trump nie chce, by Ameryka była policjantem świata?

Chodzi o to, by w ramach NATO powstała realna koalicja, która dzieli ryzyko i koszty. I Trump chce, by NATO było bardziej funkcjonalne. I by członkowie, którzy są nieefektywni i nie poczuwają się do współpracy, jak np. jak Portugalia czy Hiszpania, się nad tym zastanowili. Bo jeśli znajdą się w stanie zagrożenia, np. islamską inwazją, będą sami. Trump jest odpowiedzialny, bo w odpowiedzialny sposób chce podejść do pieniędzy, bo one nie rosną na drzewach, to są pieniądze amerykańskich podatników, trzeba je najpierw wypracować. ■

eprasa.pl 9137619b50

Dr Grzegorz Kostrzewa-Zorbas
jest pracownikiem naukowym Wojskowej Akademii Technicznej i publicystą tygodnika „wSieci".

fot. Tomasz Hamrat/Gazeta Polska

Sondaże nie zawiodły

Sondaże wyborcze w Stanach mierzą nastroje całego narodu politycznego. I dlatego prawie bez wyjątków pokazywały spodziewane zwycięstwo Clinton. Administracja Trumpa zacznie działać wbrew woli większości wyborców – z **dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem**, amerykanistą i politologiem, rozmawia **Wojciech Mucha**.

▶ Zdziwił Pana wynik wyborów?

Bardzo. A najlepszym uzasadnieniem tego zdziwienia jest wynik powszechnego głosowania. Półtora miliona głosów więcej dla Hillary Clinton.

▶ Co to oznacza?

Ogólna wymowa jest taka, że Hillary Clinton i Partia Demokratyczna przekonały więcej ludzi niż Trump i Partia Republikańska. Kennedy kilkanaście razy mniejszą różnicą w głosowaniu powszechnym wygrał z Nixonem.

▶ Czy Pana zdaniem świadczy to o słabości amerykańskiego systemu wyborczego? Że vox populi się nie liczy?

Oczywiście, że świadczy to o słabości systemu. On jest przestarzały. Jego obrońcy twierdzą, że to wynika z federalizmu, że „poszczególne stany wybierają". To nieprawda. Prezydenta wybiera jeden naród polityczny. Stany są reprezentowane w Senacie, w równym stopniu – każdy ma dwóch przedstawicieli. Nieważne, czy stan ma pół miliona, czy kilkadziesiąt milionów mieszkańców. Prezydent reprezentuje naród polityczny, ludzi – nie stany. Nie „my, narody", a „my, naród" – jak brzmi początek Konstytucji USA. A obecny system potrafi odwrócić wolę narodu politycznego. I rośnie poparcie, aby ten system zmienić.

▶ Z czego to wynika?

Z tego, że w ciągu 16 lat, czyli w pamięci jednego pokolenia, odwrócenie woli narodu politycznego zdarza się po raz drugi. Tak było już w 2000 roku. Wcześniej sądzono, że to zamknięty rozdział, bo poprzednie takie przypadki były w XIX wieku.

eprasa.pl 9137619b50

▶ No, ale wybory rozstrzygnęły się zgodnie z regułami.

Ale to nie zmienia faktu, że Trump nie porwał nawet względnej większości wyborców, nie uczynił ich swoimi zwolennikami. Zrobiła to Hillary Clinton. To wyraża przeważające nastroje społeczne i dążenia polityczne w Stanach Zjednoczonych.

▶ I to było mierzone w sondażach wyborczych, o których mówi się, że zawiodły?

Tak. Ponieważ sondaże wyborcze w Stanach mierzą nastroje całego narodu politycznego. I dlatego prawie bez wyjątków pokazywały spodziewane zwycięstwo Clinton. Bardziej szczegółowe modele, biorące pod uwagę różnice między stanami, i na tej podstawie przewidujące układ sił w kolegium elektorów, zawiodły. I to jest ciosem dla ich autorów – statystyków i matematyków. Ale sondaże nie zawiodły. To jest jednak już problem przeszłości. Ważne jest to, że administracja Trumpa zacznie działać wbrew woli większości wyborców.

▶ Powiedzmy słowo o tej administracji.

Przypuszczenia co do kluczowych stanowisk są na obecną chwilę bardzo mało warte. Liczą się fakty. Lepiej unikajmy spekulacji. Tempo wydarzeń jest zbyt duże, aby teraz o tym mówić.

▶ To powiedzmy o Polakach. Mówi się, że Polacy z Pensylwanii i z Florydy, którzy zazwyczaj głosują na demokratów, byli w tych wyborach języczkiem u wagi i przechylili szalę na rzecz Trumpa.

Oj, jedno krótkie zdanie, a tyle nieścisłości i uproszczeń. Po pierwsze, Polacy nie głosowali nigdy tylko za demokratami. Głosowali różnie. W większości na przykład za Ronaldem Reaganem. To zależało od złożonego zespołu motywacji. Antysowietyzm, antykomunizm, popieranie niepodległości Polski – to sprawiło, że Reagan dostał więcej głosów. Ale w czasie wojen światowych popularnością cieszył się Woodrow Wilson, a przed ujawnieniem ustaleń Jałty i Teheranu – Franklin Roosevelt. Demokraci mają zresztą większość poparcia Polonii w wyborach innych niż prezydenckich.

▶ Czym różnią się wybory prezydenckie?

W prezydenckich dużą rolę odgrywa polityka zagraniczna – stosunek do Polski, Rosji, innych mocarstw. Czynnik, który także zawsze działa, to ekonomia. Stara Polonia z powodów ekonomicznych, jako społeczność głównie „niebieskich kołnierzyków" – pracowników fizycznych i członków największych związków zawodowych, miała powód, aby głosować na demokratów. Tak się działo, gdy polityka zagraniczna nie decydowała. Trzeci czynnik to stosunek do społeczności imigracyjnych. Kiedyś Partia Republikańska uchodziła za bardziej proimigracyjną, od około 100 lat to demokraci są tak postrzegani.

▶ A kwestie obyczajowe? Polacy są konserwatywni, a do tego właśnie Trump zdaje się odwoływać.

To czwarty czynnik. Jest najsłabszy, ale zaostrzenie się sporów w tej dziedzinie może to zmienić. Polonia jest bardziej konserwatywna od reszty Amerykanów. To zresztą cechuje katolickie społeczności. Tak jest również z Latynosami – największą mniejszością.

▶ To skłania do głosowania na republikanów?

Tak, ale to jednak najsłabsza z motywacji. Długo o tym wszystkim mówię, ale nie da się zrozumieć zachowań wyborczych bez zrozumienia tych czynników.

▶ A co w takim razie z Pensylwanią i Florydą?

Wciąż jeszcze nie wiemy, jak tym razem głosowała Polonia. Fakt wiadomy od dawna to tylko to, że w Pensylwanii Polonia jest bardzo duża, na Florydzie mniejsza, ale tak – mogła rozstrzygnąć wybory. Tym bardziej Polonia mogła rozstrzygnąć wybory w innych niż Pensylwania stanach. Tych postindustrialnych, leżących na Środkowym Zachodzie – zwłaszcza Wisconsin i Michigan.

▶ Znanych z produkcji samochodów i skupiska przemysłu?

Owszem. Tam jest największe procentowo skupisko Polonii. To około 9 procent ogółu ludności. Tam Trump nieoczekiwanie wygrał, przy czym bardzo małą różnicą głosów. Co więcej, w Michigan do dziś [20 listopada – red.] nie ma oficjalnych wyników. To już jednak nie odwróci wyników wyborów, więc nikt nie poświęca temu uwagi. Jeśli jednak rzeczywiście Polonia zmieniła swoje preferencje, to tak – może zostać uznana za autora zwycięstwa Trumpa.

▶ Równocześnie w Stanach trwają protesty przeciwko wynikowi wyborów. Czy można je porównać z polskimi? Czy to taki amerykański Komitet Obrony Demokracji?

Nie można tego porównywać. Jest pewien sposób opisywania sporów o Polsce za pomocą przebierania Polski za inne kraje. To zresztą jest charakterystyczne dla krajów, gdzie długo istniała cenzura. Takie zjawisko wybuchło teraz – spór o Polskę w przebraniu amerykańskim z długą listą rzekomych tożsamości.

▶ Że niby republikanie to tak jak PiS?

Tak. A Trump to – tu porównujący wciąż się wahają – Andrzej Duda albo Jarosław Kaczyński. Że KOD to Partia Demokratyczna, a demonstracje przeciw Trumpowi to jak demonstracje przeciw PiS.

eprasa.pl 9137619b50

▶ Nie podziela Pan takiej opinii?

To tylko środek retoryczny do wewnętrznej walki politycznej i polemik publicystów. Powstrzymam się od oceny tego. Jestem amerykanistą i to Amerykę jestem w stanie diagnozować.

▶ To proszę w takim razie zdiagnozować: czy USA mogą wycofać się z zaangażowania w naszym regionie?

Trump to zapowiadał w momencie, kiedy uznał NATO za „przestarzałe". To nie są wydumane obawy, to byłoby poważne traktowanie zapowiedzi wyborczych. Ludzie w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej liczą, że Trump złamie te obietnice, że jest kłamcą, że oszukał wyborców.

▶ Wielu tak mówi. Że się zmieni.

To nieładnie tak liczyć, że wybrany prezydent oszuka własny elektorat. Ja bym na cudowne przemienienie Trumpa w Ronalda Reagana nie liczył.

▶ To co powinniśmy robić?

Żądać, aby oficjalnie powtórzył zobowiązania podjęte przez szczyty NATO – w tym warszawski. Jednocześnie należy zwiększać autonomię polityczną i militarną Europy w organizacjach i gronach państw, w których mamy udział w procesie decyzyjnym. Polska współdecyduje o polityce Unii Europejskiej, ma głos w gronie europejskich członków NATO, które to państwa stanowią ważną grupę wewnątrz Sojuszu. Polska powinna dążyć do zwiększania europejskiego potencjału wojskowego i politycznego i brać w nim udział. Powinno objąć to własne odstraszanie nuklearne. Bez tego nikt nie jest poważnym graczem w świecie.

▶ Proszę powiedzieć wprost: czy istnieje zagrożenie, że Trump wycofa się z ustaleń warszawskiego szczytu NATO?

Tak. Istnieje takie zagrożenie.

▶ To mnie Pan nie pocieszył. Słyszeliśmy, że takiego zagrożenia nie ma, bo prezydent będzie kontrowany przez kongres, senat i Pentagon, że pieniądze są już przeznaczone, że budżet wygenerował...

Kongres nie prowadzi polityki zagranicznej, a tylko nakłada na nią ograniczenia, na przykład za pomocą ustaw budżetowych. Prezydent ma sposoby obejścia tych ograniczeń. Nawet najwyższego urzędnika może mianować bez zgody Senatu – podczas ferii parlamentarnych. Może zawierać „umowy rządowe", niebędące traktatami z punktu widzenia prawa USA, ale mające nawet status zobowiązań sojuszniczych. Takie umowy Kongres dostaje jedynie do wiadomości. Prezydent może bez ograniczeń wypowiadać traktaty, nawet te, na które zgodził się Senat. Jest suwerenny.

▶ A przyznane już pieniądze?

Najmocniejsze są ograniczenia finansowe. Prezydent nie może wydać pieniędzy, których Kongres mu nie da, ale Kongres nie może zmusić prezydenta do wydania pieniędzy. Co więcej, prezydent może odmówić wydania pieniędzy na cel – na przykład wojskowy – mimo że Kongres je przyznał.

▶ Czyli teoretycznie Trump może odmówić wydania pieniędzy, które Kongres przeznaczył na wzmocnienie wschodniej flanki NATO.

Tak. Prezydent ma jeszcze inne uprawnienia w zakresie kontroli establishmentu wojskowego, dyplomatycznego i wspólnoty wywiadowczej.

▶ Co to takiego?

To trzy największe części machiny amerykańskiej władzy wykonawczej do spraw polityki zewnętrznej. Mogą łagodzić jego „rewolucję". Ale ich narzędzia są dużo słabsze, bo wszystkie podlegają władzy prezydenta. I tak prezydent może Pentagonowi wydawać rozkazy. Podobnie wspólnocie wywiadowczej. O ile na powołanie każdego dowódcy musi się zgodzić senat, to już nie na odwołanie dowolnego dowódcy. Nawet przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów [szef najwyższego organu wojskowego amerykańskich sił zbrojnych, podlegający Sekretarzowi Obrony – red.] może prezydent odwołać sam. Ale znów – może także sam mianować nowego podczas przerwy prac senatu.

▶ Czyli establishment może starać się przekonywać prezydenta, ale nie ma żadnej prawdziwej władzy, aby go powstrzymywać?

Dokładnie. Skuteczność establishmentu przeciwko ewentualnej rewolucji w NATO i w całym amerykańskim systemie sojuszy – lub w światowym systemie handlowym i finansowym, co do których Trump też zapowiadał radykalne zmiany – może być nikła.

▶ Żadna?

Może nie żadna, ale drugorzędna. Jeżeli Trump podtrzyma swoje stanowisko z kampanii wyborczej, mówiące o rewolucji w NATO i systemie sojuszy na świecie – też w Azji, na Dalekim i Bliskim Wschodzie, i w obu Amerykach – i jeżeli uzna to za swój priorytet, to nic go nie powstrzyma. ■

eprasa.pl 9137619b50

„Putin jest macho, Trump też jest macho. To może być problem".

Siergiej Markow, prokremlowski analityk

Antoni Rybczyński

Trump może zaskoczyć Putina

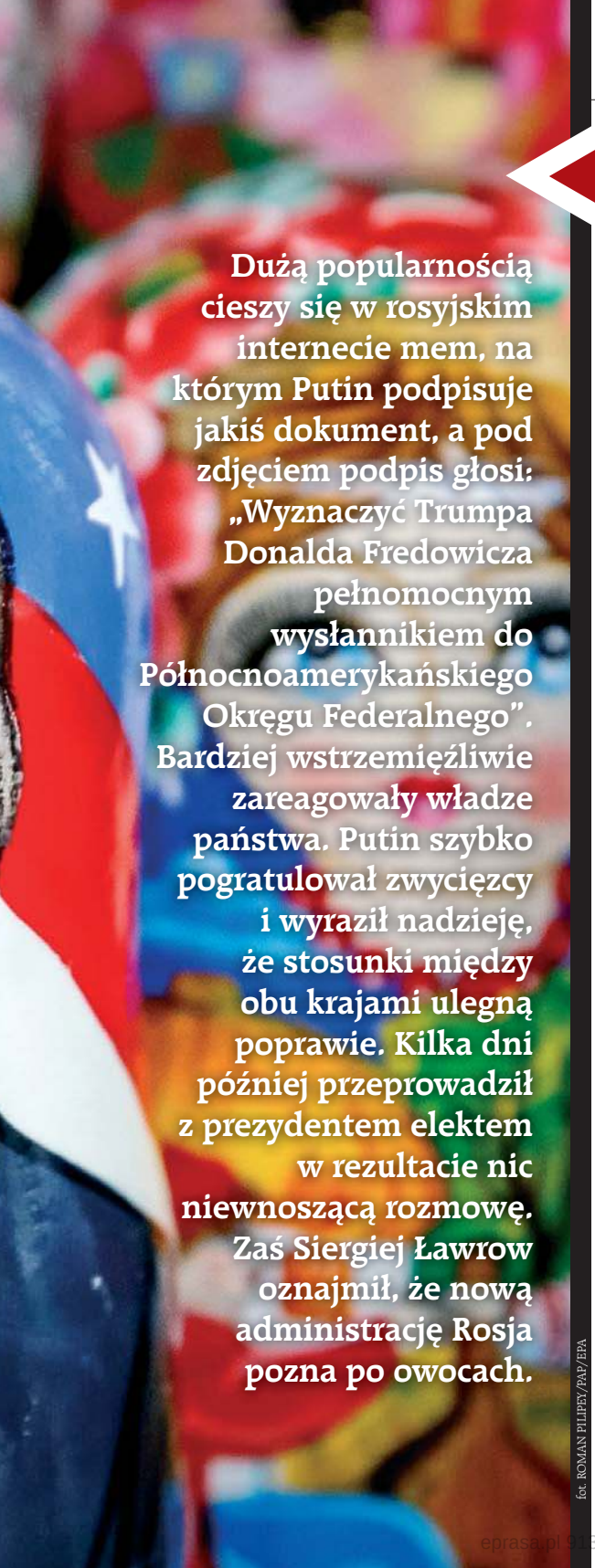

Dużą popularnością cieszy się w rosyjskim internecie mem, na którym Putin podpisuje jakiś dokument, a pod zdjęciem podpis głosi: „Wyznaczyć Trumpa Donalda Fredowicza pełnomocnym wysłannikiem do Północnoamerykańskiego Okręgu Federalnego". Bardziej wstrzemięźliwie zareagowały władze państwa. Putin szybko pogratulował zwycięzcy i wyraził nadzieję, że stosunki między obu krajami ulegną poprawie. Kilka dni później przeprowadził z prezydentem elektem w rezultacie nic niewnoszącą rozmowę. Zaś Siergiej Ławrow oznajmił, że nową administrację Rosja pozna po owocach.

fot. ROMAN PILIPEY/PAP/EPA

Lipiec 1987 r., obowiązującą ideologią w Związku Sowieckim wciąż jest komunizm, ale idzie ku zmianom. Do Moskwy przyjeżdża Donald Trump. Zatrzymuje się w National Hotelu, w „pokoju Lenina". Ma konkretną ofertę: budowy luksusowego hotelu w centrum Moskwy. Nie dogaduje się z władzami. Grudzień 1996 r., władze Moskwy informują, że prowadzą z Trumpem rozmowy w sprawie odbudowy hoteli Rossija i Moskwa. Projekty warte w sumie 300 mln dolarów. Do porozumienia jednak mnie dochodzi. Czerwiec 2008 r., syn Trumpa chce w Moskwie budować luksusowy hotel. Znów fiasko. Listopad 2013 r., do Moskwy przybywa sam miliarder. Marzy o drapaczu chmur w stolicy Rosji i spotkaniu z prezydentem Putinem. Putin odwołuje spotkanie, projekt także upada. Jak widać, doświadczenia Trumpa z rosyjskim rynkiem nieruchomości do najmilszych nie należą. Jeśli jest więc tak, jak twierdzi wielu, iż dla nowego prezydenta USA prowadzenie polityki jest nieco inną wersją prowadzenia biznesu, to po nowej ekipie w Białym Domu można oczekiwać nie entuzjazmu, a raczej ostrożności i dystansu wobec Rosji.

Twardziel w Białym Domu

Sensacyjna wieść zza oceanu dotarła na salę Dumy akurat w czasie obrad plenarnych. „Koledzy, trzy minuty temu Hillary Clinton uznała swą porażkę w wyborach prezydenckich, sekundę temu Trump rozpoczął swoje przemówienie jako prezydent elekt Stanów Zjednoczonych" – te słowa wnuka Wiaczesława Mołotowa, Wiaczesława Nikonowa, deputowani przyjęli burzą oklasków. Władimir Żyrinowski otworzył zaś szampana. „Problemy w Syrii i na Ukrainie zostaną rozwiązane i wszystko będzie dobrze" – cieszył się enfant terrible rosyjskiej polityki. Znany z bezpardonowych ataków na wszystko, co amerykańskie, Aleksiej Puszkow zatweetował, że reset stosunków rosyjsko-amerykańskich jest teraz „nieunikniony". Znów pojawiły się twierdzenia, jakoby relacje z USA były zawsze lepsze, gdy w Waszyngtonie rządzi republikanin.

Wielu zachodnich, skądinąd niezłych, ekspertów od Rosji, jak choćby Edward Lucas, już wie. Analizują (choć może to nieodpowiednie słowo) przyszłą politykę Trumpa wobec Moskwy w całkowitym ideologicznym zaślepieniu. Można wręcz odnieść wrażenie, że gdyby Trump w kampanii był ostro antyrosyjski, to teraz by go atakowali właśnie za to. Wbrew temu, co głoszą od dawna przeciwnicy Trumpa, nowy prezydent USA nie będzie żadnym wasalem Putina. Nie będzie niczyim wasa-

eprasa.pl 9137619b50

lem. „Nie jest zbyt doświadczony, więc będzie nieprzewidywalny. Ma potężne superego i może stać się zakładnikiem własnej obietnicy, że będzie spoko gościem, nawet bardziej spoko niż Putin. Bo to za to chwali Putina, nie za politykę, ale za to, że jest spoko gościem. Więc martwię się, że Trump zamierza stale próbować udowadniać, że jest spoko gościem" – ostrzega Siergiej Markow, od wielu lat analityk bliski Kremlowi. Co to oznacza w praktyce? Na przykład taką sytuację, że gdy rosyjski myśliwiec zacznie prowokować niebezpiecznie niskimi przelotami jakiś amerykański okręt, ten po prostu go zestrzeli. Bo skoro chodzi o to, żeby być nie mniej twardym facetem niż Putin, a nawet twardszym – wszak Trump nienawidzi być drugi – to nie można sobie pozwalać na takie okazywanie słabości, jak to się dzieje za czasów Obamy. Również ceniony naukowiec, moskiewski politolog Aleksiej Arbatow uważa, że wbrew oczekiwaniom wielu jego rodaków Trump może przyjąć dużo twardszą linię wobec Kremla niż Obama. Wynika to jego zdaniem z prawdziwych źródeł zwycięstwa miliardera, innego niż rosyjskie podejścia Amerykanów do mocarstwowości, biznesowego doświadczenia Trumpa oraz jego związków z republikanami. Prezydent elekt wygrał wbrew establishmentowi, poparty przez zwykłych ludzi chcących, by Ameryka „znów była wielka". Tymczasem Rosjanie stawiają zawsze na faworyta. Z kolei republikańskie zaplecze, bez którego rządzić Trump nie może, jest wobec Rosji dużo bardziej twarde niż demokraci – czego najlepszym dowodem były dwie kadencje Obamy oraz polityka zagraniczna Clinton. Trump wygrał, bo obiecał radykalne zmiany w polityce wewnętrznej, a nie dlatego, że miał wypowiedzi uznane za prorosyjskie. W polityce zagranicznej Trump chce być twardym kowbojem, w odróżnieniu od miękkiego intelektualisty lewicowca Obamy. Jako biznesmen i pragmatyk faktycznie może być gotów rozmawiać o różnych „dealach" z Rosją. Tyle że w takim geopolitycznym handlu nie będzie naiwniakiem i może się okazać, że warunki rosyjskie uzna za nie do przyjęcia. A jeśli Kreml odrzuci jego warunki, to wtedy on zareaguje z całą twardością. Na pewno też porzuci obamowską linię rozbrajania USA, zwłaszcza w sferze atomowej, co było bardzo korzystne dotychczas dla Rosji. Cóż z tego, że nie będzie może podnosił kwestii łamania praw człowieka przez reżim Putina. I tak nigdy nie było to ważne, a opozycja w Rosji to absolutny margines marginesu.

Kreml potrzebował Trumpa, to prawda. Ale jako przegranego, a nie zwycięzcę. Putin liczył na to, że miliarder będzie dalej walczył z międzynarodowym mainstreamem, a nie stanie się jego częścią, i będzie mógł go od wewnątrz zmieniać. Gdyby wygrała Clinton, Rosja mogłaby kontynuować linię oskarżania Ameryki o wszystko, co najgorsze na świecie. Teraz mają twardy orzech do zgryzienia. Jak tu atakować USA i jednocześnie próbować dogadać się z Trumpem? Z Obamą to wychodziło bardzo długo, ale Trump nie będzie robił za chłopca do bicia. Trump chce być liderem numer jeden na świecie, nie będzie pozwalał na to, by Władimir Putin zyskiwał nad nim przewagę, by go ogrywał. Jest i inny problem. Putin zawsze starał się uchodzić za część globalnego trendu neokonserwatywnego, zrodzonego z niezadowolenia światowym porządkiem stworzonym po zakończeniu zimnej wojny, na ideologicznych podstawach pokolenia '68, w sferze gospodarki zdominowanym przez wielkie korporacje. To Putin i Rosja były ośrodkami, na które w naturalny sposób orientowały się europejskie partie i ruchy antyestablishmentowe. Teraz nagle okazuje się, że Le Pen i Wilders, AfD czy FPÖ, mają dużo potężniejszego, a na dodatek „swojego" zachodniego, konserwatywnego przywódcę.

▶ Scenariusz do kosza

Rosyjskie media od początku miały swego faworyta i tego nie ukrywały. Ale to wcale nie oznacza, że Putin rzeczywiście chciał, by Trump wygrał. Warto raz jeszcze zacytować Markowa, wiernego Kremlowi od lat politologa i spin-doktora, który jeszcze przed wyborami tak mówił na łamach „Foreign Policy": „Ludzie na Zachodzie tego nie rozumieją. Widzą, że rosyjska telewizja chwali Trumpa i demoluje Clinton. Widzą, że Trump mówi miłe rzeczy o Rosji. Ale stanowisko władz jest bardzo różne od tego telewizyjnego, ponieważ rozumieją tam, że póki co to tylko słowa. A kiedy wybory się skończą, będziemy musieli radzić sobie nie z prezydentem, kimkolwiek by był, lecz z amerykańskim systemem". Celem Moskwy było maksymalne osłabienie Stanów Zjednoczonych, a nie zwycięstwo któregoś z konkretnych kandydatów. Bo na Kremlu zdają sobie doskonale sprawę z tego – czego nie raczą dostrzegać europejska lewica i media załamujące ręce nad wygraną „rosyjskiego agenta" i seksistowskiego chama – że prezydent USA nie jest władcą absolutnym. Funkcjonuje w ramach pewnego systemu, który przy wszystkich wewnętrznych (czasem zaostrzających się) różnicach cementuje podobnie postrzegany interes narodowy. I każdy kolejny gospodarz Białego Domu musi działać w pewnych ramach. „Przyznaję, że myliłem się w swych przewidywaniach. Nie wierzyłem w zwycięstwo Trumpa. Nie dlatego, że jest słabszy, lecz dlatego, że poszedł na starcie z Systemem" – napisał na Facebooku Konstantin Kosaczew, szef komitetu stosunków międzynarodowych Rady Federacji (wyższej izby parlamentu). Być może tu kryje się fundamentalny błąd w diagnozach rosyjskiego

eprasa.pl 9137619b50

reżimu? Może Trump wcale nie jest wrogiem „systemu"? Może w rzeczywistości zamierza działać zgodnie z zasadniczymi i od dekad niezmiennymi głównymi interesami narodowymi Stanów Zjednoczonych?

„Nigdy nie wierzyli, że Trump wygra. Każdy czynnik zawsze wskazywał, że Clinton wygra. Więc musieli pokazać jej, że są zawsze w pobliżu, w jej komórce, w jej e-mailach, depcząc po piętach" – tłumaczyła rosyjska politolog Ekaterina Schulmann. Wskazując, że nawet fakt, iż rosyjska propaganda malowała Clinton w tak czarnych barwach, miało zadziałać na korzyść Putina. „Stosunki z Clinton są tak złe, że trudno sobie wyobrazić, że mogą być jeszcze gorsze. To bardzo charakterystyczna dla Rosji taktyka: poprzez eskalację obniżać oczekiwania przed negocjacjami". Twarde stanowisko Clinton wobec Moskwy i złe osobiste relacje z Putinem niekoniecznie byłyby złe dla Rosji. Sytuacja wygląda już tak, że trudno sobie wyobrazić jeszcze dalej idące wymierzone w Rosję kroki ze strony prezydent Clinton, która byłaby kontynuatorską generalnie polityki Obamy. Trzeba pamiętać, że jako sekretarz stanu nigdy nie była jakąś ekstremistką z punktu widzenia Moskwy, więc po objęciu urzędu zapewne byśmy byli świadkami utrzymywania zimnych relacji z Rosją, ale trwałych i bez niespodzianek. Co akurat nie jest teraz dla Putina najgorszym rozwiązaniem. Nad Clinton wisiałaby groźba impeachmentu, ciągnęłyby się za nią wszystkie brudy z czasów, gdy pełniła funkcję sekretarz stanu, ale jest też przecież kwestia fundacji Clintonów. Do tego Kongres zdominowany przez republikanów. Wszystko to oznacza, że musiałaby koncentrować się na sprawach krajowych.

Rosja wiedziała od początku, że niezależnie od tego, kto wygra, rewolucji w polityce bezpieczeństwa i zagranicznej nie będzie, może być przesunięcie akcentów. Chodziło więc tylko o to, by zwycięzca przejął władzę z jak najsłabszą legitymacją, politycznym i prawnym balastem, przy kontestacji rywali. Paradoksalnie przy tym kryterium wygodniejsza byłaby wręcz Hillary Clinton. Julia Ioffe w „Foreign Policy" kilka dni przed wyborami w USA słusznie podkreślała, że od początku misją Rosji było sianie chaosu i prowokowanie rozłamów w Ameryce. I to udało się Putinowi, trzeba przyznać. Na plus Putin może sobie po tych wyborach zaliczyć jeszcze jedno: pokazał, że jego macki sięgają bardzo daleko. To nie jest tylko destabilizowanie tzw. bliskiej zagranicy, energetyczne szantaże czy zbrojne agresje na sąsiadów. Okazało się, że Rosjanie są w stanie mocno ingerować w wewnętrzne sprawy największego mocarstwa świata. Choć zaznaczyć trzeba od razu, że wynikało to nie z siły Rosji, lecz ze słabości Ameryki – której polityczny układ immunologiczny skutecznie i konsekwentnie przez osiem lat rozmontowywał Obama do spółki z najbardziej lewicową częścią Partii Demokratycznej.

Zwycięstwo Trumpa jest niewygodne dla Rosji. Zburzyło starannie przygotowywany scenariusz „przyciśnięcia" USA na różnych frontach w okresie do zaprzysiężenia Clinton, na co nastawiał się Kreml. Teraz trzeba w pośpiechu zmieniać plany, no i jest dylemat: zaostrzyć politykę wobec USA czy wręcz przeciwnie? W przypadku Clinton takiego problemu Rosjanie by nie mieli. Samoloty na lotniskowcu Admirał Kuzniecow już grzały silniki, szykując zmasowane naloty na Aleppo w powyborczy dzień. Zwycięstwo w wyborach Trumpa powoduje, że w najbliższych miesiącach Rosja wstrzyma lub przynajmniej ograniczy działania, które mogłyby być odbierane jako antyamerykańskie. Putin nie będzie chciał dać powodów do przyjęcia przez prezydenta elekta zdecydowanej postawy wobec Moskwy. Chce zaczekać do stycznia i zachęcać go do rewizji polityki USA wobec Rosji, być może nawet kolejnego resetu. Jakie są strategiczne cele Kremla? Wciąż te same od lat. A więc uznanie Rosji jako równoprawnego w skali globalnej partnera dla USA. Z tym wiąże się uznanie przez Trumpa interesów zagranicznych Moskwy w różnych regionach świata. Przede wszystkim przyznanie, że obszar postsowiecki to wyłączna strefa wpływów Rosji (kwestia państw bałtyckich do dyskusji) – czyli coś w rodzaju nowej Jałty. Koniec rozszerzania NATO na wschód i promowania demokracji i liberalizmu w byłych republikach sowieckich. No i rezygnacja przez Trumpa ze wzmacniania wschodniej flanki NATO i budowy tarczy antyrakietowej. Dla Polski i innych krajów naszego regionu najważniejsze jest to ostatnie.

▶ Od Estonii po Syrię

W czasie kampanii wyborczej kilka razy padły z ust Trumpa słowa na temat NATO i wschodniej Europy, które mogły budzić poważny niepokój. A to powątpiewanie w Sojusz, a to sugestie, że USA nie będą bronić sojuszników, którzy sami w wystarczający sposób nie dbają o swoją obronność, a to dwuznaczne oceny sytuacji na Ukrainie, szczególnie jeśli chodzi o Krym. Być może chodziło tylko o odróżnienie się od rywalki, ale niewątpliwie na Kremlu te słowa były niczym miód na duszę Putina. I chyba właśnie polityka Trumpa w kwestii wzmocnienia NATO i obecności wojskowej USA w naszej części Europy będą głównym testem na to, czy chce on rzeczywiście pójść na ustępstwa wobec Rosji – bo tak te słowa interpretowano.

Pierwszym uspokajającym sygnałem była deklaracja, tuż po ogłoszeniu zwycięstwa Trumpa, jaką złożył przywódca republikańskiej większości w Senacie. Mitch McConnell oświadczył, że Rosjanie powinni

eprasa.pl 9137619b50

„w pełni" rozumieć, że jeśli zaatakują któreś z państw NATO, będą mieli do czynienia z całym Sojuszem. Zaś kilka dni po wyborach w USA ruszył przerzut sił amerykańskich na wschodnią flankę. Rosja będzie jednak z pewnością naciskała, jeśli nie na anulowanie decyzji, które zapadły na szczycie NATO w Warszawie, bo za późno, to na ich osłabienie. Tyle że byłoby to bardzo kosztowne dla USA. A zresztą jeśli Trump jest wielkim orędownikiem odbudowy potęgi militarnej Ameryki, to nie będzie robił nic takiego, co by sugerowało słabość – choćby w kwestii zwiększenia obecności wojskowej USA w Europie poprzez rozmieszczenie na wschodniej flance NATO dodatkowej brygady. Także z tego powodu Trump nie może pozwolić sobie na pozostawienie na pastwę Rosji krajów bałtyckich. O ile w przypadku Ukrainy można sobie wyobrazić jakieś targi z Moskwą, to kraje należące już do NATO są inną kwestią. Na sukcesy Putin nie powinien też liczyć w sprawie tarczy antyrakietowej. Należy przypomnieć, że to Obama zwinął projekt realizowany przez administrację Busha (słynna deklaracja z 17 września 2009 r.). Trump chce wrócić do tej koncepcji, dla Rosji jeszcze groźniejszej niż to, co robiono ostatnio (m.in. instalacje w polskim Redzikowie). Wielkim zwolennikiem tarczy jest też wiceprezydent Mike Pence, który stwierdził nawet swego czasu, że projekt jest potrzebny jeszcze bardziej po aneksji Krymu. Prezydent elekt zapowiadał też w kampanii wyborczej znaczące wzmocnienie potencjału bojowego US Army, w tym zwiększenie liczebności sił lądowych z obecnych 480 tys. do 540 tys. żołnierzy. Trump chce zerwać z polityką cięć Obamy i zwiększyć wydatki na obronność nawet o 60 mld dolarów rocznie. Nie jest przypadkiem, że na wieść o jego zwycięstwie najmocniej poszły w górę notowania giełdowe koncernów zbrojeniowych. To jest dla Rosji bardzo niepokojący sygnał. W ostatnich latach Putin konsekwentnie odbudowywał potencjał swojej armii, podczas gdy Obama postępował wręcz przeciwnie. Natomiast Trump chce większej liczby samolotów bojowych i okrętów, zwiększenia siły marines, modernizacji arsenału jądrowego i rozbudowy obrony przeciwrakietowej i cybernetycznej.

Największą niewiadomą pozostaje w tej chwili chyba przyszła polityka Trumpa w sprawie Ukrainy. W Kijowie mocno inwestowano w demokratów i liczono na Clinton. Teraz niektórzy tam panikują i straszą „zdradą" ze strony USA. Ale i w tym wypadku więcej w tym politycznych uprzedzeń niż trzeźwego oglądu sytuacji. Takim dysponuje za to na pewno Witalij Portnikow i chyba najsłuszniej jest przytoczyć jego zdanie: „Nie będzie pocałunku Trumpa z Putinem". Według publicysty przejęcie władzy przez Trumpa będzie oznaczało koniec „filozoficznego" stosunku wobec „chuligaństwa Rosji", prezentowanego przez Obamę. Portnikow jest przekonany, że Trump nie pozwoli sobie na poniżanie ze strony Rosji. W jego ocenie takim poniżeniem było złamanie przez Rosję zasad współpracy międzynarodowej, czego dopuściła się m.in. poprzez zajęcie ukraińskiego Krymu. Poprzedni amerykański prezydent „był przekonany, że wcześniej czy później reżim Putina ugnie się pod ciężarem problemów wewnętrznych i że nie należy zaostrzać sytuacji. Trump ma ograniczone możliwości: albo będzie kontynuował ostrożną politykę Obamy, co jest raczej niemożliwe, albo zaproponuje Putinowi, by przestał rozrabiać w zamian za odwołanie sankcji lub inne preferencje" – napisał Portnikow. „Jedyne, na co Trump nie może sobie pozwolić, to na poniżenie. [...] Poniżenie prezydenta Stanów Zjednoczonych jest końcem kariery głowy państwa. [...] I nawet jeśli przypuścimy, że ludzie w Moskwie pomagali mu w zdobyciu prezydentury, to nie ma już to żadnego znaczenia, gdyż wczoraj Trump był kandydatem na prezydenta i zależał od pomocy. Dziś to on jest prezydentem mocarstwa i to nie on zależy od nich, a oni od niego. Dziś to on jest ich bossem. Wielkim bossem" – podsumował Portnikow w artykule opublikowanym na jednym z ukraińskich portali internetowych. Jeśli rządzący dziś Ukrainą mogą mieć powody do niepokoju, to tylko takie, że skończy się gadanie o liberalnych wartościach i wsparcie Waszyngtonu dla Kijowa w dużej mierze za to, że Ukraińcy wpuszczają, gdzie tylko się da, amerykańskie firmy. Może się okazać, że Trump powie to samo, co mówił o sojusznikach w NATO, którzy sami nawet nie wydają wymaganych 2 proc. na obronność, a liczą na ochronę wielkiego protektora zza oceanu. Prawda jest taka, że nowa administracja w Białym Domu oznacza dla Ukrainy tyle, że musi zacząć wprowadzać reformy i walkę z korupcją na serio, a nie je markować. „Sankcje nie zostaną zdjęte. Mogą być w jakimś stopniu złagodzone, i oczywiście Putin będzie to przedstawiał jako swe zwycięstwo. Ale to nie pomoże w przyszłym rozwoju Rosji, ponieważ Rosjanie są teraz mocno odwróceni od zachodniej drogi cywilizacji. Próbują się odnaleźć w świecie, który nie istnieje, świecie Jałty i Poczdamu, który zniknął w 1989 r., ale o którym rosyjski establishment dziś mówi, jakby wciąż był" – uważa Stanisław Biełkowskij.

A co z drugim, obok Ukrainy, najważniejszym dla Putina frontem konfrontacji z USA? Trump chce na poważnie i zdecydowanie wziąć się za walkę z Państwem Islamskim. I w tej wojnie gotów jest współpracować także z Rosją. Czy to zagrożenie? Czy można obawiać się, że za Syrię Trump sprzeda Ukrainę? Nie. Bo Rosja wcale nie chce pokonać IS, ale przeciwników Asada. I Trump bardzo szybko to zrozumie. Zresztą

eprasa.pl 9137619b50

trudno będzie pogodzić sojusz Rosji z Iranem w Syrii z wyraźną niechęcią Trumpa do Iranu. A poza tym na całym Bliskim Wschodzie Rosja traci teraz poważny atut: skrajną niepopularność Obamy i zgliszcza, jakie zostawił swoją polityką w tym regionie. Tylko dlatego, że USA się stamtąd wycofały, Putin mógł zacieśniać stosunki z Egiptem, Iranem, Izraelem i Turcją. Teraz wszyscy oni mają prawo liczyć na poprawę relacji z Ameryką. To nie przypadek, że jednym z pierwszych światowych liderów, który wysłał gratulacje do Trumpa, był prezydent Egiptu Abdel Fattah al-Sisi. Także dla Izraela naturalniej jest zacieśniać współpracę z USA, a nie z krajem będącym jednocześnie bliskim partnerem Iranu. Niezły bilans Rosji w ostatnich latach na Bliskim Wschodzie nie wynikał z siły dyplomacji i argumentów Moskwy, lecz z braku USA w regionie.

„Jastrzębie" i generał

„Zapewniam was, że nic poważnego się nie zmieni. Czasy się zmieniają, technologia i pogoda też, ale strategia Amerykanów nie. To jest ekspansja, twierdzenie o ich dominacji, a w ostatnich latach globalna polityka ukierunkowana na podporządkowanie im strategicznych zasobów: rzadkich minerałów, informacji czy przepływów finansowych". To opinia lidera komunistów rosyjskich Giennadija Ziuganowa. I jeszcze jedna opinia, z ust jednego z przywódców opozycji, Ilji Jaszyna: „Rosyjska propaganda i amerykańskie media zdecydowanie przypięły mu łatkę agenta Putina. Zarówno elektorat Clinton, jak i Putina są absolutnie pewne, że to zwycięstwo Putina, że Kreml dostał swego prezydenta w USA. I dla Trumpa to wielki problem, ponieważ teraz musi udowodnić, że nie jest kandydatem Putina". Zaś związana nieoficjalnie z MSZ „Niezawisimaja Gazieta" ostrzega, że „zapowiadana przez Trumpa polityka nowej industrializacji Ameryki może mieć dla gospodarki Federacji Rosyjskiej najbardziej negatywne skutki – od spadku popytu na nasze towary eksportowe po długoterminowy spadek cen na węglowodory". Jako doświadczony biznesmen nowy prezydent na pewno będzie działał tak, by to Ameryka zyskiwała gospodarczo. A że na ogół ekonomiczne interesy USA i Rosji są z zasady sprzeczne, oznaczać to będzie kłopoty dla Moskwy.

W jakim stopniu i w jaki sposób osobiste poglądy Trumpa wpłyną na politykę USA, zależy w dużej mierze od tego, kto będzie odpowiadał w nowej ekipie za bezpieczeństwo. Kto będzie w tym obszarze odpowiadał za Rosję. Kto będzie zastępcą sekretarza stanu do spraw Eurazji. Kto będzie ambasadorem w Moskwie. Siergiej Samujłow z Instytutu USA i Kanady Rosyjskiej Akademii Nauk podkreśla, że wśród republikanów „wszyscy eksperci ds. polityki zagranicznej to »jastrzębie«, szczególnie w odniesieniu do Rosji". Senator John McCain, którego za entuzjastę Trumpa trudno uznać, przestrzega go przed nowym „resetem" w stosunkach USA z Rosją. Podobne stanowisko zajmuje wielu republikanów, także z tych, którzy współpracują z prezydentem elektem. Przeważa wśród nich przekonanie o konieczności powstrzymywania Rosji od ekspansji i odstraszania od agresji. Takie stanowisko zajmuje wiceprezydent Mike Pence. Podobne poglądy w sprawie polityki wobec Rosji ma John Bolton, ambasador USA przy ONZ za prezydentury George'a W. Busha, uważany za jednego z głównych kandydatów na sekretarza stanu w gabinecie Trumpa (do momentu oddania artykułu to stanowisko nie było obsadzone – red.). Także inny kandydat na szefa dyplomacji, Mitt Romney, w przeszłości nie raz bardzo krytycznie wypowiadał się o Rosji. W ekipie dobierającej skład przyszłej administracji działają eksperci Heritage Foundation. Ten konserwatywny think tank w swoim najnowszym raporcie ostrzegł, że Rosja stanowi rosnące zagrożenie dla interesów USA w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Pierwsze decyzje personalne Trumpa wyglądają dość obiecująco, choć nie brak i powodów do poważnego niepokoju. Na dyrektora CIA Trump wybrał republikańskiego kongresmena z Kansas, Mike'a Pompeo. To członek komisji do spraw wywiadu Izby Reprezentantów, a w przeszłości oficer armii i biznesmen. Skończył elitarne uczelnie: akademię wojskową West Point z wyróżnieniem i Uniwersytet Harvarda. Uchodzi za polityka bliskiego wiceprezydentowi elektowi Mike'owi Pence'owi. Fatalnie za to wygląda nominacja emerytowanego generała Mike'a Flynna na doradcę prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. W 2012 r. prezydent Obama mianował go dyrektorem Agencji Wywiadu Wojskowego (DIA). Po roku ustąpił z tego stanowiska. Flynn uchodzi za zwolennika ściślejszej współpracy z Rosją. Wygłosił przemówienie w państwowej telewizji rosyjskiej kontrolowanej przez Kreml i na jednej z konferencji siedział obok prezydenta Władimira Putina. Najprawdopodobniej w ekipie Trumpa będą więc zwolennicy różnego podejścia do Rosji, dlatego tak naprawdę najważniejsze jest, kto będzie faktycznie realizował politykę wobec Moskwy. Za Obamy „dobrym policjantem" był sekretarz stanu John Kerry, zaś „złym" wiceprezydent Joe Biden. Plus widzący coraz wyraźniej zagrożenie ze strony Rosji Pentagon. Jeśli szef dyplomacji Trumpa będzie równie sceptyczny wobec Putina co wiceprezydent, a do tego dochodzi już CIA i Pentagon, to wówczas nawet prorosyjskie ciągoty Flynna będzie można zneutralizować. ■

eprasa.pl 9137619b50

Azjatyckie spojrzenie na Trumpa

Hanna Shen

W wielu krajach azjatyckich, m.in. w Japonii, Korei Płd. czy na Tajwanie, wypowiedzi kandydata republikanów na prezydenta Stanów Zjednoczonych w trakcie kampanii budziły niepokój. Po wygranej Trumpa jego pierwsze oświadczenia, nominacje i nazwiska na liście osób, które mogą znaleźć się w administracji, dały nadzieję rządzącym w krajach Dalekiego Wschodu, że współpraca z nowym prezydentem nie musi być taka trudna, jak się obawiano. Niezadowolony z wyboru pozostaje Pekin, który nawet w ostatnich godzinach kampanii próbował przekonywać Amerykanów pochodzenia chińskiego, by głosowali na kandydatkę demokratów.

Japonia czuła się do tego stopnia zaniepokojona wypowiedziami Trumpa w czasie kampanii, że tydzień przed wyborami w USA będący w rękach Japończyków dziennik „Financial Times" („FT")[1] opublikował artykuł pt. „Przy swoich słabościach Clinton jest najlepszą nadzieją". Było to poparcie dla kandydatki demokratów. Według „FT" Hillary Clinton to osoba kompetentna, podczas gdy walczący z nią o prezydenturę Trump to bufon, który tylko tworzy podziały.

Co ze „zwrotem ku Azji"?

Tym, co zaalarmowało władze w Tokio, były sugestie kandydata republikanów, że wojska amerykańskie mogą wycofać się z Azji. To tu armia USA wraz ze swoimi sojusznikami, m.in. Japonią i Koreą Południową, stanowi przeciwwagę dla rosnących w siłę Chin. Premier Japonii, Shinzo Abe, stoi na stanowisku, że izolacjonizm amerykański doprowadzi do chińskiej dominacji w regionie.

Trump zadziwił także Tokio, mówiąc, że Japonia powinna więcej płacić za amerykańskie bazy w Kraju Kwitnącej Wiśni. Już teraz jest to około 2 mld dolarów rocznie, co pokrywa połowę kosztów stacjonowania wojsk amerykańskich w tym kraju.

Ponadto Donald Trump zapowiedział, że Stany Zjednoczone nie przystąpią do Partnerstwa Transpacyficznego (TPP), wielostronnej umowy regulującej zasady handlu przez 12 krajów w całym regionie Azji i Pacyfiku. Zawarcie umowy, które nastąpiło w październiku 2015 r., było jednym z głównych celów strategii handlowej administracji Obamy oraz Shinzo Abe. TPP miało też być najbardziej konkretnym elementem strategii „zwrotu ku Azji", którą Obama ogłosił w 2012 r., jako przeciwwagi dla rosnącej potęgi Chin. Trump w czasie kampanii nazwał TPP „katastrofą", argumentując, że jest to umowa korzystna dla wielkich międzynarodowych korporacji produkujących poza USA.

Tokio natomiast traktuje umowę jako pomocną dla swojej gospodarki, która od lat znajduje się w stanie stagnacji ze względu na starzenie się społeczeństwa i spadek popytu. Ponadto zarówno Kraj Kwitnącej Wiśni, jak i inne państwa azjatyckie traktują obecność Amerykanów w TPP jako gwaranta bezpieczeństwa. Gdyby umowa nie doszła do skutku, ucieszyłoby to z pewnością Pekin, który nie jest sygnatariuszem TPP i planuje własne umowy handlowe z krajami w rejonie Pacyfiku.

[1] W listopadzie 2015 r. „Financial Times" został kupiony przez Nikkei Group, jedną z największych korporacji mediowych w Japonii i wydawcę m.in. dziennika „Nihon Keizai Shimbun", wychodzącego w nakładzie 3 mln egzemplarzy.

fot. JASON SZENES/PAP/EPA

Tokio: Trumpowi można ufać

Gdy znane były już wyniki wyborów w USA, japoński premier postanowił jak najszybciej porozmawiać z Trumpem w cztery oczy i przedstawić mu swoje stanowisko. Sprawnie działającej dyplomacji Kraju Kwitnącej Wiśni udało się zorganizować spotkanie 17 listopada w Trump Tower w Nowym Jorku. Początkowo miało ono trwać 45 minut, ale zostało przedłużone do 90 minut. Obok prezydenta elekta i japońskiego premiera oraz jego tłumacza wzięli w nim udział także córka Trumpa, Ivanka, i jej mąż Jared Kushner. Japońskie media zaczęły od razu spekulować, że Ivanka Trump może zająć miejsce Caroline Kennedy na stanowisku ambasadora USA w Japonii i stąd jej udział w rozmowie Trumpa z Abe.

Po spotkaniu japoński premier opisał je jako przebiegające w przyjaznej atmosferze, a Trumpa jako przywódcę, do którego ma ogromne zaufanie. „Bez zaufania pomiędzy naszymi narodami nasz sojusz nie mógłby funkcjonować w przyszłości" – powiedział dziennikarzom Shinzo Abe.

Przywódca Kraju Kwitnącej Wiśni odmówił odpowiedzi na pytanie, o czym dokładnie rozmawiał z Trumpem. Dodał tylko, że przedstawił swoje podstawowe poglądy na pewne kwestie i że z Trumpem uzgodnili, iż niedługo dojdzie do ponownego spotkania i pogłębionej dyskusji. Donald Trump nie komentował dziennikarzom spotkania, a jedynie na Twitterze umieścił wpis, w którym czytamy: „To była przyjemność, że premier Shizno Abe odwiedził mnie w domu i rozpoczęliśmy wspaniałą przyjaźń".

Mimo różnic, Shinzo Abe i Trumpa wiele łączy, m.in. podobne stanowisko w sprawie silnej armii. Japoński przywódca od momentu dojścia do władzy w 2012 r. zapowiadał odwrót od pacyfizmu, który narzuciła Japonii opracowana w 1946 r. przez amerykańskich prawników konstytucja. W zeszłym roku wyższa izba parlamentu Japonii przyjęła ustawę rozszerzającą rolę armii, zezwalając po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej na użycie wojska poza granicami kraju w obronie sojuszników. Za rządów Shinzo Abe rosną z roku na rok wydatki na armię. W tym roku mają one wynieść prawie 50 mld dolarów.

Wydaje się, że rozmowa z Trumpem przekonała Tokio, iż współpraca z nowym prezydentem nie będzie taka trudna. A japońscy komentatorzy przekonują, że nawet jeśli Donald Trump rzeczywiście wycofa się z TPP, to Shinzo Abe ma już plan B – zawarcie jak najszybciej bilateralnej umowy o wolnym handlu z USA.

Premier Japonii Shinzo Abe z wizytą w Nowym Jorku 17 listopada 2016 r.

Seul: Trump obiecuje bronić sojuszników

Korea Południowa, podobnie jak Japonia, była zdziwiona niektórymi wypowiedziami Trumpa w kampanii wyborczej, sugerującymi amerykański izolacjonizm czy krytykującymi Seul za to, że za mało płaci za bazy, w których stacjonuje ponad 28 tys. amerykańskich żołnierzy.

Ale to właśnie prezydent Korei Płd., Park Geun-hye, jako jedna z pierwszych przeprowadziła telefoniczną rozmowę z Donaldem Trumpem. Park powiedziała w niej, że sojusz USA z Koreą Południową rozwijał się dobrze przez ostatnie sześć dekad i że ma ona nadzieję na dalsze postępy. Przywódca Korei Płd. poprosiła też Trumpa, aby włączył się w minimalizowanie zagrożenia ze strony Korei Północnej, która przeprowadziła już kilka testów nuklearnych i rakietowych wbrew rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ i pomimo sankcji. Amerykański prezydent elekt miał złożyć deklarację, że USA nadal będą zaangażowane w obronę swojego sojusznika.

Koreański rząd nie zadowolił się jednak tylko krótką rozmową telefoniczną. Na rozmowy do USA z formującą się drużyną Trumpa rząd w Seulu wysłał swoich przedstawicieli. Na spotkaniu 18 listopada z Michaelem T. Flynnem – doradcą prezydenta Donalda Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego – południowokoreańscy urzędnicy usłyszeli potwierdzenie wcześniejszych słów prezydenta elekta. Flynn stwierdził, że USA i Koreę Płd. łączy „ważny sojusz", który powinien być pogłębiony. Doradca zapowiedział też, że rozwiązanie problemu programu nuklearnego Korei Płn. będzie jednym z priorytetów administracji Trumpa.

Kilka dni wcześniej, 14 listopada br., południowokoreańskie ministerstwo obrony poinformowało, że nie są planowane zmiany w projekcie rozlokowania w Korei Płd. amerykańskiego systemu przeciwrakietowego THAAD. Negocjacje i decyzje w sprawie ulokowania THAAD podjęła administracja Obamy i nic nie wskazuje na to, by Trump wstrzymał ten projekt. Zarówno Seul, jak i Waszyngton, oficjalnie twierdzą, że rozmieszczenie systemu ma sprostać rosnącemu zagrożeniu ze strony Korei Północnej. Jednak lokalizacji THAAD w Korei Płd. sprzeciwia się nie tylko Pjongjang, lecz także Pekin i Moskwa. W tym roku zaraz po wizycie prezydenta Chin Xi Jinpinga w Polsce, i przed szczytem NATO, doszło do spotkania w Pekinie prezydentów Putina i Xi. Obaj przywódcy wydali wtedy wspólne oświadczenie, w którym sprzeciwili się rozmieszczeniu w Korei Płd. systemu przeciwrakietowego THAAD, a także lokalizacji systemu antybalistycznego Aegis Ashore w Polsce i Rumunii.

Tajpej: przyjaciele Tajwanu wokół Trumpa

Wygrana republikanów w USA bardzo dobrze przyjęta została na Tajwanie. W mediach podkreśla się, że to właśnie republikańscy politycy, m.in. senator Marco Rubio, dbali o pozytywny rozwój relacji między oboma krajami i gwarantowali, że USA stanie w obronie bezpieczeństwa wyspy w przypadku zagrożenia ze strony Chin. A relacje chińsko-tajwańskie nie są ostatnio dobre. Pekin z niezadowoleniem przyjął wynik wyborów parlamentarnych i prezydenckich na Tajwanie w styczniu tego roku. Zwyciężyła bowiem proniepodległościowa Demokratyczna Partia Postępu (DPP). Komunistyczne władze Chin starają się ukarać Tajwańczyków za ten wybór i zerwały wszelkie rozmowy z nowymi władzami na wyspie i niemal całkowicie zakazały swoim obywatelom wyjazdów na Tajwan. W połowie września Pekin zgodził się na wycieczki chińskich grup, ale tylko do ośmiu tajwańskich miast, w których lokalną władzę sprawuje Kuomintang, tajwańska partia opozycyjna uważana za prochińską.

W tak napiętej sytuacji Tajpej potrzebuje silnego sojuszu z Waszyngtonem. W trakcie kampanii w USA wyspa, podobnie jak Japonia i Korea Płd., była zaniepokojona wypowiedziami Donalda Trumpa, sugerującymi, że

Przywódca Korei Płd. poprosiła Trumpa, aby włączył się w minimalizowanie zagrożenia ze strony Korei Płn., która przeprowadziła już kilka testów nuklearnych i rakietowych wbrew rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ i pomimo sankcji. Amerykański prezydent elekt miał złożyć deklarację, że USA nadal będą zaangażowane w obronę swojego sojusznika.

eprasa.pl 9137619b50

USA będzie prowadzić politykę izolacjonizmu. Jednak obecność wokół Trumpa polityków znanych z bardzo pozytywnego nastawienia do Tajwanu, takich jak Rudy Giuliani i Newt Gingrich, daje Tajpej nadzieję, że będzie mogło liczyć na wsparcie USA. W tajwańskich mediach pojawiła się też informacja, że w nowym rządzie może znaleźć się Peter Navarro, który w czasie kampanii doradzał Trumpowi w sprawach polityki międzynarodowej. Navarro jest zwolennikiem ostrego kursu wobec Chin. W lipcu przebywał on z wizytą na Tajwanie, gdzie spotkał się z czołowymi politykami na wyspie. Po wizycie na łamach amerykańskiego dwumiesięcznika „National Interest" Navarro stwierdził, że Chiny terroryzują inne państwa w Azji, m.in. Tajwan, który powinien zwiększyć swoje zdolności obronne, aby stawić czoła zagrożeniu ze strony ChRL. Peter Navaro uważa też, że USA powinny pomóc wyspie w budowie nowoczesnych łodzi podwodnych. Podobne stanowisko reprezentuje wielu analityków z konserwatywnych think tanków w USA, np. Heritage Foundation. I to właśnie założyciela tej fundacji, Edwina Feulnera, Donald Trump miał wysłać na rozmowy z tajwańskimi politykami, m.in. prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen, w październiku tego roku. Feulner był jednym z czołowych doradców kandydata republikanów w czasie kampanii.

Tajpej może być także zadowolone z wyboru przez Trumpa przewodniczącego Partii Republikańskiej Reince'a Priebusa na stanowisko szefa personelu Białego Domu. Priebus bywał kilka razy na wyspie, zna dobrze obecną prezydent Tsai Ing-wen i sytuację Tajwanu. Tajwańska prasa pisze, że to właśnie Priebus będzie „kanałem" do utrzymania dobrych relacji tajwańsko-amerykańskich. Media donoszą także, że jeszcze w czasie kampanii firma Donalda Trumpa The Trump Organization wyraziła gotowość inwestowania na Tajwanie m.in. w budowę resortu hotelowego. Na przełomie 2016 i 2017 r. na wyspie ma się pojawić syn Trumpa, Eric, i negocjować szczegóły. Tajwańczycy tę inwestycję rodziny Trumpa odbierają jako dobry znak dla przyszłości wyspy.

Pekin: Clinton byłaby lepsza

Gdy kilka tygodni przed wyborami dziennik Komunistycznej Partii Chin „Global Times" przeprowadził sondaż, zadając Chińczykom pytanie, czy w USA wygra Donald Trump czy Hilary Clinton, ponad 80 proc. ankietowanych wskazała na kandydata republikanów. Cao Changqing, mieszkający w USA chiński dysydent i komentator polityczny, uważa, że wielu obywateli Chin kibicowało Trumpowi jako symbolowi walki z politycznym establishmentem. ChRL rządzi skorumpowana elita komunistyczna, a Chińczycy nie mogą wyrazić swojego niezadowolenia wobec władzy w wyborach. „Rozumieli jednak gniew i wybór Amerykanów" – twierdzi Cao. Z wygranej Trumpa nie są za to zadowoleni komunistyczni przywódcy Państwa Środka. Liczyli oni na zwycięstwo bardziej przewidywalnej dla nich kandydatki demokratów. O tym, że Pekin wolał na stanowisku prezydenta USA Clinton, świadczy m.in to, że kilka godzin przed otwarciem lokali wyborczych w USA na Duowei News, chińskojęzycznym portalu informacyjnym w Nowym Jorku, ukazał się artykuł pt. „Aby zapewnić światowy pokój, prosimy – głosujcie na Hillary". Chiński pisarz i komentator polityczny Chen Pokong w wypowiedzi dla chińskiego Głosu Ameryki powiedział, że apel ten wzywający do głosowania na kandydatkę demokratów i skierowany do chińskich imigrantów w USA musiał być zainspirowany przez Pekin. Portal Duowei News blisko współpracuje z chińską agencją Xinhua, nazwaną m.in. przez organizację Reporterzy Bez Granic „największą na świecie agencją propagandową".

Według Boxun, innego chińskojęzycznego portalu informacyjnego w USA, krytykującego na swoich łamach komunistyczne władze Chin, Pekin był prawie pewien, że wygra kandydatka Partii Demokratycznej i dlatego zezwolił, by czołowe media chińskie relacjonowały na żywo to, co działo się w noc wyborczą w USA. Gdy jednak okazało się, że Trump uzyskuje przewagę nad Clinton, media otrzymały z Pekinu zakaz transmisji na żywo.

Prezydent Chin dość długo zwlekał z rozmową telefoniczną z Trumpem i przekazaniem gratulacji. Przeprowadzono ją dopiero 14 listopada. Chiński przywódca miał powiedzieć prezydentowi elektowi, że współpraca jest jedynym możliwym rozwiązaniem w stosunkach dwustronnych. Według chińskiej telewizji CCTV, Trump miał odpowiedzieć, że jest na taką współpracę gotowy. Było więc krótko, miło i mało konkretnie. I nic nie uspokoiło obaw Pekinu. Doradcy Trumpa opowiadają się za poważną rozbudową potencjału wojskowego USA na Pacyfiku. I oni, i politycy z Korei Płd. i Japonii przekonują prezydenta elekta, by respektował dotychczasowe sojusze. Także informacja, że sekretarzem do spraw marynarki wojennej w administracji Trumpa ma być Randy Forbes, nie jest dobra dla Pekinu. Forbes od lat wspiera ideę rozbudowy marynarki, a także zdecydowanie opowiada się przeciwko ekspansywnej polityce Chin na Morzu Południowochińskim[2]. ■

[2] Ekspansja Pekinu na Morzu Południowochińskim związana jest np. z budową sztucznych wysp na morzu pod bazy wojskowe. We wrześniu br. Chiny i Rosja przeprowadziły wspólne ćwiczenia okrętowe w tym akwenie. Spór o Morze Południowochińskie jest dziś uważany za jedno z większych zagrożeń dla bezpieczeństwa regionalnego. W tym rejonie przebiegają ważne szlaki zaopatrzeniowe i trasy flot morskich, a także znajdują się złoża ropy naftowej, gazu ziemnego, bogate łowiska ryb i obfite ilości guana – naturalnego ptasiego nawozu.

eprasa.pl 9137619b50

Jacek Liziniewicz

Psychoza strachu

„Szaleństwo", „lekarstwo gorsze od choroby", „amerykański koszmar", „katastrofa" – to tylko część określeń, jakich używała polska lewica po ogłoszeniu wyników wyborów w Stanach Zjednoczonych. Według rodzimych komentatorów, na czele ze Sławomirem Sierakowskim, wybór Donalda Trumpa ma mieć skutek uboczny w postaci: „20 lat autorytaryzmu Jarosława Kaczyńskiego".

9 listopada 2016 r. Tuż przed godziną 8 rano do ekspertów i komentatorów w Polsce dociera wreszcie, że Amerykanie wybrali 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zdecydowana większość z nich zupełnie nie spodziewała się, że może wygrać Donald Trump. Nawet bukmacherzy nie dawali mu większych szans. Pierwsza reakcja – totalny szok, którego symbolem stała się Jolanta Pieńkowska, która na wizji w TVN24 dostała ataku histerii. – Co będzie z weteranami obrażanymi przez Donalda Trumpa? Co będzie z kobietami, którym Donald Trump okazywał całkowity brak szacunku? Co będzie wreszcie z Hillary Clinton? Co będzie z obietnicami wyborczymi? Co będzie z tymi wielkimi inwestycjami, które obiecywał Donald Trump? Co będzie z opieką zdrowotną dla wszystkich? Co stanie

eprasa.pl 9137619b50

się z mediami? Co będzie, kiedy obudzimy się z prezydentem Donaldem Trumpem i będziemy czekali na jego nowe ustawy? Bo wtedy już nie będzie teleprompter. Nie będzie już nikogo, kto będzie mówił: „Donaldzie, tylko już nie tweetuj". Nie będzie nikogo, kto będzie mówił: „Uspokój się, nie mów nic od siebie" – bredziła na wizji płaczliwym głosem.

KOD po amerykańsku

Szokiem zareagowała nie tylko lewica w Polsce. Kilka dni po wyborach w Stanach minęło pod znakiem spontanicznych protestów. Nowy Jork, Seattle, Los Angeles, Filadelfia, Boston, Nowy Orlean, Atlanta i Miami, Richmond, Providence, Omaha, Nebraska, Kansas City, Portland, Oregon – to tylko niektóre miasta, gdzie odbyły się demonstracje przeciwko nowo wybranemu prezydentowi. Oprócz dominującego hasła „Not my president" pojawiły się również inne postulaty, w tym głośne „nie" dla rasizmu i szowinizmu wobec kobiet. „»Nie« dla Trumpa! »Nie« dla Ku Klux Klanu! »Nie« dla rasistowskich USA" – śpiewali protestujący w Chicago. Manifestacje przybierały czasami drastyczne formy. W Nowym Jorku aresztowano 15 osób. W Oakland protestujący starli się z policją. W ruch poszły petardy i butelki. Spłonęły dwa samochody policyjne, a kilkunastu funkcjonariuszy policji zostało rannych. Zdarzały się przypadki palenia amerykańskich flag i portretów Donalda Trumpa. Dochodziło również do absurdów. W kalifornijskim mieście Fresno matka wyrzuciła z domu ośmioletniego syna, bo w szkolnych wyborach głosował na Donalda Trumpa. W Internecie można było zobaczyć film, na którym matka krzyczy na dziecko. „Skoro głosowałeś na Trumpa, to zabieraj swoją d... i wynoś się!" – wrzeszczy, wyrzucając syna na ulicę z tabliczką i walizką. Na film zareagowały organa ścigania. Kobieta przekonywała potem, że to był tylko żart.

Celebryci na walizkach

– Protesty te są zdecydowanie inne niż w Polsce. Są spontaniczne i niezorganizowane. To, co obserwujemy w Polsce, to manifestacje organizowane odgórnie przez „Gazetę Wyborczą". Protesty anty-Trumpowe zostały wywołane przekazem medialnym i nagonką na Trumpa, ale nie są one trwałe i nie mają wsparcia autorytetów – mówi nam Maciej Rusiński, przewodniczący klubu „Gazety Polskiej" z Nowego Jorku. Obecnie protesty przygasły. Szok mija. Zarówno demokraci, jak i republikanie uspokajają nastroje. – Zobaczyliśmy, że nasz naród jest głębiej podzielony, niż myśleliśmy. Ale Donald Trump będzie naszym prezydentem. Nasza odpowiedzialność jako obywateli polega na tym, byśmy teraz tworzyli silniejszą i bardziej uczciwą Amerykę – mówiła w pierwszym przemówieniu po przegranych wyborach Hillary Clinton. Zasypanie podziałów w społeczeństwie to szansa dla tamtejszych celebrytów. Część z nich bowiem zapowiadała, że zamierza wyprowadzić się z USA po zwycięstwie Trumpa. Wśród składających takie deklaracje znaleźli się m.in. aktorka i reżyserka Lena Dunham, aktor Bryan Cranston, piosenkarka Barbra Streisand, aktorka Amy Schumer. Inne gwiazdy, które wspierały Clinton, to Madonna, Lady Gaga, Jon Bon Jovi i Beyonce.

Czy świat oszalał?

Demokratyczny wybór Amerykanów wywołał prawdziwy popłoch wśród polskiej lewicy. Jeszcze przed wyborami pojawia się okładka tygodnika Tomasza Lisa „Newsweek" z półtwarzami Donalda Trumpa i Jarosława Kaczyńskiego, opatrzona tytułem pytaniem: „Czy świat oszalał?". Śmiechu było co niemiara. Żartował również prezydent Europy Donald Tusk. „Moja żona powiedziała, że w polityce nie ma miejsca dla drugiego Donalda" – podśmiewał się przed wyborami były polski premier. Gdy gratulował prezydentowi elektowi, do śmiechu mu nie było. Podobnie jak innym autorytetom w Polsce. Radosław Sikorski, który będąc szefem polskiego MSZ-u, prowadził politykę miłości z Rosjanami i określał nasze stosunki z USA przymiotnikiem „bullshit", w ramach którego robimy Stanom „laskę", tym razem zaczął straszyć niestabilnością. Były dyplomata ocenił, że po sukcesie kandydata republikanów „stało się naprawdę niebezpiecznie i mało przewidywalnie w naszym regionie". W efekcie rząd powinien natychmiast przeprosić i pogodzić się z PO oraz ze wspierającą ją Unią Europejską. W opiniach ekspertów pojawiły się też zapewnienia, że decyzja Amerykanów oznacza koniec NATO, wolnego rynku i ogólnie świata, który znamy. Wszystkich przebił jednak poseł Platformy Obywatelskiej Michał Szczerba, który postanowił podzielić się swoimi refleksjami na Twitterze. „Miejsce Trumpa jest na śmietniku" – napisał polityk. Nie spotkał się jednak z powszechnym potępieniem, jakie dotknęło śp. posła Artura Górskiego, który po wyborze Obamy stwierdził, że to koniec „ery białego człowieka". Przypomnijmy, że wtedy zareagował polski MSZ (którym kierował Radosław Sikorski) i domagał się ukarania posła przez komisję etyki. Dezaprobatę wyraziło również kierownictwo PiS-u. I słusznie. Jak przekonaliśmy się 8 listopada, poseł Artur Górski się pomylił. ■

fot. Ron Sachs/PAP/DPA

eprasa.pl 9137619b50

Maciej Kożuszek

Ann Coulter i śmiech pokonanych

Gdy wyborcze zwycięstwo Donalda Trumpa, to, „czego się nikt nie spodziewał", stało się faktem, w Sieci karierę zaczął robić krótki filmik, który swoją drogę znalazł nawet do ogólnopolskich mediów. W popularnym programie komika Billa Mahera, nagrywanym jeszcze sporo przed prawyborami, zapytano gości, który z republikańskich kandydatów miałby największe szanse na wygranie prezydentury. Ann Coulter odpowiedziała wprost: „Z tych, którzy się do tej pory zdecydowali, Donald Trump". Deklaracja ta wywołała salwy śmiechu na widowni i mały festiwal zdziwionych min wśród innych zaproszonych gości. Dziś wiemy już, kto się śmiał ostatni.

Ann Coulter swoją medialną karierę zaczynała od opisywania kulis seksskandalu z udziałem Billa Clintona. Do tej pory wydała kilkanaście książek, wiele z nich znalazło się na liście bestsellerów „New York Timesa". Jej popularność sprawiła, że weszła do elitarnego grona autorów, których, z braku lepszego porównania, nazywa się konserwatywnymi odpowiednikami Michaela Moore'a. Choć w Polsce autorka „In Trump We Trust" nie jest szerzej znana, w przeciwieństwie choćby do regularnych bywalców CNN, warto pamiętać, że już niedługo jej opinie w wielu sprawach mogą mieć dużo większy wpływ na decyzje prezydenta USA niż zdanie tych, których do tej pory uznawano za nieomylne autorytety.

Po pierwsze: mur. Po pierwsze: Ameryka

W komentarzu opublikowanym na swojej stronie po wyborczym zwycięstwie Donalda Trumpa Ann Coulter wyznaczyła plan na pierwsze 100 dni jego prezydentury. Plan był prosty, zadanie na każdy dzień – „wybudować mur". Nie jest to felietonistyczny żart, ale konsekwencja diagnozy kryzysu amerykańskiej polityki, o którym Coulter pisała od dłuższego czasu. Coś, co dla mediów, a także dużej części republikańskiego establishmentu, miało być końcem marzeń Trumpa o prezydenturze, było, jak twierdzi Coulter, strzałem w dziesiątkę.

Coulter w książkach, takich jak „Mugged: Racial Demagoguery from seventies to Obama", rysuje obraz amerykańskich elit i lewicowych salonów jako gruntownie przesiąkniętych antyamerykanizmem, ideologią o komunistycznej proweniencji, opartą na filozofii antykolonializmu i multikulturalizmu. „Liberałowie kompulsywnie domagają się importu obcokrajowców powodowani swoją gorącą nienawiścią do amerykańskiego narodu. [...] Ich zdaniem jakakolwiek kultura, która zastąpi kulturę amerykańską, będzie lepsza" – pisze Coulter w najnowszej książce „In Trump We Trust". Podczas tej kampanii często powtarzała, że ze względu na liberalizację polityki imigracyjnej, radykalną i szokową zmianę struktury etnicznej USA, wybór Trumpa na prezydenta może być ostatnią szansą na powstrzymanie procesu, w ramach którego Amerykanie ceniący tradycyjne wartości stają się we własnym kraju mniejszością.

Autorka „Mugged..." demaskuje przy tym fałsz głoszenia tolerancji, pierwowzór naszej pedagogiki wstydu, która zamienia się w prześladowanie jednej grupy społecznej: białych Amerykanów. Powiedzenie o muzułmanach, że są agresywni, jest „zbrodnią z nienawiści", powiedzenie tego samego o białych Amerykanach daje wstęp na intelektualne i artystyczne salony. Amerykanie, uważa Coulter, mają ta-

eprasa.pl 9137619b50

kie samo jak inne narody prawo do narodowej dumy, do poczucia, że są u siebie.

Książki Coulter nie są przeznaczone jednak dla „białych supremacjonistów". Jedną z głównych jej tez jest twierdzenie, że Partia Demokratyczna, która do późnych lat 50. reprezentowała rasistowskie Południe, antyrasistowska stała się z wyrachowania. Trump, który podobno ceni książki Coulter, często podczas kampanii głosił, że ani Obama, ani Hillary niczego nie zrobili dla czarnej społeczności. Same wybory pokazały, że polityczny podział oparty na rasie zaczyna powoli pękać, bo choć Hillary zebrała zdecydowaną większość głosów czarnych, Trumpowi udało się podwoić wynik uzyskany cztery lata wcześniej przez Mitta Romneya.

▶ Wygrywać, aż się zmęczymy

Oparcie polityki na interesie narodowym, postawienie Ameryki na pierwszym miejscu, a w wymiarze kulturowym odbudowanie prostego, charakterystycznego kiedyś dla Amerykanów optymizmu i entuzjastycznego patriotyzmu – to podejście zapewniło wygraną Trumpowi i ogromną popularność Ann Coulter. Choć przyzwyczailiśmy się nazywać takie hasła „pustym populizmem", to zestawienie ich z szaleństwem, które zafundowała amerykańskiemu społeczeństwu lewica, sprawia, że ten „pusty populizm" może lepiej opisywać rzeczywistość niż jakiekolwiek eksperckie diagnozy.

Strategia, którą stosuje Coulter w podejściu do mediów, jest bardzo podobna do tej, którą obierał Donald Trump. Można nawet powiedzieć, że jego kandydatura była niejako skrojona na miarę jej poglądów i temperamentu. Kariera autorki „How to Talk to a Liberal" pokazuje też istotną zmianę w podejściu konserwatystów do debaty publicznej w Stanach Zjednoczonych. Ta zmiana może być opisana jednym zdaniem: o ile kiedyś chciano lewicę do konserwatywnych poglądów przekonać, teraz celem jest jej pokonanie. Coulter bardzo daleko jest do postawy takich klasyków konserwatyzmu, jak William Buckley Jr., który w swoim legendarnym programie „The Firing Line" potrafił toczyć cywilizowane debaty nawet z lewackimi radykałami w rodzaju Saula Alinsky'ego.

Choć można z sentymentem wspominać czasy, gdy amerykański konserwatyzm tworzyły takie postacie, jak choćby Russell Kirk czy Buckley, nie sposób nie zauważyć, że to właśnie tradycyjne elity Partii Republikańskiej, w tym następcy Buckleya z „The National Review", poniosły w związku z tą kampanią równie druzgocącą porażkę co Hillary Clinton. Bo choć wielokrotnie opisywały przyczyny upadku konserwatywnej tradycji w Ameryce, nie umiały znaleźć recepty na jej zwycięstwo. ■

fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9137619b50

Iwo Bender

eprasa.pl 91e7619b50

Pożegnanie z „szemraną Hillary”. Kto wybrał Trumpa?

Głębokie południe Stanów Zjednoczonych, niecałe cztery lata temu, przypadkowa rozmowa z – nazwijmy go – Johnem. Młody chłopak, pracuje jako ochroniarz. Zaczyna opowiadać o tym, że kraj jest podzielony jak nigdy. „A jak spróbują nam odebrać naszą broń, to wybuchnie druga wojna domowa!”.

Ilustracja: Mariusz Tholiński

Sprawa prosta, kraj podzielił się w ciągu ostatnich ośmiu lat, a Trump wygrał, bo zagłosowali na niego południowcy – instynktowni nosiciele tradycyjnych amerykańskich wartości według jednych, rasistowscy prostacy według innych. Tyle że zdobycie stanów Południa nie daje zwycięstwa. OK – powiedzą zwolennicy Hillary Clinton z elit Wschodniego Wybrzeża i Kalifornii – ale Trumpowi swoją antyimigracyjną retoryką udało się zmobilizować jeszcze mentalnych pobratymców południowych „czerwonych karków” na Środkowym Zachodzie i północnym wschodzie – równie ksenofobicznych ubogich tzw. białych śmieci.

Tych też by nie starczyło, a poza tym duża część tej grupy mieszka w stanach tradycyjnie głosujących na demokratów, których Trumpowi nie udało się odbić. A odbić kilka stanów musiał, robiąc wyłom w „niebieskim murze” demokratów (m.in. Michigan, Illinois, Wisconsin, Ohio, Pensylwania, New Hampshire), aby dojść do słynnej liczby 270 głosów elektorskich – minimum potrzebnego do zwycięstwa. Liczba głosów elektorskich do zdobycia w poszczególnych stanach odpowiada łącznej liczbie kongresmenów (proporcjonalnej do populacji stanu) i senatorów (tych jest zawsze dwóch) z danego stanu, co daje pewne fory mniejszym z nich i tłumaczy, dlaczego zdobywając więcej głosów w skali kraju, można przegrać wybory.

Zwycięstwo Trumpa nie było tzw. *landslide* (lawiną), tak jak zapomniany triumf Nixona w 1972 r., który zdobył wówczas 520 głosów elektorskich, 60 proc. oddanych głosów i 49 stanów. Trump zebrał w skali całego kraju mniej głosów niż jego oponentka, „uciułał” jednak odpowiednią liczbę głosów elektorskich, zwyciężając w wielu stanach małą przewagą, wynikającą z jednej strony z sumy niewielkich przesunięć szeregu bloków wyborców, z drugiej zaś – ze skutecznego zniechęcenia potencjalnego elektoratu swojej kontrkandydatki do udziału w wyborach.

Dwa przekazy

Przesłanie, jakie kierował do wyborców kandydat Trump, można by streścić następująco: „Ameryka przegrywa w globalnej handlowej i politycznej rywalizacji, miejsca pracy uciekają za granicę, sypie się infrastruktura, zwykli ludzie mają dość politycznej poprawności, duszą nas podatki i regulacje, media, wielki biznes i politycy tworzą jeden skorumpowany i ustawiony układ. Nie panujemy nad własnymi granicami. System opieki zdrowotnej »Obamacare« nie działa. Ja to zmienię, dam głos Amerykanom, o których Ameryka zapomniała. Dodatkowo jestem za ochroną życia poczętego i utrzymaniem drugiej po-

eprasa.pl 9137619b50

prawki do konstytucji (prawo do posiadania broni). Potrafię zrealizować ten program, bo osiągnąłem ogromne sukcesy w biznesie! Hillary Clinton jest skorumpowana i nie nadaje się na prezydenta".

Przekaz Hillary Clinton można by streścić tak: „Po przełomowej prezydenturze pierwszego Afroamerykanina na tym stanowisku czas na kolejny przełom – pierwszą kobietę prezydenta. Problemy kraju możemy rozwiązać, podwyższając podatki dla najbogatszych, z nich będziemy finansować infrastrukturę i edukację. »Obamacare« działa dobrze. Nie da się zatrzymać postępu. Powinniśmy wprowadzić amnestię dla nielegalnych imigrantów i przyjmować więcej uchodźców. Drugą poprawkę należy ograniczyć, aborcja powinna być legalna do końca trwania ciąży. Potrafię to wszystko uczynić, bo mam długie doświadczenie w służbie publicznej! Donald Trump jest złym człowiekiem, gardzącym kobietami i mniejszościami i nie nadaje się na prezydenta".

Latynoski wybór z rozsądku

Od początku kampanii wiadomo było, że spośród stanów z największą liczbą głosów elektorskich Kalifornia (55) i Nowy Jork (29) zagłosują na kandydatkę demokratów, a Teksas (38) – na kandydata republikanów. Jak często się zdarza w wyborach prezydenckich, jednym z kluczy do dającego zwycięstwo ułożenia puzzli była Floryda z jej 29 głosami elektorskimi. To tzw. stan purpurowy, czyli taki, który czasem głosuje na czerwono (republikanie), a czasem na niebiesko (demokraci). George W. Bush wygrał na Florydzie większością 500 głosów, zabierając prezydenturę sprzed nosa Alowi Gore'owi. Cztery lata temu Barack Obama pokonał tam Mitta Romneya różnicą 74 tys. głosów, na prawie 8 mln oddanych. Trump pokonał Clinton różnicą ponad 120 tys. głosów.

Jak kandydat tak ostro krytykujący nielegalną imigrację (przede wszystkim z Meksyku) mógł tego dokonać w stanie, w którym około jedna czwarta mieszkańców to Latynosi? Odpowiedź jest złożona – ponad milion florydzkich Latynosów to Kubańczycy, którzy, z oczywistych względów, za lewicą (jakąkolwiek) nie przepadają (Trump dostał głosy 54 proc. z nich), dodatkowo całkiem spora część Latynosów – obywateli USA – wcale nie jest zachwycona perspektywą tolerowania imigracji nielegalnej, która może zabrać im pracę, i zagłosowała na Trumpa z rozsądku.

Obie główne partie nie zauważyły, że dzieci imigrantów zaczynają się asymilować – opuszczają etniczne getta, wiele z nich służy w wojsku, przejmując amerykański *esprit-de-corps*, coraz więcej Latynosów zdobywa też wykształcenie i odnosi sukcesy w biznesie czy palestrze, nie odcinając się od swojej, najczęściej katolickiej, tożsamości. To nowe pokolenie coraz częściej postrzega paternalizm demokratów jako coś obraźliwego, jego przedstawiciele nie są już przecież nieznającymi angielskiego robotnikami rolnymi zagubionymi w nowym kraju, którym dobrzy politycy pomogą w zamian za głosy. Brytyjski „Independent" poświęcił latynoskim wyborcom Trumpa cały artykuł, w którym cytuje m.in. 30-letnią prawniczkę z Los Angeles, Katherine Vasconez, która tłumaczy, że „Trump był moim pierwszym wyborem. Przyciąga mnie do niego jego duch wygrywania. Ja sama ciężko pracuję i czasami są chwile, kiedy naprawdę chcesz wygrać i zmierzysz się ze wszystkimi przeciwnościami po to tylko, aby osiągnąć ten jeden cel". Romney cztery lata temu zdobył 27 proc. głosów latynoskich, Trump w tym roku – 29 proc.

> Przesłanie, jakie kierował do wyborców kandydat Trump, można by streścić następująco: „Ameryka przegrywa w globalnej handlowej i politycznej rywalizacji, miejsca pracy uciekają za granicę, sypie się infrastruktura, zwykli ludzie mają dość politycznej poprawności, duszą nas podatki i regulacje, media, wielki biznes i politycy tworzą jeden skorumpowany i ustawiony układ. Nie panujemy nad własnymi granicami. System opieki zdrowotnej »Obamacare« nie działa. Ja to zmienię".

Wisconsin z niespodzianką

Z kolei czarnoskórzy mieszkańcy Florydy stanowiący około 15 proc. populacji stanu, podobnie jak w innych częściach kraju, nie tylko nie stawili się w komisjach wyborczych równie licznie jak wtedy, kiedy startował Obama, lecz także minimalnie więk-

eprasa.pl 9137619b50

szy ich procent niż cztery lata temu zagłosował na kandydata republikanów. Wreszcie – tradycyjnie konserwatywna północno-zachodnia część Florydy zmobilizowała się jak rzadko.

Podczas gdy od początku wiadomo było, że o zwycięstwo na Florydzie oboje kandydatów będą toczyć zaciętą walkę, to odebranie demokratom stanu Wisconsin (10 głosów elektorskich) stanowiło absolutne zaskoczenie dla większości obserwatorów. Hillary Clinton była tak pewna zwycięstwa w tym stanie, że nie odwiedziła go ani razu w czasie kampanii, a wiece Trumpa w Wisconsin media odbierały jedynie jako próbę prowadzenia „wojny psychologicznej" ze strony człowieka skazanego na porażkę – przecież Trump nawet przegrał tu prawybory, a Wisconsin ostatni raz zagłosował na republikańskiego kandydata na prezydenta w 1984 r.!

O zwycięstwie Trumpa (mniej niż 30 tys. głosów) zdecydowali tu tzw. reaganowscy demokraci, zwani także „white ethnics", biali wykwalifikowani robotnicy, zazwyczaj pochodzenia niemieckiego, norweskiego, irlandzkiego, polskiego i włoskiego, bez wyższego wykształcenia, mieszkający poza największymi ośrodkami miejskimi. To ich właśnie najbardziej dotknęło przeniesienie zakładów przemysłowych do krajów o tańszej sile roboczej – tu ważnym argumentem za Trumpem była jego obietnica wprowadzenia 30-procentowego cła na produkty z takich fabryk. Jednocześnie ta grupa demograficzna, tradycyjnie związana z demokratami, nie jest w stanie zrozumieć przesunięcia się Partii Demokratycznej na pozycje lewicy obyczajowej i skoncentrowania się na wspieraniu mniejszości, a nie swojej tradycyjnej bazy, czyli ich, tzw. niebieskich kołnierzyków. To oni musieli poczuć się najbardziej dotknięci słowami Hillary Clinton o tym, że połowa wyborców Trumpa to ludzie godni potępienia (deplorablels). Natomiast religijni konserwatyści (katolicy i protestanci ewangelikalni) byli zmotywowani z dwóch powodów, niezależnie od dawnych czynów, słów, czy poglądów Trumpa. Po pierwsze, kandydat republikanów opowiedział się za życiem; w wywiadzie dla katolickiej telewizji EWTN przyznał, że zmienił swój pogląd w tej sprawie ze względu na osobiste przeżycia. Po drugie, nowy prezydent nominuje przynajmniej jednego, a być może nawet trzech sędziów Sądu Najwyższego na dożywotnie kadencje. Trump zapewnił, że jego nominaci będą pro-life, a to właśnie Sąd Najwyższy zalegalizował w Stanach aborcję w 1973 r. Dodatkowo, wielu katolików poczuło się bardzo dotkniętych ujawnionymi przez WikiLeaks e-mailami szefa kampanii Hillary Clinton Johna Podesty pokazującymi jego pogardę wobec Kościoła katolickiego.

Dodatkowo Trumpowi sprzyjała mniejsza mobilizacja murzyńskiej ludności większych ośrodków miejskich (w samym Milwaukee oddano 50 tys. głosów mniej niż przed czterema laty).

Polska Pensylwania

Podobnie było w Pensylwanii (20 głosów elektorskich), gdzie mieszkańcy mniejszych miejscowości wystawili rachunek demokratom za słynne słowa Baracka Obamy z 2008 r.: „Jak się pojedzie do tych małych miast w Pensylwanii i jak w wielu małych miastach na Środkowym Zachodzie, od 25 lat nie ma tam miejsc pracy i nic ich nie zastąpiło... I nic zaskakującego w tym, że stają się zgorzkniali, trzymają się kurczowo broni albo religii, albo antypatii wobec ludzi, którzy są od nich odmienni, albo postawy antyimigranckiej, albo sprzeciwu wobec handlu – jako sposobu na wytłumaczenie ich frustracji".

Specyfiką Wisconsin i Pensylwanii jest to, iż mają one znaczący odsetek ludności polskiego pochodzenia – odpowiednio ponad 7 i ponad 9 proc. – i niewykluczone, że kiedy spłyną już analizy dotyczące rozkładu głosów na poziomie poszczególnych hrabstw, może się okazać, że to właśnie oni zadecydowali o zwycięstwie Trumpa w tych stanach.

Rachunek dla „szemranej Hillary"

A tak naprawdę wybory dla Trumpa, zanim jeszcze stał się on oficjalnym kandydatem republikanów, wygrał Stephen K. Bannon. To barwna postać – były oficer marynarki wojennej, następnie pracownik banku Goldman Sachs, później inwestor medialny (współwłaściciel praw do niezwykle popularnego serialu „Seinfeld"), producent filmowy (m.in. „Tytus Andronikus" z Anthonym Hopkinsem), a wreszcie szef kontrowersyjnego konserwatywnego portalu Breitbart.com. Jest on także założycielem Government Accountability Institute – GAI (Instytutu Rządowej Odpowiedzialności), swego rodzaju think tanku analitycznego tropiącego korupcję i inne nieprawidłowości w administracji. Wiosną 2015 r. prezes GAI Peter Schweizer opublikował świetnie udokumentowaną książkę „Clinton cash: nieznana historia o tym, jak i dlaczego zagraniczne rządy i przedsiębiorstwa pomogły Billowi i Hillary się wzbogacić". Sprzedała się w nakładzie 200 tys. egzemplarzy, a film dokumentalny na jej podstawie, który pokazał się już w roku wyborczym, obejrzały w Sieci miliony widzów. To dzięki tej książce przyklejonej przez Trumpa jego kontrkandydatce łatki „crooked (szemrana) Hillary" nie dało się zedrzeć. ■

eprasa.pl 9137619b50

Religijna kontrrewolucja

Tomasz P. Terlikowski

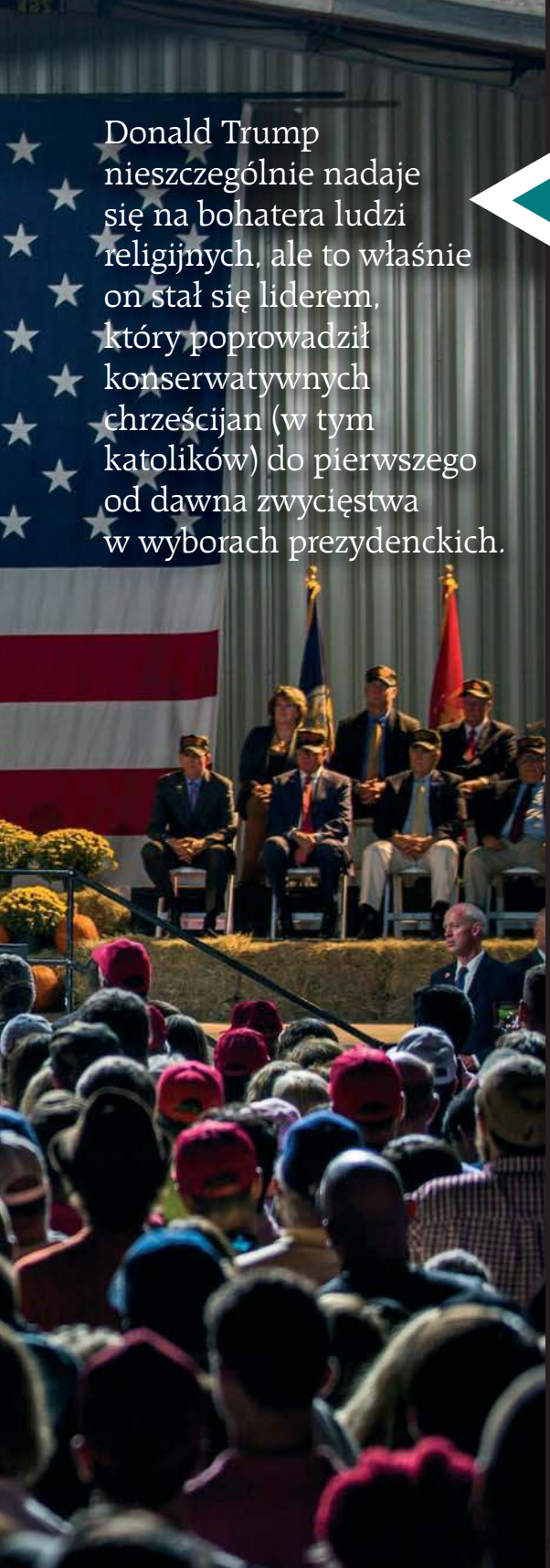

Donald Trump nieszczególnie nadaje się na bohatera ludzi religijnych, ale to właśnie on stał się liderem, który poprowadził konserwatywnych chrześcijan (w tym katolików) do pierwszego od dawna zwycięstwa w wyborach prezydenckich.

fot. JIM LO SCALZO/PAP/EPA

Wyliczanie wad i słabości Donalda Trumpa zajęłoby sporo czasu. Trzy żony, stosunek do kobiet i ludzkiej seksualności, poglądy religijne odległe nawet od protestanckiej ortodoksji (by wymienić tylko uznanie pozytywnego myślenia za najlepszą teologię) – wszystko to zdecydowanie nie powinno zbliżać ani ewangelikalnych chrześcijan, ani tym bardziej katolików do tego akurat polityka. Jeśli do tego dodać złośliwości, jakich Trump nie szczędził papieżowi Franciszkowi (ten ostatni mu się zresztą za nie rewanżował) – obraz stanie się pełny. A jednak nie ma co ukrywać, że Donalda Trumpa do władzy wyniosły nie tylko potężny kryzys ekonomiczny, brak poczucia wartości rzesz Amerykanów i uznanie, że elity ich oszukują, lecz także ogromny impuls religijny, który ożywił konserwatystów w różnych wyznaniach. Impuls ten od dawna jest żywy, ale od dwóch kadencji Baracka Obamy nie udało się znaleźć kogoś, kto byłby w stanie poprowadzić konserwatywnie myślących Amerykanów ku zwycięstwu. Ani nieszczególnie religijny, choć o pięknej historii życia John McCain (*notabene* też dwukrotny rozwodnik), ani mormon Mitt Romney nie zdołali pokonać kandydata skrajnej lewicy. Udało się to dopiero Trumpowi, który jeszcze kilka lat temu głosił poglądy – najdelikatniej rzecz ujmując – odległe od konserwatyzmu.

Ostatnia szansa chrześcijan

Nie będę tu analizował czysto politycznych przyczyn sukcesu Trumpa. Jest ich wiele, ale w „Nowym Państwie" napisali o nich inni. Warto jednak zastanowić się, dlaczego to właśnie jemu udało się zebrać głosy zarówno ewangelikalnych chrześcijan (choć to akurat nie musi zaskakiwać, bowiem oni zazwyczaj głosują na kandydata republikanów), jak i katolików (a to jednak można uznać za sukces, bowiem poprzednio większość – nieznaczna, ale jednak – z nich głosowała na Obamę). Zanim jednak to zrobimy, warto spojrzeć na twarde dane. A są one niezwykle jednoznaczne. Ogromna większość chrześcijan zagłosowała na Trumpa. Spośród katolików 52 proc. oddało swój głos na niego, a 45 proc. na jego rywalkę. Trumpa poparło także 60 proc. badanych protestantów (wśród białych protestantów ewangelikalnych odsetek ten był jeszcze wyższy i wynosił ponad 80 proc.) i 55 proc. przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich, podczas gdy na Clinton głosowało 37 proc. protestantów i 43 proc. przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich.

Skąd tak potężne wsparcie chrześcijan dla ekscentrycznego miliardera, o którego szczególnym zaangażowaniu religijnym nic nie wiadomo? Odpowiedzią może być krótki wpis na Twitterze jednego z najważniejszych liderów opinii ewangelikalnej Franklina Grahama (syna słynnego ewangelisty Billy'ego Grahama), który gdy dowiedział się o zwycięstwie Trumpa, napisał po prostu: „Wierzę, że Boża

bf9137619b50

ręka zainterweniowała we wtorkowy wieczór, aby zatrzymać bezbożną, ateistyczną, postępową agendę od przejęcia kontroli". I tak samo na to zwycięstwo spoglądało wielu katolików. W dniu głosowania jeden z najbardziej znanych księży i obrońców życia ojciec Frank Pavone nagrał 40-minutowy film, w którym stojąc nad zwłokami poronionego dziecka rozłożonymi na ołtarzu, wyjaśniał, dlaczego chrześcijanin nie może zagłosować na Hillary Clinton. Dla niej aborcja, i to aż do dziewiątego miesiąca ciąży, była normą – przypominał o. Pavone. I choć biskup wszczął później wobec niego dochodzenie, to film – tylko w dniu wyborów – obejrzało prawie milion dwieście tysięcy osób, a zdecydowana większość z nich komentowała go pozytywnie.

Lewactwo przegrało

Trump, choć jeszcze kilka lat temu jego poglądy w sprawie aborcji były dość liberalne, od samego początku kampanii jasno i jednoznacznie obiecywał, że pozbawi finansowania Planned Parenthood (co jest jednym z najważniejszych postulatów konserwatystów, szczególnie po tym, jak ujawniono, że organizacja ta handlowała ciałami mordowanych przez siebie dzieci), a także mianuje do Sądu Najwyższego sędziów o poglądach jednoznacznie pro-life. Oni zaś, a jest to jedyne, co można obecnie w Stanach Zjednoczonych zrobić, obalą wyrok „Roe przeciwko Wade" i przywrócą stanom prawo do samodzielnego decydowania o własnym ustawodawstwie. Część z nich już teraz jasno głosi, że przywróci zakaz aborcji, inne deklarują postawę odwrotną, ale obalenie słynnego wyroku z początku lat 70. byłoby ogromnym sukcesem obrońców życia.

Dla katolików, przynajmniej tych mocno zaangażowanych, istniał jeszcze minimum jeden powód, by odrzucić – i to zdecydowanie – kandydaturę Hillary Clinton. Był nim ograniczający prawa katolików program „Obamacare", wedle którego także zakony katolickie musiały finansować dla swoich świeckich pracowników aborcję czy antykoncepcję. Zgromadzenia, które odmawiały płacenia tej części składek, były stawiane przed sądami i skazywane. Donald Trump już na początku kampanii zapewnił, że on te zasady zmieni (przede wszystkim dlatego, że zlikwiduje sam program), i że będzie bronił wolności sumienia wszystkich obywateli USA.

Dla protestantów równie istotne były obietnice dotyczące zerwania z absurdalną polityką genderową, którą od dawna forsował – zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz Stanów Zjednoczonych – Barack Obama. Jej swoistym symbolem stała się polityka szaletowa, wedle której instytucje publiczne musiały albo budować trzecie toalety (dla osób transpłciowych czy o nieokreślonej, wedle siebie, płci), albo wpuszczać ludzi do toalet wedle ich własnych deklaracji. Nie mniej istotne były procesy wytaczane właścicielom niewielkich cukierni czy hotelików, którzy odmówili świadczenia usług parom gejowskim. Wyroki, nie bez wpływu kolejnych decyzji prezydenta, często oznaczały zniszczenie całego biznesu. I tego także mieli dosyć konserwatywni chrześcijanie.

Rozpustny katechon?

Czy wszystkie te nadzieje wiązane przez chrześcijan z osobą Donalda Trumpa zostaną spełnione? Już teraz wiadomo, że wycofa się on ze zmian wokół tzw. małżeństw homoseksualnych. Tyle że nie jest to problem najważniejszy dla chrześcijan w Stanach Zjednoczonych. Wielu z nich pogodziłoby się z ustawami zatwierdzonymi przez Sąd Najwyższy, gdyby tylko nie zmuszano ich do uczestniczenia w ich udzielaniu albo celebrowaniu. A wiele wskazuje na to, że zapewnią im to, nawet jeśli nie sam Trump, to wiceprezydent Pence, a także doradcy. Jeśli chodzi o aborcję, zapowiedzi szybkich (gdy tylko będą możliwe) zmian w Sądzie Najwyższym zostały powtórzone, a brzmią one na tyle poważnie, że feministki zaczęły już – z typową dla siebie histerią – organizować kursy aborcji chemicznych i domowych. Kilka dni po wyborze padła też pierwsza klinika Planned Parenthood, a gdy odebrane zostaną im federalne fundusze, w krótkim czasie zaczną padać następne.

Wygrana Trumpa przywróciła także chrześcijanom wiarę w to, że są oni w stanie walczyć o swój kraj i nie muszą oddawać go skrajnym progresistom. Czy te nadzieje rzeczywiście się spełnią, pozostaje oczywiście sprawą otwartą. Jedno jednak nie ulega wątpliwości: jest na to szansa, bowiem po raz pierwszy od dawna okazało się, że „moralna większość" wcale nie umarła. I nawet jeśli jest osłabiona i nie zawsze znajduje odpowiedniego kandydata, to jeżeli się zjednoczy, może zawalczyć o przyszłość Stanów Zjednoczonych.

Na koniec trudno nie zadać pytania, czy Trump rzeczywiście nadaje się na przywódcę ruchu odnowy moralnej czy konserwatywnego i chrześcijańskiego odrodzenia? Odpowiedzi dostarczyć może uważna lektura niezwykłego eseju T.S. Eliota „Idea społeczeństwa chrześcijańskiego", w którym anglikański myśliciel wprost stwierdza, że z punktu widzenia konserwatywnego, chrześcijańskiego państwa nie jest istotne, czy polityk, przywódca rzeczywiście jest osobą wierzącą. „To nie chrześcijaństwo mężów stanu liczy się w pierwszym rzędzie, lecz ich ograniczenie – nakładane przez usposobienie i tradycję ludzi, którymi rządzą – do poruszania się w obrębie postaw chrześcijańskich, na których mogą realizować swoje ambicje i przyczyniać się do wzrostu koniunktury oraz prestiżu swojego kraju" – podkreślał T.S. Eliot. Trump jest ograniczony przez usposobienie swojego otoczenia, a jako że doskonale wyczuwa on nastroje ludzi, to może rzeczywiście przyczynić się do odrodzenia chrześcijańskiej Ameryki. Czy tak się stanie, tego nie wiadomo, ale jedno jest pewne – po lewackiej prezydenturze Obamy będzie to bez wątpienia czas oddechu dla chrześcijan. ■

eprasa.pl 9137619b50

Małgorzata Matuszak

TAK dla życia

Niestety, w większości przypadków kobieta, która dowiaduje się o chorobie dziecka rozwijającego się w jej łonie, spotyka się przede wszystkim z presją otoczenia, lekarzy, mediów, osób bliskich – żeby poddała się zabiegowi aborcji. Zamiast wsparcia i pomocy dostaje propozycję zabicia własnego potomka jako najrozsądniejsze rozwiązanie.

eprasa.pl 9137619b50

Prezydent Andrzej Duda podpisał w listopadzie ustawę „Za życiem", która zacznie obowiązywać od 1 stycznia 2017 r. Wywołała ona wiele dyskusji. W opinii tych, którzy ją uchwalali, i podpisującego ją prezydenta została stworzona po to, by wesprzeć rodzinę, w której urodzi się dziecko z ciężkim i nieodwracalnym upośledzeniem albo nieuleczalną chorobą zagrażającą życiu, powstałymi w prenatalnym okresie rozwoju dziecka lub w czasie porodu. W opinii innych jest, niestety, kpiną, jałmużną, przekupstwem... W tym względzie zaniedbania sięgają wielu lat, rodziny z niepełnosprawnymi dziećmi nie miały pomocy bądź była ona niewystarczająca, trudno więc oczekiwać, by zmiana nastąpiła od razu. Każdy jednak krok jest ważny. Ten jest pierwszy i z pewnością nie ostatni. Bo też zmienić trzeba wiele. Także, a może przede wszystkim, samo podejście do problemów związanych z niepełnosprawnością.

Sprawa Oliwiera

Oliwier Pelon urodził się 17 listopada 2014 r. Bez części nóg i części rąk – prawa rączka pozbawiona jest dłoni, lewa kończy się przed łokciem, jedna nóżka ma jeszcze szczątkowe kolano, druga kończy się przed nim. Miał być „normalnym" dzieckiem, w trakcie ciąży podczas żadnego z wykonanych kobiecie badań USG, a było ich siedem przeprowadzonych przez sześciu lekarzy, nie wykryto u dziecka żadnej wady, żaden z lekarzy nie zauważył niczego niepokojącego. „Wszystkiego dowiedzieliśmy się dopiero po porodzie, po cesarskim cięciu. Mnie poinformował mąż. Przyszedł do mnie i powiedział mi, że dziecko urodziło się bez nóg i praktycznie bez rąk. Byłam w szoku. Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam: to jest jak zły sen. Na żadnym USG nikt nie zauważył, że dziecko nie ma nóg czy rąk. To jest nieprawdopodobne. To nie jest drobny szczegół, kiedy nie widać, że nie ma jednego palca – tym bardziej, że lekarze podczas USG liczą nawet palce. Lekarz prowadzący określił nam nawet płeć dziecka, więc nie rozumiem, jak to jest możliwe, że nie widział reszty ciała" – powiedziała matka chłopca, Anna Pelon.

Po urodzeniu chłopca rodzice wstąpili na drogę sądową, domagając się pociągnięcia do odpowiedzialności lekarzy, którzy nie wykryli w porę nieprawidłowości, odszkodowania za zaistniałą sytuację i renty. O Oliwierze zaczęło niedawno na nowo być głośno, gdyż Śląska Izba Lekarska umorzyła sprawę dotyczącą chłopca, uznając, że żaden z lekarzy badających matkę i dziecko nie popełnił przewinienia zawodowego. W uzasadnieniu powołano się na opinię biegłego, według której „przeszło połowa amputacji kończyn jest nierozpoznawalna prenatalnie. Rekomendacje Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego dotyczące oceny całych kończyn płodu powstały w 2015 r. W latach wcześniejszych nie było takich zaleceń". Rodzice Oliwiera postanowili walczyć dalej, nie mogąc pogodzić się z tym, że żaden z lekarzy nie czuje się winny, nie przyznał się do błędu i nie przeprosił ich za to, co się stało. Odwołali się od decyzji Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej, wciąż też toczą bój w sądzie o odszkodowanie.

Tak sprawa Oliwiera była przedstawiana przez media, szczególnie głośno przez TVN. Niestety, jak to często bywa, nierzetelnie i jednowymiarowo, w dodatku teraz wpleciona została w dyskusję na temat ustawy „Za życiem".

Czy można było coś zrobić?

Oliwier urodził się niepełnosprawny wskutek zespołu taśm owodniowych. Jest to wada wrodzona rozwijająca się w okresie prenatalnym, powodująca zbyt wczesne pęknięcie worka owodniowego, którego pasma w tym przypadku przywarły do dziecka i zacisnęły się na kończynach, doprowadzając do ich ucięcia.

Zespół taśm owodniowych to rzadka wada, dotykająca jedno dziecko na 15 tys. urodzeń. Do pęknięcia owodni dochodzi zwykle między 28. dniem a 17. tygodniem ciąży, choć zdarza się, że i później, tak więc zespół pasm owodniowych można wykryć już podczas drugiego badania USG, które odbywa się pomiędzy 17. a 20. tygodniem ciąży. W przypadku stwierdzenia ABS konieczne jest specjalne monitorowanie ciąży, sprawdzanie położenia pasm, a w przypadku zagrożenia dla dalszego rozwoju, a nawet śmierci dziecka, możliwe jest dokonanie operacji w łonie matki. Wykonuje się je nawet w Polsce, choćby w Klinice Położnictwa Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Niestety, lekarze przyznają, że zaobserwowanie pasm owodniowych nie jest łatwe, są bowiem bardzo małe i potrzebny jest wprawny ultrasonolog oraz dobry, nowoczesny ultrasonograf albo rezonans magnetyczny, by je dostrzec. To sprawia, że na USG najczęściej widzi się już tylko skutek, jaki wywołały. Trzeba więc odróżnić w tym wypadku dwie rzeczy: wykrycie samych pasm, zanim pookręcały się wokół kończyn dziecka i spowodowały ich amputację, i zauważenie skutków działania pasm, braku nóżek i rąk. Państwo Pelonowie mają żal do lekarzy i pociągają ich do odpowiedzialności za to, że nie zdiagnozowali w porę tej wady, co mogłoby zapobiec amputacji kończyn. Głośniej jednak pytają o to, jak mogli nie dostrzec podczas badania braku kończyn u dziecka. Zapewne pani Anna miała robione USG

eprasa.pl 9137619b50

na aparatach zbyt słabej jakości, starych i niedokładnych, by można było zobaczyć zagrożenie. Niedostrzeżenie skutków działania pasm rzeczywiście może wydawać się dziwne, w grę wchodzi, jak wypowiadają się w tej sprawie inni lekarze eksperci, albo wina lekarza, albo wadliwego sprzętu. To się zdarza, zdarzyło nie tylko w przypadku Oliwiera.

Co by się jednak stało, gdyby któryś z lekarzy brak kończyn dostrzegł i o nim rodziców Oliwiera poinformował? Gdyby stało się to w szóstym, siódmym miesiącu ciąży, przed samym rozwiązaniem? Braku kończyn nie można by było w żaden sposób wyleczyć. Różnica byłaby jedynie taka, że rodzice mogliby się na urodzenie niepełnosprawnego dziecka przygotować.

Gdyby wcześniej...?

Kiedy o Oliwierze zaczęło być głośno, pojawiło się mnóstwo komentarzy na temat lekarzy, którzy badali panią Annę w czasie ciąży, określających ich mianem „katolekarzy z sumieniem na bakier", „lekarzy z PiS-u", „uczniów Chazana", opinii, w których można było przeczytać, że: „Ten ich lekarz nosi krzyżyk na karku. Wszystko jasne co się stało. Widział, ale nie chciał dopuścić do aborcji. Powinien zostać surowo ukarany", „Może lekarze wiedzieli co jest, tylko matce nie mówili... bo kościół zakazał". Mówił o tym również wpis na blogu prof. Anny Senyszyn z 23 lutego 2015 r. zatytułowany „Polska specjalizacja: ginekolog-hipokryta". Przytoczę go prawie w całości, doskonale bowiem obrazuje, jak „sprawę Oliwiera" postrzegają ludzie pokroju pani profesor: „Trzymiesięczny obecnie Oliwier Pelon z Zawiercia urodził się bez rąk i nóg. Był to szok dla jego rodziców, bo lekarz prowadzący, Paweł Jedynak, zapewniał, że ciąża rozwija się prawidłowo. Potwierdzało to pięciu innych lekarzy, którzy także wykonywali usg. Żaden nie ostrzegł matki ani nie poinformował, że w zaistniałej sytuacji może legalnie usunąć ciążę, bo dopuszcza to obowiązująca ustawa, choć generalnie jest antyaborcyjna. Powstaje pytanie, które do tej pory nie zostało zadane: czy lekarze ukrywali przed matką wady płodu, aby nie dopuścić do ewentualnej aborcji? Czy potraktowali p. Annę Pelon, jak inkubator, który ma donosić ciążę, zamiast, jak odpowiedzialną kobietę, która ma prawo decydować o sobie i przyszłym dziecku. W Polsce jest niestety wielu Chazanopodobnych lekarzy, którzy nie tylko nie wykonują aborcji w dopuszczonych przez prawo przypadkach, ale też nie kierują pacjentek do innego lekarza. Zasłaniają się klauzulą sumienia, żeby się nie narażać księdzu, katoprawicowej opinii publicznej, nadgorliwemu prokuratorowi".

Ogromna liczba komentarzy do słów pani Anny, że jej synek miał szczęście, iż taśmy nie owinęły się wokół szyi i że w ogóle przeżył, też nie pozostawiała wątpliwości: „»ma szczęście, że przeżyło« – to jakiś żart? tragedia straszna i lepiej dla niego i rodziców gdyby się nie urodził niż żyć jak kadłubek niezdolny nigdy do życia i bez szans na jakąkolwiek normalność :(współczuję z całego serca Rodzicom", „Czy można powiedzieć, że ktoś ma szczęście, bo się urodził żywy, ale nie ma ani rąk, ani nóg? Ja uważam, że to koszmar. Rodzice myślą, że to szczęście, bo mają swoją laleczkę-kadłubka, ale to jest żywy człowiek, który będzie cierpiał całe życie. Lepiej się było mu nie urodzić żywym".

Chcę wierzyć...

Pani Anna mówi, że kiedy po porodzie dowiedziała się od męża, jak wygląda ich syn, była w szoku, nie mogła uwierzyć, pomyślała, że to zły sen. Oczekiwali, że wszystko będzie w porządku, dziecko urodzi się i będzie normalnie się rozwijało, że będą jeździć na wakacje... Rodzice Oliwiera to bardzo młodzi ludzie. Sytuacja początkowo ich przerosła, ale, jak twierdzą, szybko musieli się pozbierać, by pomóc swojemu dziecku. Oliwierek, poza tym, że nie ma rączek i nóżek, nie różni się niczym od swoich rówieśników. Widać, że jest bardzo rezolutnym, kochanym i szczęśliwym dzieckiem. Rodzice starają się zapewnić mu jak najlepsze dzieciństwo, robią wszystko, by usprawnić Oliwiera tak bardzo, jak to jest możliwe. Niedawno urodziło się im drugie dziecko. Chcę wierzyć w to, że nie procesuje się z lekarzami o to, że nie dali jej możliwości „wyboru" i że urodziła niepełnosprawne dziecko.

Kinga Małecka-Prybyło, członek zarządu Fundacji Pro, mówi wprost: „Z naszych doświadczeń wynika, że kobieta, która dowiaduje się o chorobie dziecka, spotyka się przede wszystkim z ogromną presją otoczenia, lekarzy, mediów, osób bliskich – żeby poddała się zabiegowi aborcji. Potrzebuje wsparcia i pomocy, a otrzymuje propozycję zabicia własnego dziecka jako najrozsądniejsze rozwiązanie. Jeśli tej sugestii się nie poddaje, spotyka ją piętnowanie na każdym etapie ciąży, często przy porodzie i po narodzeniu dziecka". Jakże cenne są w tym momencie słowa Nicka Vujicica, który także urodził się bez rąk i nóg: „Nie mogę się doczekać dnia, gdy stanę przed zwolennikami aborcji i powiem im: ZABIJCIE MNIE... Lekarze nigdy nie sądzili, że będę miał tak wspaniałe życie! A co jeżeli lekarze by się wcześniej dowiedzieli o mojej niepełnosprawności i przekonali moich rodziców, że skazywanie mnie na los człowieka bez kończyn jest niehumanitarne?! Jestem dowodem na to, że Bóg nie popełnia błędów. Nikt z nas nie wie, jakie Bóg ma wobec nas plany". ■

eprasa.pl 9137619b50

System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310 to produkt od podstaw zaprojektowany i wyprodukowany w Polsce

Roman Andrzej Stańczyk

POLSKIE DRONY NAJLEPSZE NA ŚWIECIE

System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310, który może działać na rozległym obszarze niezależnie od warunków klimatycznych, gromadząc najwyższej jakości dane – to oparty na rodzimej myśli technologicznej sztandarowy produkt Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 S.A. w Bydgoszczy. Przedsiębiorstwo należące do Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. od niedawna pełni również rolę krajowego Centrum Kompetencyjnego Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych.

eprasa.pl 9137619b50

Komisja Europejska szacuje, że za kilka lat bezzałogowe statki powietrzne będą stanowiły nawet 10 proc. światowego rynku lotniczego. Polska, obok Stanów Zjednoczonych i Izraela, jest jednym z głównych ośrodków projektujących i produkujących drony zarówno w wersji cywilnej, jak i wojskowej. Dysponując tak ogromnym potencjałem, nasz kraj jest w stanie konkurować na światowym rynku bezzałogowych statków powietrznych z obecnymi liderami w tej branży. Znaczące osiągnięcia w rozwijaniu polskiej produkcji dronów mają Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 2 S.A. z Bydgoszczy.

Polska myśl technologiczna

Spółka wchodząca w skład jednego z największych europejskich koncernów obronnych – Polskiej Grupy Zbrojeniowej – pełni również rolę krajowego Centrum Kompetencyjnego Bezzałogowych Statków Powietrznych.

– Celem powołania Centrum Kompetencyjnego Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 S.A. w Bydgoszczy jest wskazanie lidera technicznego i koordynatora we wszystkich projektach związanych z Systemami BSP realizowanych w ramach Grupy Kapitałowej PGZ S.A. Prace prowadzone przez Centrum Kompetencyjne Systemów BSP będą wykorzystywać potencjał projektowy i produkcyjny spółek wchodzących w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. – mówi prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

W Centrum Kompetencyjnym Systemów BSP będą projektowane systemy Bezzałogowych Statków Powietrznych, prowadzone prace badawczo-rozwojowe w zakresie systemów BSP. Do zdań Centrum będzie też należeć produkcja i serwisowanie systemów BSP, integracja, modernizacja oraz modyfikacja systemów BSP.

Z udziałem wiceministra Kownackiego

Centrum Kompetencyjne Bezzałogowych Statków Powietrznych zostało uroczyście otwarte 8 listopada tego roku. W tym ważnym dla rozwoju polskiego przemysłu zbrojeniowego wydarzeniu wzięli udział sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Bartosz Kownacki i wiceprezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Maciej Lew-Mirski.

– Wojskowe Zakłady nr 2 w Bydgoszczy to zakład, który szczególnie dobrze realizuje zadania wyznaczone przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Jestem pod wielkim wrażeniem bydgoskich zakładów, nie tylko z powodu imponujących działań na rzecz Sił Zbrojnych, lecz także dlatego, że stale rozszerzają one swoją ofertę o produkcję dla innych służb mundurowych oraz na rynek cywilny. Utworzenie Centrum Kompetencji bezzałogowców w Bydgoszczy oznacza, że WZL 2 będą integratorem innowacyjnych technologii w tym zakresie dla całej Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Stwarza to perspektywę wieloletniego rozwoju dla bydgoskich zakładów oraz wyjścia z polskimi produktami na rynki zagraniczne w okresie już po realizacji Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych – powiedział podczas inauguracji sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Bartosz Kownacki.

– Tworząc Centrum Kompetencyjne Systemów BSP, stwarzamy doskonałe warunki pracy dla polskich projektantów i konstruktorów. Centrum będzie miejscem, gdzie przedstawiciele świata nauki i przemysłu obronnego będą wspólnie pracować nad innowacyjnymi rozwiązaniami technologicznymi, nad nowatorskimi projektami w pełni polskich bezzałogowców. Rozwijanie innowacyjnych technologii w oparciu o polską myśl technologiczną to jeden z priorytetów Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Jestem przekonany, że te wysiłki już wkrótce zaowocują nowoczesnymi produktami przeznaczonymi nie tylko dla Sił Zbrojnych RP, lecz także na rynek cywilny. Szczególne słowa podziękowania kieruję do sekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, pana Bartosza Kownackiego, bez którego zaangażowania na rzecz przemysłu obronnego podjęcie tej, a także wielu innych inicjatyw, nie byłoby możliwe – podkreślił wiceprezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Maciej Lew-Mirski.

– Utworzenie przez Polską Grupę Zbrojeniową Centrum Kompetencyjnego bezzałogowców w bydgoskich Zakładach zapewni im trwały rozwój, ponieważ bezzałogowe systemy powietrzne są technologią przyszłości. Mam nadzieję, że dzięki pracy naszych inżynierów i specjalistów Siły Zbrojne RP uzyskają nowe zdolności obronne, a polska myśl technologiczna stanie się uznaną marką na świecie – powiedział prezes zarządu Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 S.A. w Bydgoszczy Leszek Walczak.

Doskonały SBSP typu E-310

Przedstawiciele Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 S.A. podkreślają, że pracują już nad kilkoma projektami związanymi z rozwijaniem bezzałogowych statków powietrznych. Pierwszym, o którym warto wspomnieć, jest System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310 – od podstaw zaprojektowany i wyprodukowany w Polsce. Jego głównym przeznaczeniem jest prowadzenie rozpoznania. Platforma powietrzna może operować na rozległym obszarze, niezależnie od warunków terenowych czy klimatycznych. System umożliwia gromadzenie wysokiej jakości danych rozpo-

eprasa.pl 9137619b50

Polskie drony z PGZ S.A. dla dęblińskiej Szkoły Orląt

Systemy Bezzałogowych Statków Powietrznych kategorii MICRO typu „NEOX" i „ATRAX" to pierwsze SBSP wyprodukowane pod merytorycznym nadzorem Biura Platform Lotniczych Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Przedmiotowy produkt został zakupiony przez dęblińską Szkołę Orląt w przetargu otwartym.

Pod koniec października tego roku Systemy BSP „NEOX" oraz „ATRAX" pomyślnie przeszły testy zdawczo-odbiorcze na ziemi i w powietrzu. Efektem finalnym realizacji umowy dostawy było podpisanie stosownego protokołu przez przedstawicieli Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych oraz Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Przedmiotem dostawy do dęblińskiej Szkoły Orląt są dwa zestawy SBSP, składające się z trzech samolotów typu „NEOX", jeden zestaw złożony z dwóch wirnikowców typu „ATRAX" oraz cztery Naziemne Stacje Kontroli (NSK) wraz z zespołami antenowymi oraz payloadem (ładunkiem użytecznym), w którego skład wchodzi kilkanaście głowic z kamerami elektro-optycznymi oraz na podczerwień (EO/IR).

– Lotnictwo bezzałogowe to nowa dziedzina, w której Polska Grupa Zbrojeniowa wciąż intensyfikuje swoje działania. Dotyczy to zarówno wdrożenia i udoskonalenia technologii, którymi już dysponujemy, jak i prowadzenia szeroko zakrojonych prac badawczo-rozwojowych. Jesteśmy świadomi, że sprawna realizacja działań operacyjnych na współczesnym polu walki nie może obyć się bez ciągłej implementacji najnowszych zdobyczy technologicznych. Zakup przez Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych Systemów BSP, które w 100 procentach są produktami polskich zakładów, dowodzi, że krajowy przemysł obronny ma duży potencjał w tym zakresie. PGZ jako lider polskiego przemysłu zbrojeniowego współtworzy potencjał obronny Rzeczypospolitej, wprowadzając innowacyjne rozwiązania w ramach polskiej myśli technicznej celem zwiększenia bezpieczeństwa naszych żołnierzy na współczesnym polu walki – mówi prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

Systemy BSP wyprodukowane przez konsorcjum PGZ/ITWL będą służyć Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie do szkolenia pilotów-operatorów SBSP Sił Zbrojnych RP oraz żołnierzy innych państw członkowskich NATO.

Arkadiusz Siwko

Prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A.

– Celem powołania Centrum Kompetencyjnego Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 S.A. w Bydgoszczy jest wskazanie lidera technicznego i koordynatora we wszystkich projektach związanych z Systemami BSP realizowanych w ramach Grupy Kapitałowej PGZ S.A.

znawczych. Obraz sytuacji naziemnej jest tworzony w bardzo wysokiej rozdzielczości. Dodatkowym atutem sprzętu jest pełna możliwość zobrazowania obiektów rozmieszczonych na dużych odległościach, niezależnie od warunków atmosferycznych, jak np. mgła czy nawet bardzo silne opady. System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310 pozwala śledzić również cele ruchome. Projektanci przewidzieli jego zastosowanie do celów wojskowych i cywilnych. Dron, o którym mowa, może być napędzany silnikiem spalinowym lub hybrydowym. W trakcie lotu jest w stanie osiągnąć prędkość około 210 km/h i pułap 5 tys. metrów. W zestawie z SBSP typu E-310 znajduje się również naziem-

eprasa.pl 9137619b50

Maciej Lew-Mirski:
Wiceprezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A.

– Centrum Kompetencyjne Systemów BSP będzie miejscem, gdzie przedstawiciele świata nauki i przemysłu obronnego będą wspólnie pracować nad innowacyjnymi rozwiązaniami technologicznymi, nad nowatorskimi projektami w pełni polskich bezzałogowców.

na stacja kontroli, która pozwala kierować samym dronem oraz przetwarzać dane przez niego przekazywane. Urządzenie jest w stanie prowadzić ciągły monitoring całego obszaru Polski. System został dostosowany do wymagań Ministerstwa Obrony Narodowej. W tej chwili Polska Grupa Zbrojeniowa oczekuje na zamówienie ze strony MON. Obecnie Siły Powietrzne RP nie mają na wyposażeniu bezzałogowych statków powietrznych tego typu.

Minidron DROZD

Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 2 w Bydgoszczy oferują też inne bezzałogowe statki powietrzne i drony kategorii mini. Doskonałym przykładem tego typu konstrukcji jest platforma bezzałogowa DROZD. Jak informuje producent, BSP DROZD przeznaczony jest głównie do wykonywania lotów rozpoznawczych. Wykorzystuje przy tym sensory optoelektroniczne. W skład wyposażenia minidrona wchodzi głowica zawierająca kamerę nocną lub dzienną bądź obie jednocześnie. Bezzałogowy statek powietrzny tej kategorii może startować z pasa startowego albo z wyrzutni, co pozwala na prowadzenie misji w dowolnych warunkach terenowych. Jeśli chodzi o możliwości lądowania, dron może wykonać ten manewr przy użyciu kół lub spadochronu. Podobnie jak w przypadku SBSP typu E-310 wsparcie techniczne dla minidrona zapewnia stacja kontroli misji, przetwarzająca przesyłane dane. DROZD osiąga prędkość do 180 km/h i wznosi się na wysokość do 4 tys. metrów. W zamyśle konstruktorów BSP DROZD jest przeznaczony dla służb dbających o porządek publiczny – Policji, Straży Granicznej, straży pożarnej czy też zespołów reagowania kryzysowego. Może być również stosowany do monitorowania dużych kompleksów leśnych, zbiorników wodnych czy sieci przesyłowych i komunikacyjnych.

Do pomiarów skażeń atmosfery

Bydgoski zakład pracuje również nad kolejnymi nowoczesnymi rozwiązaniami w dziedzinie bezzałogowych statków powietrznych i technologii z nimi powiązanych. Obecnie rozwijany jest projekt rodziny bezzałogowych wielowirnikowych platform powietrznych specjalnego przeznaczenia. Przedsięwzięcie funkcjonuje w ramach programu Innlot, wdrażanego we współpracy z firmą Softblue. Prace obejmują opracowanie i wykonanie prototypów platform wielowirnikowych specjalistycznej konstrukcji. Wyposażone w nowoczesne sensory i oprogramowanie mają stać się narzędziem do prowadzenia misji związanych z rozpoznawaniem obrazowym obiektów, pomiarem skażeń atmosfery oraz tworzeniem obrazu i map 3D nieznanego dotychczas terenu. Projekt jest finansowany ze środków Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR).

Drony na XXIV MSPO

Bydgoskie bezzałogowce cieszyły się dużym zainteresowaniem podczas tegorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach. Na kieleckich targach zbrojeniowych były prezentowane m.in.: System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) Typu E-310 oraz Bezzałogowy Statek Powietrzny DROZD. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję „NP" we współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową S.A.

eprasa.pl 9137619b50

Piotr Lisiewicz

Takie strzały jeszcze u nas nigdy nie padały

eprasa.pl 9137619b50

Lejtnant Wawrzyniec Nowak z Komunistycznej Partii Polski w kieszeni czarnego płaszcza miał 9-strzałowy browning kalibru 7,35 mm. Wszedł z nim do kościoła w podpoznańskim Luboniu. Ksiądz Stanisław Streich, wchodząc na ambonę, głaskał główki zebranych przy ołtarzu dzieci. Nowak wysoko podnosząc rękę, strzelił do niego dwukrotnie. Druga kula utkwiła w ewangeliarzu. Gdy ksiądz upadł, strzelił jeszcze dwa razy w jego plecy. Morderca próbował uciec, ale trzech mężczyzn powaliło go na ziemię i rozbroiło.

fot. arch. www.ksiadz-streich.org

Był 27 lutego 1938 r. Tłum chciał zlinczować komunistę, ale w końcu zaprowadzono go do dworcowej poczekalni w pobliżu kościoła i skutego w kajdanki przewieziono pociągiem do Poznania. Pogrzeb jego ofiary był 20-tysięczną antykomunistyczną manifestacją.

Po zamordowaniu księdza Streicha przez członka Wydziału Wojskowego KPP filozof, prof. Marian Zdziechowski napisał historyczne, prorocze słowa: „Widmo przyszłości prześladuje mnie i dręczy, we dnie i w nocy. I nie jest to sugestia strachu ani wytwór rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. Nie, widmo, o którym mówię, wyrasta z rzeczywistości, z tego, na co patrzymy własnymi oczami, z mordu dokonanego na osobie księdza Streicha; chmura czarna, brzemienna piorunami, pędzi na nas od najbliższego nam wschodu, od Mińska i Kijowa, od Smoleńska i Moskwy; co będzie – pytam – gdy nagle, pewnego dnia znajdziemy się wszyscy w kleszczach czerwonego terroru, niekoniecznie moskiewskiego, znajdziemy i u nas nowych Dzierżyńskich".

Popiełuszko i Streich

6 listopada 2016 r. abp poznański Stanisław Gądecki napisał w liście do wiernych diecezji, że kilka tygodni wcześniej Konferencja Episkopatu udzieliła aprobaty, czyli tzw. *nihil obstat* w sprawie procesu beatyfikacyjnego księdza Stanisława Streicha. Teraz niezbędne jest jeszcze *nihil obstat* ze strony Stolicy Apostolskiej. Jak napisał abp Gądecki, przesłanie, które po sobie pozostawił ksiądz Streich, jest „nadal aktualne i uwidacznia się w życiu jego »duchowych dzieci«".

Jeśli proces beatyfikacyjny przebiegnie pomyślnie, ksiądz Streich będzie drugim po błogosławionym Jerzym Popiełuszce polskim księdzem zamordowanym przez komunistów, beatyfikowanym po śmierci Jana Pawła II. Przypomnijmy, że księdza Jerzego beatyfikował w 2010 r. papież Benedykt XVI. Jednak historia księdza Stanisława Streicha, który zginął 78 lat temu, pozostaje o wiele mniej znana.

Profesor Marian Zdziechowski pisał o nim w cytowanym eseju „Widmo przyszłości": „Zbrodnia, której ofiarą padł kapłan wybitny i zacny, ksiądz Streich, jest czymś u nas dotychczas niesłychanym. Pytamy, jak to się stać mogło, gdzie mamy szukać jej źródła? Szukać należy w zgniłej atmosferze, którą oddychamy. Kto tę zgniłą atmosferę stworzył? Wytworzyła ją propaganda sowiecka – przez nas, niestety, głupio lekceważona, a prowadzona przez Sowietów z niezrównaną umiejętnością i zręcznością".

eprasa.pl 9137619b50

Kradzież zegarka, szantaż i list do „Walki Ludu"

„Dziennik Poznański" z 22 marca 1938 r. tak relacjonował proces oskarżonego o morderstwo działacza KPP Wawrzyńca Nowaka:

– Oskarżony szerzył hasła lewicowe?

– Nie.

– A oskarżony ożenił się po raz drugi?

– Tak, po śmierci żony ożeniłem się z pewną Rosjanką.

– A co jeszcze oskarżonego spotkało w Brodach?

– Miałem incydent ze starostą. Starałem się o pracę, lecz mimo protekcji starosta odmówił mi stale pomocy. A gdy starosta znieważył honor armii wschodniej, spoliczkowałem go.

– Akta coś innego mówią.

– Nie, to co mówię, jest prawdą.

– A jak było na Śląsku, czy oskarżony miał aferę finansową?

– Tak – odpowiada Nowak – pożyczyłem pieniądze pewnemu kapitanowi, nie swoje pieniądze. Zawiódł mnie.

– A z przemytem, co było?

– To było biuro prywatnych detektywów przemytu.

– A rewizja, czy oskarżony przeprowadził nieprawnie rewizję w pewnej fabryce, przedstawiając się jako urzędnik celny?

– Nie, to był podstęp – odpowiada Nowak – chcieliśmy zdobyć dowody.

– Więc dlaczego oskarżony był za ten czyn karany, jak za szantaż? W dalszym ciągu Nowak opowiada dalej o swej „karierze wojskowej".

– Co oskarżony sądzi o komunizmie?

– Jestem jego wrogiem, nie mam zupełnego zaufania do Stalina.

– Jest jeszcze Trocki. Co oskarżony mówił o Hiszpanii?

– Uważam, że winniśmy jej pomóc.

– Skąd oskarżony otrzymał broń?

– Jeszcze w Brodach bałem się, że policja mnie uprowadzi do Berezy. Chciałem się bronić, bo wolałem śmierć niż Berezę.

– Kiedy oskarżony przygotował zbrodnię?

– W ostatnim tygodniu dojrzał plan, trzy dni przed tym napisałem list z opisem zbrodni i poszedłem do kościoła... zastrzeliłem.

Morderca opowiada, jak zabił...

– Proszę opowiedzieć szczegółowo.

– Rano naładowałem broń i poszedłem do kościoła. Widziałem, że będzie kazanie. Byłem cały czas w kościele, nie modliłem się. Nadszedł moment, uczułem natchnienie i strzeliłem. Później nie pamiętam, co się działo ze mną, nie wiem, czy byłem na ambonie, wziął mnie strach, widząc to wszystko, co się działo dookoła mnie. Jak zeszedłem z ambony, nie pamiętam.

– Czy oskarżony chciał uciec?

– Nie – odpowiada Nowak. – Wiedziałem, co mnie czeka. Zresztą napisałem list do „Walki Ludu" do Warszawy, w którym oświadczam, że chcę ponieść śmierć za swój czyn. Uważam bowiem, że trzeba mieć również odwagę przyznać się do winy.

Sędzia Ostrowski: – Co oskarżony napisał w liście?

Na pytanie to Nowak powtarza znów stare „formułki" o wyzysku kapitalizmu. Sędzia Ostrowski: – Czy oskarżony zapowiedział w liście zamordowanie księdza i kiedy oskarżony napisał list.

– Tak – mówi Nowak – zapowiedziałem i list napisałem w piątek. Nowak odpowiadając nadal na pytania, stwierdza, że jest samoukiem i żył w najgorszych warunkach. Prokurator Pasikowski: – Czy oskarżony był już w 1906 r. karany za oszustwo?

– Tak.

– A w 1919 r. w Gelsenkirchen za kradzież?

– To nie kradzież, tylko nie odesłałem pożyczonego zegarka. [...]

– Czy oskarżonego podejrzewał starosta o komunizm?

– Posądzali mnie, lecz powiedziałem staroście, że opiera swe domysły nas plotkach.

– Nowaka chciano wysłać do Berezy za komunizm?

– Nie – odpowiada Nowak – to starosta chciał się zemścić i wysłać mnie do Berezy.

– Czy oskarżony przewoził bibułę komunistyczną?

– Nie.

– A czy zdezerterował z armii polskiej?

– Nie przypominam sobie.

– Oskarżony czytał prasę sowiecką?

– Nie.

– Dlaczego oskarżony chodził w styczniu i lutym do kościoła?

– Raz jeden i to na prośbę córki mojego gospodarza.

– Oskarżony awansował w armii polskiej?

– Nigdy.

– Odznaczenia oskarżony posiada?

– Nie walczyłem dla odznaczeń.

– Oskarżony uchodził w Luboniu za komunistę?

– Może tak było.

„Sumienie zatwardziałego komunisty i bezbożnika po dokonaniu okropnej zbrodni na osobie śp. ks. proboszcza St. Streicha jest zupełnie głuche, Nowak nie okazuje obawy przed zbliżającą się rozprawą sądową, która prawdopodobnie zakończy się wyrokiem śmierci" – pisał „Dziennik Poznański".

eprasa.pl 9137619b50

„Osobom duchownym najtrudniej zasłużyć na miano Świętego"

Kim był ksiądz Stanisław Streich, który wzbudził tak wielką nienawiść u działacza KPP? Był księdzem wykształconym – studiował filozofię klasyczną na Uniwersytecie Poznańskim. Stanisława Błażejak, jego uczennica, zapamiętała dość nietypowe słowa księdza, jakże inaczej brzmiące po jego męczeńskiej śmierci: „Ksiądz Streich tłumaczył, że (cytuję) najłatwiej dojść do świętości będzie ludziom biednym i kalekim, przez los pokrzywdzonym i przez otoczenie odepchniętym. Nie złorzeczącym z tego powodu, tylko w pokorze znoszącym wszelkie przeciwności swego losu i ufającym w Miłosierdzie Boże. Oni za to, jako pierwsi wynagrodzeni zostaną życiem wiecznym. Następnie będą dzieci i ludzie przestrzegający przykazania Boże i dobro czyniący".

O stanie duchownym wypowiadał się zaś trochę w duchu obecnego papieża Franciszka: „Natomiast wszystkim osobom duchownym, a więc i mnie, będzie najtrudniej zasłużyć na miano świętego, ponieważ my czyniąc dobro, wypełniamy zwykły swój obowiązek. Jest to więc zwykła powinność najmniej punktowana powinność, a nie żadna zasługa. Zasługą dla nas byłby czyn heroiczny. Jak to na przykład w początkach chrześcijaństwa: prześladowanie, albo śmierć za wiarę".

Ksiądz Stanisław Kostka Streich urodził się 27 sierpnia 1902 r. w Bydgoszczy. Jego rodzicami byli Franciszek Streich oraz Władysława Streich z domu Birzyńska. Stanisław, ich pierwsze dziecko, ochrzczony został 30 września 1902 r. w kościele farnym pw. św. św. Marcina i Mikołaja w Bydgoszczy. Miał dwóch młodszych braci – Kazimierza i Czesława.

W 1912 r., po ukończeniu trzech lat nauki w szkole powszechnej, Stanisław uczęszczał do ośmioletniego gimnazjum klasycznego. Maturę zdał już w niepodległej Polsce 15 maja 1920 r. Miesiąc później wysłał prośbę o przyjęcie do seminarium duchownego w Poznaniu. Został przyjęty na studia.

6 czerwca 1925 r., prawdopodobnie z rąk księdza arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego kardynała Edmunda Dalbora, Stanisław Streich otrzymał święcenia kapłańskie. Był wikariuszem w poznańskich parafiach św. Floriana, Bożego Ciała i św. Marcina, a także kapelanem sióstr urszulanek przy ulicy Spornej w Poznaniu. Pracował też jako nauczyciel religii w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Koźminie.

Stanisława Błażejak zapamiętała, że w czasie jednej z lekcji ksiądz Streich powiedział: „Dużo się modlę, aby Bóg pozwolił mi dokonać jakiegoś czynu heroicznego, bym mógł zasłużyć na świętość. Was także w tej mojej intencji proszę (koniec cytatu). Po tych słowach podniosła się w klasie wrzawa. Dziewczęta mówiły: przecież Ksiądz taki dobry, to na pewno Bóg zaliczy Księdza w poczet świętych. Jeden z chłopców zaczął skakać wołając: Brawo! Będziemy mieli Naszego Świętego. Na to ks. Streich rzekł (cytuję) modlitwy nigdy nie jest za dużo, a odnośnie świętego to mnie źle nie zrozumcie. Ja nie chcę zostać świętym dla rozgłosu i sławy. Tylko dla tego, aby duszę swą zbawić i służyć Bogu przez całą wieczność, chociażby w ostatnim kąciku Królestwa Bożego (koniec cytatu)".

Zawada na drodze do komunistycznego raju

W 1933 r. został proboszczem parafii w podpoznańskim Żabikowie. Parafia św. Jana Bosko w Luboniu była drugą, którą objął jako proboszcz – w 1935 r. Zbudował tamtejszy kościół, który 15 maja 1938 r. miał zostać konsekrowany...

Parafia w podpoznańskim Luboniu nie była łatwą placówką. Podmiejski Luboń zamieszkiwali głównie robotnicy, wśród których agitacja komunistyczna odnosiła pewne sukcesy. Tym większe były zasługi księdza Streicha, który w ciągu trzech lat zdołał powołać tam wiele stowarzyszeń katolickich: Towarzystwo Robotników Katolickich, Katolickie Stowarzyszenie Kobiet, Stowarzyszenie Ministrantów, liczące z górą 60 chłopców, a także organizacje dziecięce: Krucjatę Eucharystyczną i Papieskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary.

Jak pisał „Dziennik Poznański": „ożywiona działalność na polu pracy katolicko-społecznej miała specjalne znaczenie właśnie na tamtejszym terenie głównie zamieszkałym przez robotników, wśród których wroga działalność w stosunku do Kościoła i państwa zaczęła się rozwijać na dobre. To też nie ulega najmniejszej wątpliwości, że osoba tak gorliwego społecznika, jakim okazał się śp. ks. prob. Streich, stała na zawadzie tym wszystkim burzycielom ładu społecznego, którzy drogą zmian ustrojowych pragną wprowadzić raj komunistyczny".

Jak wynika z relacji Stanisławy Błażejak, ksiądz Streich był „zawadą" także ze względu na to, że cieszył się szacunkiem zwykłych robotników: „Posiadał wyjątkowy dar miłego podejścia do każdej osoby. Począwszy od niemowlaków, dzieci, ludzi młodych po staruszków. Bez względu na to, czy był to człowiek biedny, czy bogaty. Przystojny czy zniedołężniały. Wykształcony czy zwykły prostak. Z każdym przystanął i porozmawiał. Był przez to ogólnie bardzo lubiany i szanowany".

Jak podkreślała uczennica, ksiądz Streich „kazał nam bezgranicznie ufać Bogu i szanować każdego człowieka. Bez względu na jego wiek, wygląd i zacho-

eprasa.pl 9137619b50

wanie się. Nawet tego źle czyniącego, którego zalecał delikatnie, ale odważnie i stanowczo upominać, oraz dużo za takich ludzi się modlić. Przez to (tak tłumaczył) możemy zyskać dużo zasług dla siebie u Boga".

Gryczyński: Nowak był prawdopodobnie agentem NKWD

Jak doszło do tego, że działacz KPP Wawrzyniec Nowak zainteresował się osobą księdza Stanisława Streicha? Jak pisał redaktor Michał Gryczyński z poznańskiego „Przewodnika Katolickiego", od lat badający sprawę, Wawrzyniec Nowak przybył do Lubonia w 1936 r. z Wołynia, gdzie skazany był na rok więzienia za pobicie na rynku w Brodach starosty-piłsudczyka. „Zamieszkał u komunisty Sobczaka, który był zatrudniony w zakładach ziemniaczanych. Strajkowali miejscowi murarze, a Nowak był działaczem związku zawodowego murarzy i, prawdopodobnie, agentem NKWD" – pisze Michał Gryczyński.

W jakich okolicznościach zginął ksiądz Stanisław Streich? Wiadomo, że 27 lutego 1938 r. odprawiał o godzinie 10.00 Mszę św. dla dzieci. Po odejściu od ołtarza zdjął ornat i skierował się ku ambonie, aby przeczytać Ewangelię oraz wygłosić kazanie.

„Szedł, przyciskając ręką do piersi księgi, a prawą dotykał główek dzieci, prosząc o zrobienie przejścia. Wtem zza pleców dzieci wyskoczył Nowak i dwukrotnie strzelił do księdza: trafił go w twarz, a druga kula utkwiła w niesionym ewangeliarzu. Ksiądz Stanisław padł do tyłu na prawy bok, a morderca zbliżył się i oddał jeszcze dwa strzały w plecy. W kościele wybuchła panika: część dzieci krzyczała, przepychając się w kierunku wyjścia, a inne pokładły się warstwami, jedne na drugich, na posadzce świątyni" – pisze Michał Gryczyński. „Niech żyje komunizm, dzieci, jesteście wolne" – krzyczał do nich morderca.

Na odgłos strzałów wybiegł z zakrystii kościelny Franciszek Krawczyński i rzucił się w kierunku zabójcy. Chwycił go za prawą rękę uzbrojoną w pistolet i wtedy padły kolejne strzały: kościelny został ranny w prawą skroń i lewy bark, a pociski przeleciały dalej i zraniły dwunastoletniego Ignacego Pacyńskiego w lewe podudzie oraz Katarzynę Ciesielską siedzącą w ławce – w prawe ramię. „Nowak chciał uciec przez niewykończoną nawę główną, ale tam ujęli go i rozbroili trzej mężczyźni. Później, zakuty w kajdanki, został przewieziony pociągiem do Poznania" – pisze Gryczyński.

„Komunizm nie śpi"

Pogrzeb księdza Stanisława Streicha, z udziałem prymasa Augusta Hlonda, był wielką manifestacją. „Już od samego rana ze wszystkich stron do Lubonia ciągnęły większe i mniejsze grupy wiernych z okolicznych parafii ze sztandarami organizacyjnymi na czele. Szosa prowadząca z Poznania do Lubonia jest dosłownie zawalona samochodami, autobusami, którymi zjechali uczestnicy pogrzebu z Poznania i dalszych miejscowości. Takiego przepełnienia nie widziały zapewne jeszcze nigdy" – relacjonował „Dziennik Ostrowski".

Postawa mieszkańców Lubonia stała się symbolem klęski komunistycznej agitacji wśród robotników. „Dziennik Poznański" relacjonował: „Olbrzymie szeregi miejscowej ludności obchodzą wokół trumnę i wychodzą z sali, szlochając. Wielu robotników zwolniło się nawet z zajęć, aby uczestniczyć w uroczystości. Kiedy wprowadzano matkę-staruszkę, kobieta na widok trumny załamała się zupełnie. Wynieśli ją też najbliżsi z rodziny. Smutne wrażenie, jakie w Luboniu odczuwa się na każdym kroku, potęgują szlochające kobiety z dziećmi i flagi zwieszone z wielu domów i budynków fabrycznych do połowy masztu".

Przyjaciel zamordowanego, ks. dr Stefan Kaczorowski, podkreślił nad jego grobem, że „nieustannie i wytrwale" walczył on z komunizmem i sekciarstwem, a jego śmierć „wstrząsnęła sumieniem narodu": „Krew kapłana-męczennika woła wielkim głosem na alarm... Pamiętajcie, rodacy, trzeba by całe społeczeństwo wróciło do pracy nad ładem i bezpieczeństwem wewnętrznym. Komunizm nie śpi, nie czeka. Nie czekajcie i wy, aż spod ziemi wypełzną wrogowie, aby siać spustoszenie, które wiekowe może przynieść szkody państwu i narodowi".

Prokurator: ta zbrodnia to echo walki dwóch światów

Tymczasem aresztowanego mordercę poddano badaniom psychiatrycznym. „W czasie badania stwierdzono, że Nowak jest osobnikiem normalnym, tak że wszelkie przypuszczenia i pogłoski, jakoby miało się tu do czynienia z człowiekiem chorym umysłowo, należy odrzucić. Dlatego też właśnie cała ta niezwykle tragiczna sprawa nabiera cech bardzo zagadkowych" – pisał „Dziennik Poznański".

Przed sądem przesłuchano świadków. Świadek Ruciński, lat 56, emeryt z Lubonia, zeznał, że zna Nowaka od kwietnia ubiegłego oku: „To był pierwszy człowiek, którego spotkałem o takich zapatrywaniach co do ustroju państwowego i religii. Wnioskowałem z jego zwierzeń, że musi być skrajnym komunistą".

Według relacji „Kuriera Poznańskiego" po zamknięciu przewodu sądowego głos zabrał podprokurator Pasikowski: „Z wieżyc cichego, niedawno

eprasa.pl 9137619b50

wzniesionego kościoła w Luboniu szedł głos potężny, który niósł całej Polsce wieść okrutną, że zabito najszlachetniejszego z Jej synów. [...] I niejednemu łza z oka popłynęła i niejeden zapytał: za co? Za co zamordowano kapłana, pasterza cichego i gorliwego, który nigdy nic złego nie uczynił?".

Dalej prokurator objaśniał tło zbrodni: „Zbrodnia lubońska jest echem walki dwóch światów. Z jednej strony widzimy świat zgody, pracy ofiarnej i miłości, z drugiej – świat anarchii, bezbożnictwa, co w gruzy rozwala to, co zdziałały wieki. Krwią splamione ręce roznoszą bibułę, propagującą zło, bezbożnictwo i nienawiść".

Prokurator nawiązał tu do wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r: „I chcę wam teraz przypomnieć, Panowie Sędziowie, wielkie słowa, wypowiedziane w dniu 13 sierpnia 1920 r. przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego ks. biskupa Szlagowskiego: »Ani najazdy Mongołów ani Turków wyprawy, ani Tatarów zagony w części nie były tak groźne, tak niszczące jak wróg, co się zbliża. Tamci przychodzili jak burza i jak burza odeszli. Ten wkrada się jak zaraza i jak zaraza chce pozostać«. Prawdziwość tych słów potwierdza zbrodnia lubońska. Takie strzały jeszcze u nas nigdy nie padały".

Obrońca, przeciwstawiając się wnioskowi prokuratora o karę śmierci, mówił: „Czego bronię? Życia ludzkiego!".

Wzbudziło to okrzyki oburzenia z sali: „A ksiądz Streich?!".

Ostatecznie sąd uznał oskarżonego winnym umyślnego zabójstwa śp. ks. Streicha i usiłowania zabójstwa kościelnego Krawczyńskiego. Za pierwsze przestępstwo Nowak został skazany na karę śmierci, za drugie na 10 lat więzienia. Jako karę łączną sąd wymierzył mu karę śmierci i utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych.

„Ja jestem tyle wart, co waszych dwóch klerów"

Po budzącym powszechne oburzenie morderstwie w Luboniu wpływy komunistycznych agitatorów mocno osłabły. Ale najbardziej wypróbowani towarzysze działacza KPP nie byli bynajmniej oburzeni.

„W związku z morderstwem w Luboniu znaleźli się tacy, którzy pochwalali bestialski czyn Nowaka. Ludzie wywodzący się z mętów społecznych zostali przytrzymani i osadzeni w areszcie politycznym. Przed paru dniami organa śledcze przytrzymały 35-letniego robotnika Józefa Kwaśnego, zamieszkałego w Poznaniu przy ul. Krakowskiej 3a, karanego za kradzież 10-miesięcznym więzieniem, oraz 28-letniego Stefana Kalendę, zamieszkałego również przy ul. Krakowskiej w baraku nr 4, karanego 18-miesięcznym więzieniem. Obaj wyżej wymienieni pochwalali zbrodniczy czyn Nowaka, przy czym Kalenda potrafił nawet wkoło siebie zgromadzić 30-osobowe audytorium. [...] Aresztowano również w dniu wczorajszym 35-letniego Stanisława Mocza, notowanego za oszustwa. Mocz w jednej z restauracji głośno pochwalał lubońską zbrodnię. Naturalnie męty społeczne, różnego rodzaju wyrzutki, objęte agitacją czerwonych terrorystów, starają się w jakiś sposób zmniejszyć oburzenie całego prawdziwie polskiego społeczeństwa, tym więcej, że przez czyn Nowaka, nawet wielu cichych zwolenników komunizmu zerwało raz na zawsze z sympatiami dla »raju marksistowskiego«" – pisał „Dziennik Poznański".

Czy Wawrzyniec Nowak faktycznie został stracony? Według oficjalnych informacji 21 marca 1938 r. Nowak został skazany na karę śmierci, zaś 28 stycznia 1939 r. wyrok został wykonany. Ale jak pisze Michał Gryczyński z „Przewodnika Katolickiego", „akta sądowe zostały, niestety, »wyczyszczone« – zachował się jedynie numer sprawy z lakoniczną notatką – a istnieją przesłanki, aby podejrzewać, że Nowak został wymieniony na kapłanów więzionych przez Sowietów".

Jak czytamy, były kapelan więzienny z Młyńskiej, kanonik Zbigniew Spachacz, słyszał od pracowników służby więziennej, że Nowak wywinął się śmierci. Gryczyński relacjonuje: „Podczas obchodów sześćdziesiątej rocznicy śmierci lubońskiego proboszcza Stefan Żygulski przywołał wspomnienie swojego kolegi, Józefa Banaszkiewicza z Lubonia, który mieszkał blisko Nowaka. Pod koniec wojny, kiedy leżał on ranny w szpitalu, przybyła komisja wojskowa. Był w niej lejtnant sowiecki, który podszedł do łóżka rannego i zapytał, czy go poznaje, a potem powiedział: – Widzisz, Banaszkiewicz, ja jestem tyle wart, co waszych dwóch klerów. I podał mu rękę, mówiąc: – Jestem lejtnant Nowak".

Świadkowie poszukiwani

Jak ogłosił abp Stanisław Gądecki, Archidiecezja Poznańska zbiera potrzebne materiały związane z życiem i działalnością księdza Streicha w związku z zamiarem wszczęcia jego procesu beatyfikacyjnego.

„Zwracam się więc z serdeczną prośbą do wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek dokumenty, pisma lub wiadomości w przedłożonej sprawie, aby zechcieli przekazać je do dnia 31 marca 2017 r. do Kurii Metropolitalnej w Poznaniu bądź do postulatora procesu, ks. Wojciecha Muellera (ul. Grunwaldzka 86, 60-311 Poznań)" – napisał abp Gądecki. ■

eprasa.pl 9137619b50

1

Wyrok na Kresy

Dariusz Jarosiński

W 1943 r. było niemal oczywiste, że Niemcy zostaną pokonane przez Sowietów i „wyzwolicielami" Kresów Wschodnich i Polski będą właśnie ci drudzy. Od lata 1943 do czerwca 1944 r. w wojnie partyzanckiej polsko-sowieckiej stoczono ponad 300 walk, bitew, potyczek. Niemal wszystkie były prowokowane przez bolszewików. Zgrupowanie Stołpeckie dowodzone przez por. Pilcha „Górę" stoczyło 30 bitew i potyczek z Niemcami, a 105 z bolszewikami. Choćby z tego zestawienia widać, jak duży wysiłek musiała wkładać AK w walkę z Sowietami na Nowogródczyźnie.

eprasa.pl 9137619b50

Profesor Marian Zdziechowski (1861–1938), wileński mędrzec, półtora roku przed śmiercią, a prawie dwa i pół roku przed wybuchem II wojny światowej, wieścił zbliżającą się sowietyzację Polski: „Wolałbym umrzeć teraz w zgodzie z Bogiem w otoczeniu najbliższych, zapatrzony w rozciągające się przede mną wzgórza i lasy, podniesiony na duchu odczuciem czegoś wielkiego, nieskończonego, tajemniczego a bliskiego, niż za rok, za dwa albo trzy, może wcześniej jeszcze, może nieco później, zgnić w sowieckiej czerezwyczajce". Niewielu chciało słuchać Zdziechowskiego, jego katastroficzne opinie o końcu takiej Europy, jaka wówczas była znana, przyjmowano jako dziwactwa wileńskiego staruszka. A on z przekonaniem mówił, że nastąpi starcie dwóch wielkich totalitaryzmów – hitlerowskiego i sowieckiego – w wyniku którego zwycięży ten drugi. Że Sowieci, komunizm stanowią śmiertelne zagrożenie dla Polski, Europy. Zdziechowski nie był prorokiem, jak go niektórzy publicyści dzisiaj nazywają, po prostu właściwie odczytał nadciągającą ze Wschodu apokalipsę.

17 września 1939 r. o godzinie szóstej rano Armia Czerwona bez wypowiedzenia wojny zaatakowała Polskę. Sowieci złamali pakt o nieagresji, który miał obowiązywać do końca 1945 r. Propaganda sowiecka przedstawiała agresję na Polskę jako „wyprawę wyzwoleńczą" w obronie „ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi". Prezydent i rząd RP formalnie nie ogłosili, że Rosja Sowiecka i Polska znajdują się w stanie wojny, a tzw. państwa sprzymierzone, czyli Wielka Brytania i Francja, wobec faktu sowieckiej agresji zdobyły się jedynie na nic nieznaczące noty protestacyjne przekazane do Moskwy.

Naczelny wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły, wydał 17 września dyrektywę ogólną, w której nakazał unikanie walki z Sowietami. Dyrektywa ta spowodowała, że do polskich oddziałów wkradły się chaos i zamieszanie. Około 250 tys. naszych żołnierzy i oficerów bez stawiania większego oporu zostało wziętych do sowieckiej niewoli.

Już w pierwszych dniach bolszewickiej okupacji Kresów II RP zaczęły się masowe deportacje, wywózki Polaków na nieludzką ziemię. Wobec polskiej ludności, polskiej prawowitej władzy, mniejszości narodowe zamieszkujące Kresy, a więc Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, dopuściły się jawnej zdrady. Stanęły po stronie sowieckiego okupanta przeciwko „pańskiej" Polsce. Sowiecka agresja zburzyła spokojną dotąd egzystencję mieszkańców Kresów. Pozostałości po Wielkim Księ-

1. Wachmistrz podchorąży Józef Świda (pierwszy z prawej) wśród żołnierzy mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala"
2. Rotmistrz Józef Świda „Lech", hubalczyk, dowódca Zgrupowania Zaniemeńskiego AK
3. Nowogródzka wieś

37619b50

stwie Litewskim rozpłynęły się w jesiennej mgle 1939 r. Profesor Krzysztof Jasiewicz nazwał to, co działo się na Kresach po 17 września, „sterowaną rewoltą". Rewolta była sterowana oczywiście przez Moskwę. 22 października 1939 r. okupanci we współpracy z Żydami, Białorusinami, Ukraińcami przeprowadzili tzw. „wybory", w wyniku których włączyli polskie Kresy Wschodnie do Rosji Sowieckiej. Konsekwencje tamtych wydarzeń sprzed 77 lat, będących w istocie IV rozbiorem Polski, ponosimy do dzisiaj.

Bambioszki

Na Kresach Południowo-Wschodnich Polacy ginęli, bestialsko mordowani przez ukraińskich nacjonalistów. Na Kresach Północno-Wschodnich śmiertelne zagrożenie dla naszych rodaków stanowiły po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej bolszewickie oddziały partyzanckie. W istocie były to bandy rabunkowe składające się z żołnierzy z rozbitych formacji Armii Czerwonej, dezerterów, uciekinierów z niewoli, Żydów ukrywających się przed Niemcami. Słowo partyzanci czy żołnierze należałoby brać w cudzysłów. Rzadkością były toczone przez nich walki z Niemcami, nadaktywnością za to wykazywali się w stosunku do bezbronnych mieszkańców polskich wiosek. Na przykład 2,5-tysięczna grupa partyzantów bolszewickich, w tym 2 tys. Żydów, stacjonowała w Puszczy Rudnickiej, skąd wyprawiała się w celu mordowania i grabienia. Te wyprawy nazywano bambioszkami. Tworzone przez wiejskich polskich ochotników oddziały samoobrony nie były w stanie zapobiec sowieckiej agresji. Wszelkie próby organizacji ochrony były uznawane za wystąpienia przeciwko władzy bolszewickiej. Bandy sowiecko-żydowskie dokonały zbrodni, rabunków m.in. w Wilkańcach, Montwiliszkach, Karklinach, Songiniszkach, Dajnowej, Kamerowszczyźnie. Do potwornego bestialstwa ze strony bolszewików narodowości żydowskiej i rosyjskiej doszło we wsi Koniuchy, położonej na Nowogródczyźnie, w powiecie lidzkim, na skraju Puszczy Rudnickiej, w styczniu 1944 r. Była to kara za zorganizowanie samoobrony. Wieś najpierw została otoczona szczelnym kordonem bandytów, a później wszystkie domy podpalono. Uciekających, także kobiety, dzieci, wrzucano do ognia. W straszliwych męczarniach zginęło kilkadziesiąt osób, ustalono nazwiska 34 spośród nich, ale według niektórych historyków zamordowanych mogło być ponad 120. Z 50 domów jedynie cztery ocalały z pożogi. Aby ratować polską ludność od zagłady, dowódca V Batalionu AK, kapitan Stanisław Truszkowski „Sztremer", zawarł wiosną 1944 r. układ z Sowietami, na mocy którego Kwatermistrzostwo AK dostarczało oddziałom stacjonującym w Puszczy Rudnickiej mąkę, świnie, bydło.

W 1942 r. dowództwo nad oddziałami bolszewickimi zostało przejęte przez specjalnie przeszkolonych oficerów NKWD, przygotowanych do walki z Polakami i polskością na Kresach Północno-Wschodnich. W maju 1942 r. utworzono Centralny Sztab Ruchu Partyzanckiego, na czele którego stanął gen. lejtnant Pantelejmon Ponomarienko, pełniący jednocześnie funkcję I sekretarza KC KP(b) Białorusi. To on zintensyfikował walkę z Polakami. Po ujawnieniu w kwietniu 1943 r. przez Niemców zbrodni katyńskiej i zerwaniu przez Stalina układu Sikorski–Majski partyzantka sowiecka w sposób otwarty zwalczała oddziały AK. W sierpniu 1943 r. partyzanci z Brygady im. Woroszyłowa dowodzeni przez Fiodora Markowa zamordowali, używając podstępu, 85 żołnierzy z 300-osobowego oddziału partyzanckiego AK por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica". Dwa miesiące później Markow meldował Ponomarience: „Oczyścimy wszystkie nasze rejony z tego paskudnego [polskiego] śmiecia". Z uratowanych żołnierzy „Kmicica" mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" zorganizował 5. Brygadę Wileńską AK, zwaną Brygadą Śmierci. Brygada „Łupaszki" stoczyła kilka zwycięskich bitew z sowieckimi partyzantami, miała też okazję pomścić zamordowanych żołnierzy „Kmicica", tocząc walkę z Brygadą im. Woroszyłowa.

Dowództwo sowieckich oddziałów partyzanckich było dobrze zorientowane w nastrojach panujących w Komendzie Głównej AK, a także w rządzie RP w Londynie. Zarówno Komenda Główna AK, jak i Rząd RP na Uchodźstwie, były przeciwne walce polskiego podziemia na Kresach z partyzantami sowieckimi. Nawet zerwanie przez Stalina układu Sikorski–Majski nie zmieniło poglądu w tej sprawie. Związek Sowiecki był sojusznikiem naszych sojuszników, czyli Wielkiej Brytanii i Francji, uważano zatem, że Polska powinna respektować ten fakt. Stalin wykorzystywał bez skrupułów tę sytuację. Polskie oddziały AK walczyły z Niemcami, a sowieccy partyzanci przygotowywali odpowiedni grunt do nadejścia frontowych oddziałów Armii Czerwonej i ustanowienia bolszewickiej władzy na Kresach.

W Puszczy Nalibockiej przebywało prawie 10 tys. bolszewickich partyzantów. W nocy z 8 na 9 maja 1943 r. partyzanci z Brygady im. Stalina i żydowskiego oddziału braci Bielskich napadli na mieszkańców wsi Naliboki. Dokonali tam istnej rzezi – zamordowali 128 mieszkańców, spalili wieś. Nie oszczędzili kobiet, dzieci. Mieszkańcom wioski zarzucili sprzyjanie AK. Wyjątkową perfidią była realizacja filmu „Defiance" („Opór") przez amerykańskiego reżysera Edwarda Zwicka o „bohaterskich" wyczynach braci Bielskich. W rzeczywistości byli to bandyci, szubrawcy, urządzający libacje, gwałcący kobiety.

eprasa.pl 9137619b50

O zgubnym losie dla Polski i Polaków koalicji anglo-sowieckiej, o zagrożeniu płynącym ze strony bolszewików dla naszej niepodległości, dla Kresów, alarmował z Czarnego Boru Józef Mackiewicz na łamach wileńskiego pisma „Goniec Codzienny", wydawanego przez niemieckie władze okupacyjne. Jedyną reakcją było oskarżenie pisarza o kolaborację z Niemcami i skazanie go na karę śmierci przez sąd specjalny AK. Całe szczęście, że znaleźli się przytomni ludzie i udaremnili wykonanie wyroku. Niestety, do dzisiaj w wielu środowiskach, i to również niezwiązanych z komunistami, ten wybitny pisarz oraz publicysta odsądzany jest od czci i wiary. Powieść Mackiewicza „Nie trzeba głośno mówić" (1969 r.) pokazuje m.in. kompletne niezrozumienie Komendy Głównej AK i rządu polskiego w Londynie sytuacji na Kresach.

Ludność polska musi odetchnąć

W czerwcu 1943 r. ppłk Janusz Szulc „Borsuk", komendant Okręgu AK Nowogródek, używający po wojnie nazwiska Janusz Prawdzic Szlaski, utworzył dwa duże zgrupowania partyzanckie. Na czele Batalionu Stołpeckiego AK stanął por. Kacper Miłaszewski „Lewald". Dowództwo nad Zgrupowaniem – Batalionem Zaniemeńskim, utworzonym z oddziałów partyzanckich AK z Ośrodków Szczuczyn i Lida, objął por. Józef Świda „Lech".

Józef Świda pochodził z rodziny ziemiańskiej z Polesia, ukończył podchorążówkę rezerwy kawalerii w Grudziądzu jako wachmistrz podchorąży. Mimo młodego wieku – miał 27 lat, kiedy trafił na Nowogródczyznę – był już doświadczonym żołnierzem. Za walkę w kampanii wrześniowej 1939 r. w 25 Pułku Ułanów grupy gen. Władysława Andersa otrzymał Krzyż Walecznych. Po klęsce wrześniowej nie złożył broni. Od stycznia 1940 r. bił się w oddziale wydzielonym mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala". Należał do jego najwierniejszych żołnierzy, którzy mimo nakazu Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej w Warszawie o demobilizacji, nie złożyli broni. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej prowadził na zlecenie AK służbę wywiadowczą w Mińsku Litewskim. W nowogródzkiej AK znalazł się dzięki rekomendacji brata ciotecznego, mjr. dypl. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza", podobnie jak Józef Świda – hubalczyka. Wraz z „Lechem" na Nowogródczyznę przybyli dwaj jego przyjaciele, nieprzeciętni oficerowie, por. Tadeusz Brykczyński „Kubuś" i ppor. Wojciech Strypula „Bartek".

W 1975 r. mieszkający po wojnie w USA Józef Świda mówił: „Od »Izabelki« [płk Edward Godlewski ps. Izabelka, dowódca Obszaru II obejmującego Okręgi AK Białystok, Polesie, Nowogródek] dostałem zadanie zaktywizować Nowogródek. Oczyścić teren między Niemnem a Puszczą Rudnicką. Niech wreszcie będzie tam spokój i porządek. Ludność polska musi odetchnąć. Tych wytycznych się trzymałem".

Do 3 maja 1943 r. istniejące na Nowogródczyźnie oddziały partyzanckie AK, choćby por. „Ragnera", którego Sowieci nazywali „cziort w oczkach" (diabeł w okularach), prowadziły akcje zbrojne w sowieckich mundurach, podszywając się pod Rosjan, aby nie narażać na represje mieszkańców polskich wsi. Dopiero 3 maja na uroczystych wiecach w kilku wioskach nadniemeńskich pojawili się żołnierze w polskich mundurach, z orzełkami w koronie na czapkach – nie trzeba dodawać, jak wielka radość zapanowała w polskich domach.

19 czerwca 1943 r. żołnierze Batalionu Stołpeckiego AK pod dowództwem Kacpra Miłaszewskiego „Lewalda" rozbili silny niemiecki garnizon wojskowy w Iwieńcu. Zwycięstwo Polaków mocno zaniepokoiło Sowietów. Komitet Centralny KP(b) Białorusi 22 czerwca 1943 r. na Plenum w Moskwie podjął uchwałę, aby „wszystkimi sposobami zwalczać [polskie] oddziały i grupy nacjonalistyczne".

Śmierć przyjaciela

Wraz z przybyciem rotmistrza „Lecha", który był walecznym, energicznym oficerem, czasami może nazbyt emocjonalnym, porywczym, wprowadzony został ożywczy ferment do partyzanckich szeregów. Niemcy, obawiając się zagrożenia, postanowili jak najszybciej rozprawić się z rosnącymi w siłę polskimi oddziałami AK, zanim one okrzepną i nabiorą dużej wartości bojowej. Niemcy zamierzali również wyrzucić z Puszczy Nalibockiej 10-tysięczny oddział partyzantów sowieckich. Już w połowie lipca 1943 r. rtm. „Lech" miał okazję wykazać się umiejętnościami wojskowymi. Dowództwo niemieckie rzuciło do akcji nazwanej „Hermann" 5 dywizji SS. Bolszewicy, jak to w ich zwyczaju bywało, podstępnie wycofali się w ostatniej chwili z ustalonego planu, który zakładał współpracę z polskimi żołnierzami. Sowieci byli pewni, że niemieckie doborowe wojsko rozniesie w pył żołnierzy AK. Rzeczywiście, straty były bardzo duże. Blokada Puszczy Nalibockiej przez niemieckie dywizje trwała do 8 sierpnia. Żołnierze „Lecha" przerwali pierścień okrążenia i ścigani byli niemal do przedmieść Wilna, około 150 kilometrów. Kiedy szukali schronienia i odpoczynku w Puszczy Rudnickiej, zostali zaatakowani w majątku Posolcz przez bolszewików. Choć atak został odparty, to jeden z Sowietów, udając nieżywego, ciężko ranił granatem przyjaciela i zastępcę „Lecha", ppor. „Kubusia". Na Mazurach mieszka nowogródzka sanitariuszka AK Halina Ludwikowska „Lala", która opiekowała się rannym „Kubusiem". W numerze 10 (80) z 2012 r. „Nowego Państwa",

eprasa.pl 9137619b50

w artykule „»Lala« znad Niemna", pisałem o niej, o jej przeżyciach. „Byliśmy młodzi, mieliśmy po osiemnaście, dziewiętnaście lat. Bywało, że pojawiały się jakieś uczucia. Często, by ulżyć cierpieniom chłopców, trzymałam ich za rękę. Nieraz w gorączce, malignie wypowiadali imiona swoich dziewczyn, mylili mnie ze swoimi dziewczynami, jak na przykład por. »Kubuś«. Był ciężko ranny, odłamek granatu rozerwał mu kawał ciała, ale dowiozłam go z wiejskim woźnicą furmanką do szpitala w Lidzie. Obwiązałam mu głowę kobiecą chustką i ułożyłam na wozie. Niemieckiemu patrolowi wytłumaczyłam, że wieziemy kobietę chorą na tyfus. Ci tylko krzyknęli: »Weiter! Weiter!«, czyli dalej, dalej. Bali się potwornie tyfusu. Niestety, kilka dni później por. »Kubuś« zmarł w szpitalu". „Lech" bardzo przeżył śmierć swego przyjaciela. Nie mógł wybaczyć bolszewikom, iż zaatakowali podstępnie, kiedy polscy żołnierze byli osłabieni walką z dużymi siłami niemieckimi.

W październiku 1943 r. na nowego dowódcę Batalionu Stołpeckiego Komenda Główna AK mianowała kpt. Wacława Pełkę „Wacława", a na jego zastępcę ppor. Adolfa Pilcha „Górę", cichociemnego pochodzącego z Wisły, jednego z najwybitniejszych polskich oficerów AK. Dotychczasowemu dowódcy Batalionu Stołpeckiego, ppor. Kacprowi Miłaszewskiemu „Lewaldowi", powierzono niewdzięczną rolę odpowiedzialnego za współpracę z Sowietami. 1 grudnia 1943 r. dowódca sowieckich brygad w powiecie iwienieckim zaprosił sztab Batalionu Stołpeckiego oraz eskortę na naradę. Tych, którzy stawiali opór, Sowieci rozstrzelali, pozostali żołnierze zostali rozbrojeni, aresztowani, niektórych wywieziono do Moskwy, np. „Lewalda", który utrzymywał zawsze dobre stosunki z bolszewikami, zesłano do łagru. Chorąży Zdzisław Nurkiewicz „Noc", szczególnie znienawidzony przez Sowietów, wraz ze swoim szwadronem przebywał na szczęście dalej od ich kwatery i wydostał się z obławy przez puszczańskie bagna i trzęsawiska.

Partyzancka wojna sowiecko-polska

Rozkaz Ponomarienki (odnoszący się do ustaleń Plenum KP(b) z 22 czerwca 1943 r.) znaleziony przy zabitym sowieckim komisarzu nie pozostawiał jakichkolwiek złudzeń, że Sowieci dążą do unicestwienia Polaków na Kresach. Dowództwo nad Batalionem Stołpeckim przejął por. „Góra". Rozkaz Komendy Głównej AK, aby „unikać zadrażnień ze sprzymierzeńcem naszych aliantów", stawał się coraz bardziej absurdalny. W 1943 r. było niemal oczywiste, że Niemcy zostaną pokonane przez Sowietów i „wyzwolicielami" Kresów Wschodnich i Polski będą właśnie ci drudzy. Od lata 1943 do czerwca 1944 r. w wojnie partyzanckiej polsko-sowieckiej stoczono ponad 300 walk, bitew, potyczek. Niemal wszystkie były prowokowane przez bolszewików. Zgrupowanie Stołpeckie dowodzone przez por. Pilcha „Górę" stoczyło 30 bitew i potyczek z Niemcami, a 105 z bolszewikami. Choćby z tego zestawienia widać, jak duży wysiłek musiała wkładać AK w walkę z Sowietami na Nowogródczyźnie.

W czasie już wspomnianej rozmowy z 1975 r. przeprowadzonej z Józefem Świdą przez Jana Erdmana, autora książki „Droga do Ostrej Bramy", były dowódca Zgrupowania Nadniemeńskiego powiedział m.in.: „W początkach 1944 roku stanęliśmy przed dodatkowym zadaniem: mieliśmy na Kresach przeprowadzić »Burzę«, czyli operację dywersyjną przeciw cofającej się armii niemieckiej. Cel: ułatwienie pochodu sowieckiego, a jednocześnie wykazanie lojalności w stosunku do wschodniego sąsiada. Nie miałem żadnych zastrzeżeń co do zaostrzenia walki z Niemcami, natomiast... nie mogłem wykrzesać z siebie entuzjazmu dla współpracy z Armią Czerwoną po rozbrojeniu Baonu Stołpeckiego. Zagadnienie przerastało moje siły, piętrzyło się nad głową jak olbrzymia skała. Potrzebowałem rozumnej rady, żeby znaleźć wyjście z sytuacji, która wydawała mi się absurdalna: miałem demonstrować życzliwość i przyjaźń w stosunku do strony, która zerwała stosunki dyplomatyczne z Rzecząpospolitą, Armii Krajowej wypowiedziała bezwzględną walkę i nie tylko dążyła do pozbawienia Polski ziemi, na której się urodziłem, ale także do pozbawienia nas życia".

W styczniu 1944 r. zdesperowany rtm. Józef Świda zawarł pakt o nieagresji z Niemcami, na mocy którego miał dostawać broń potrzebną do walki z Sowietami. W ciągu dwóch miesięcy, do połowy marca 1944 r., otrzymał pięć transportów broni. Szybko zaprowadził porządek na swoim terenie, kilka powiatów województwa nowogródzkiego na przełomie lat 1943/1944 było wolnych od sowieckiej zarazy, na wielu budynkach zawisły biało-czerwone flagi. Niemcy nie atakowali polskich żołnierzy, a nawet pozwolili na pobór do oddziałów partyzanckich chłopców z wiosek nowogródzkich. Również inni oficerowie nowogródzkiej AK, w sytuacji zagrożenia ze strony bolszewików, zawarli umowy z Niemcami na dostawę broni. Porucznik Adolf Pilch „Góra" nawet wcześniej od „Lecha", bo w połowie grudnia 1943 r., otrzymał pierwszą dostawę niemieckiej broni, amunicji. Porozumienie z Niemcami zawarł też por. Zajączkowski „Ragner".

Wyrok na „Lecha" czy na Kresy?

O sytuacji została zawiadomiona Komenda Główna AK. Generał Komorowski „Bór" nie znajdował usprawiedliwienia dla porozumień z Niemcami, nakazywał współpracować z Sowietami. Doszło do ostrego konflik-

eprasa.pl 9137619b50

tu między „Lechem" a komendą Okręgu AK, a przede wszystkim komendantem, ppłk. Januszem Szulcem „Borsukiem", i szefem Sztabu Okręgu, ppłk. Stanisławem Sędziakiem „Wartą". Komendant zarzucał „Lechowi" niesubordynację, organizowanie buntu. 12 marca 1944 r. rtm. „Lech" stanął przed Sądem Wojskowym. Przed rozprawą zostali rozbrojeni on i jego najbliżsi oficerowie. Musiał to boleśnie przeżyć, bo odebrać broń partyzantowi przez swoich oznaczało pohańbienie. Z Komendy Głównej AK został delegowany na rozprawę mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz". W składzie sędziowskim byli Bolesław Piasecki „Sablewski", Jan Piwnik „Ponury", Bojomir Tworzyański „Ostoja". Oskarżał Stanisław Sędziak „Warta", obrońcy nie było. Rotmistrz „Lech" nie zaprzeczał, iż wykazał się niesubordynacją w stosunku do Komendanta Okręgu. Świadom był również tego, że wyrokiem za niesubordynację jest kara śmierci. „Lech" został na nią skazany, ale mjr „Kotwicz" wprowadził do wyroku klauzulę o zawieszeniu wykonania kary do czasu zakończenia wojny. Znalazł się też zapis o tym, że walcząc na innym terenie, będzie mógł się zrehabilitować.

Rotmistrz Józef Świda zmienił pseudonim na „Kmicic". Otrzymał polecenie przygotowania do Powstania Warszawskiego dzielnic Wola i Mokotów. Kiedy wydał opinię negatywną o stanie uzbrojenia żołnierzy, został przeniesiony na południe Polski. Tutaj objął dowództwo nad oddziałem partyzanckim walczącym w okolicach Bochni. Zetknął się jeszcze z wkraczającymi na południe „wyzwolicielskimi" formacjami Armii Czerwonej. Po przedostaniu się na Zachód zaciągnął się do 25 Pułku Ułanów II Korpusu. Uznać to można za jakiś symboliczny znak, wszak w tym pułku walczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Po wojnie zamieszkał najpierw w Argentynie, a później w Los Angeles w USA. Zmarł w grudniu 2004 r.

Finał współpracy polsko-sowieckiej w ramach operacji „Ostra Brama" był dla wileńskich i nowogródzkich partyzantów tragiczny. Kilka tysięcy polskich żołnierzy zostało wywiezionych do sowieckich łagrów, więzień. Wielu nigdy nie powróciło.

Porucznik Wojciech Strypula „Bartek" poległ w walce z Sowietami 22 lipca 1944 r., mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz" zginął 21 sierpnia 1944 r. w bitwie z bolszewikami pod Surkontami, por. Czesław Zajączkowski „Ragner" został zastrzelony przez Sowietów 3 grudnia 1944 r. Kresów bronili do końca.

▶ W obronie dobrego imienia

Janusz Szulc vel Janusz Prawdzic Szlaski zamieszkał po wojnie w Wielkiej Brytanii. W 1976 r. wydał w Londynie własnym sumptem książkę wspomnieniową „Nowogródczyzna w walce 1940–1945", w której nie zostawił suchej nitki na rtm. „Lechu", oskarżając go m.in. o chęć przejęcia władzy w komendzie Okręgu AK Nowogródek, czyli o „zamach stanu", co jest poważnym nadużyciem. Zarzucił też „Lechowi" zabicie w styczniu 1944 r. pięciu z kilkudziesięciu więźniów uwolnionych z więzienia w Lidzie. Zdaniem Prawdzica Szlaskiego miał to zrobić, aby zdobyć zaufanie Niemców. Dociekliwy Jan Erdman, autor „Drogi do Ostrej Bramy", udowodnił, że rozstrzelani więźniowie byli szpiclami osadzonymi przez Niemców w celach razem z polskimi partyzantami. Kłamliwe są sugestie, że „Lech" miał pozytywny stosunek do Niemców, że reprezentował jakąś opcję niemiecką w AK. Nic podobnego – „Lech" wiele wycierpiał od Niemców, kiedy został poddany potwornemu śledztwu przez gestapo w 1942 r. Rotmistrz „Lech" reprezentował opcję polską.

Długo Józef Świda milczał, odezwał się dopiero po ukazaniu się obraźliwej dla niego książki ppłk. „Borsuka". Zareagował w 1985 r., wysyłając list do „Zeszytów Historycznych" w Paryżu. Ujawnił w nim, że utrzymywał kontakty z Niemcami za zgodą „Borsuka". Pisał m.in.: „W połowie grudnia sołtys z Niecieczy przyniósł list, pozostawiony u niego przez Niemców. List był po niemiecku. Sztab Grupy Operacyjnej »Mińsk«, obserwując moje walki z partyzantką sowiecką, wyrażał gotowość dostarczenia oddziałowi potrzebnej broni i amunicji. Odpowiedź mam przekazać tą samą drogą. [...] pokazałem Szlaskiemu list Niemców i zaproponowałem, żeby podjąć tę grę, traktując ją jako podstęp wojenny. Zwróciłem uwagę, że plan »Burza« obarcza Okręg Nowogródzki poważnymi zadaniami, a stały dopływ ochotników wymaga wielkiej ilości uzbrojenia. Kiedy będziemy mieli broń, od nas tylko zależy, przeciw komu jej użyjemy. [...] Powiedziałem wtedy, że wzmocnienie militarnej siły okręgu na rozgrywkę końcową uważam za zadanie pierwszoplanowe i wobec tego – jeśli się zgodzi – przyrzekam: a/ Broń i amunicja, uzyskana tą drogą, będzie nie dla mnie, ale w całości do jego dyspozycji, do dyspozycji okręgu [...]. b/ W razie ujawnienia przez Niemców zawartej umowy, upoważniam ppłk. Szlaskiego do ogłoszenia, że jest to prywatna moja sprawka. Wobec tego będzie mógł usunąć mnie z okręgu i obciążyć wszelkimi konsekwencjami. [...] c/ Jeśli pułkownik zgodzi się na prowadzenie tej gry, daję słowo honoru, że nikt nigdy o jego zgodzie się nie dowie. [...] ile razy słyszę o »rehabilitacji«, wszystko się we mnie jeży. W moim pojęciu rehabilitacja oznacza przywrócenie do czci człowieka, który popełnił czyn niemoralny lub haniebny. Tymczasem ja – w sumieniu swoim – nie popełniłem niczego niemoralnego. Owszem, byłem winny złamania przepisów pragmatyki, ale nie byłem ani świnią, ani złoczyńcą. Zresztą rozumiejąc, że kodeks w warunkach wojennych przewiduje za niewykonanie rozkazu tylko jedną karę, sam w ostatnim słowie prosiłem o śmierć". ■

eprasa.pl 9137619b50

Gwiazdy szczają na czerwono

eprasa.pl 9137619150

Magdalena Złotnicka

Przed wyświetleniem filmu „Co mój mąż robi w nocy" zamiast puścić czołówkę, w której po prostu wymieniono by autorów dzieła, wypchnięto przed widownię legendarnego konferansjera Fryderyka Járosy'ego. Ten zaś zamiast wyczytać nazwiska i profesje poszczególnych osób, każdej dla odróżnienia dodał epitety. W pewnym momencie padło: „scenariusz: Anatol Stern, ten gruby Stern".

fot. Romuald Broniarek/KARTA

Powyższą anegdotkę przytacza Joanna Maleszyńska w tekście „Ten chudy Schlechter" („Poznańskie studia polonistyczne. Seria literacka"). Życiorys „grubego Sterna" – w czasach dwudziestolecia międzywojennego jednego z najważniejszych futurystów, tłumacza Władimira Majakowskiego i Guillaume'a Apollinaire'a, a w czasach Polski Ludowej uczestnika delegacji do Związku Sowieckiego, drukującego swoje utwory m.in. w „Kuźnicy", tygodniku grupującym osoby o poglądach zbliżonych do marksizmu i będącym propagandową tubą władz Polski Ludowej – jest interesujący, szczególnie jeśli chodzi o kształtowanie się relacji, jakie dawna lewicująca czy wręcz komunizująca bohema z czasów międzywojnia nawiązała z władzą Polski Ludowej. Stern na świat przyszedł 24 października 1899 r. w Warszawie. Jego ojciec Samuel Stern był dziennikarzem, zaś matka Małgorzata z Langów zarabiała jako nauczycielka.

Z informacji zawartych w „Polskim Słowniku Biograficznym" wynika, że Stern senior szybko wyjechał do Australii. Matka zamieszkała z małym Anatolem przy ulicy Siennej 27, pod numerem dziewiątym.

Jeszcze w czasach szkolnych Stern poznał innego głośnego później poetę futurystycznego, Aleksandra Wata. Razem uczęszczali do Gimnazjum im. Rocha Kowalskiego. W tej placówce Stern uzyskał zresztą maturę w 1918 r., tym samym, w którym Polska odzyskała niepodległość. Zaraz po egzaminie związał się z futuryzmem. „Z ekskolegą z gimnazjum Rocha-Kowalskiego, Anatolem Sternem, który zresztą w ósmej klasie pisał wildowskie »sonety o krawatach«, w zuchwałym hybris prowokowaliśmy »towarzystwo« warszawskie kpiną, awanturami na wieczorach, wulgaryzacją pięknych, konformistycznych uczuć na recitalach poetyckich, przy czym skandal, kpina, zabawa, nawet walka wręcz ze słuchaczem miała dla nas mniejszą wagę niż same wiersze" – wspominał już w czasach PRL-u Aleksander Wat.

Wygłupy i awantury

Nie ma sensu zanudzać czytelnika długim rozwodzeniem się nad ideologią i genezą futuryzmu. Wystarczy zaznaczyć, że w Polsce kierunek ten przede wszystkim zachłysnął się rozwojem cywilizacji, postępem i maszyną. Futuryści jako ruch awangardowy byli bezlitośni dla „burżuja" i kultury mieszczańskiej i znajdowali wielką przyjemność w szokowaniu i gorszeniu przykładnych, solidnych obywateli. Głównymi ośrodkami, z których tendencje futurystyczne emanowały na kraj, były Warszawa i Kraków. O ile to drugie miasto to przede wszystkim pole działania Brunona Jasieńskiego, o tyle w stolicy prym wiedli Stern i wspomniany już Wat. W 1919 r. wydali ulotkę „Tak", która zainicjowała polski futuryzm.

eprasa.pl 137619b50

O ile większość wierszy z tamtego okresu dziś jest albo niezrozumiała, albo stanowi przedmiot radości ciemiężonych mas szkolnych ze względu na to, że futuryści nie uznawali żadnych reguł ortograficznych [jedna z czołowych jednodniówek futurystów nazywała się „Nuż w bżuhu"], o tyle ich ekscesy towarzyskie i wygłupy współtworzyły klimat międzywojennej Warszawy. Oczywiście nie raz skończyło się skandalem. Nie mogło być inaczej, skoro – jak podaje „Polski Słownik Biograficzny" – na przykład na wieczorze urządzonym przez Koło Polek w Sali Towarzystwa Higienicznego przy ulicy Karowej 31 odczytywane były wiersze obsceniczne w treści, zaś na wieczorze w syjonistycznej Strzesze Akademickiej referaty antysemickie. Przy tej ostatniej okazji warto wziąć pod uwagę, że Sternowie byli – jak wszystko wskazuje – zasymilowaną rodziną żydowską. Jasne jest więc, że bardziej niż o uprzedzenia do tej czy innej grupy, chodziło zwyczajnie o wywołanie zamieszania.

Futuryści, jak większość polskiego świata literackiego, chętnie gościli także u podnóża Tatr. Jak pisze Roman Jasiński w książce „Zmierzch starego świata. Wspomnienia 1900–1945": „w Zakopanem w owych czasach trzeba było być na niejedno dziwne wydarzenie przygotowanym. Poza miejscową kolekcją oryginałów (pod wodzą Witkacego i Zamoyskiego) zjeżdżali się tu najosobliwsi ludzie z całej Polski". I opisuje, jak któregoś lata pod Giewont zajechali Bruno Jasieński, Anatol Stern i Aleksander Wat. „Pamiętam jeden wieczór w Czerwonym Dworze u pięknej i dystyngowanej pani Gaszyńskiej. Mieszkał u niej wówczas Antoni Kamieński, znany, świetny rysownik, już wtedy stary i zgorzkniały. Był on pod względem fizycznym jak gdyby połączeniem Don Kichota z Mefistofelesem. Chodziły o nim dziwne słuchy. Przechowywał jakoby w swym kuferku drewnianą lalkę, w której się podobno, zdaniem Witkacego, kochał i której zazdrośnie strzegł przed oczami intruzów. Witkacemu udało się ponoć kiedyś ją zobaczyć; skonstatowawszy, że jest spaczona, wyraził się, że »pewnie umarła«. Na to Kamieński wpadł w istny szał, krzycząc, że nic podobnego, że jest tylko pogrążona w letargu i dziwi się, że Witkacy, syn tak mądrego ojca, którego był przyjacielem, tak mu dokucza. Witkacy był zachwycony!".

Kiedy zaś w „Morskim Oku" odbył się wieczór z udziałem Brunona Jasieńskiego, Stanisława Młodożeńca, Wata i Sterna, ten ostatni został spoliczkowany przez poetę Jana Lechonia, a wśród publiczności doszło do antysemickich awantur, w rezultacie czego – jak podaje „Polski Słownik Biograficzny" – interweniowała policja.

Bluźnierstwo i „Ziemia na lewo"

Jeśli zaś Stern czy Wat byli akurat w Warszawie, to przesiadywali w Astorii i innych znanych stołecznych knajpach, tam konstruowali swoje manifesty i dyskutowali o kierunku, w jakim powinna rozwijać się poezja. Wśród haseł, jakie pojawiały się jako główne wyznaczniki ruchu, proponowano m.in.: „Chcemy szczać we wszystkich kolorach". Nie brakowało także towarzyskich docinków. W broszurce wydanej przez Wata i Sterna znalazł się chociażby wierszyk dotyczący pojawienia się Stanisława Balińskiego w grupie Skamander:

Stanisław Baliński
Też zrobił po świńsku
Szanowny ojciec jego
Czemu go nie powstrzymał od tego,
Żeby jak jakiś andrus
Nie właził w Skamandrus.

Relacje ze skamandrytami były zresztą w ogóle skomplikowane. To że Lechoń strzelił Sterna w pysk, to efekt grubszej awantury, mającej podłoże literackie. Po tym, jak Stern opublikował wiersz „Anielski cham", Antoni Słonimski i skamandryci zaatakowali futurystów za racjonalizm w poezji, klika Sterna odcięła się, wytykając skamandrytom kurczowe trzymanie się ahistorycznej konwencji poetyckiej. W końcu doszło oczywiście do tego, że obie strony zarzucały sobie miernotę i brak talentu. Poza argumentami literackimi używano także siłowych. Zanim Lechoń walnął Sterna, jeden z futurystów, Mieczysław Szczuka, uderzył w twarz, i to w Ziemiańskiej, współtwórcę Skamandra. Skończyło się pojedynkiem. Konflikt Sterna ze Słonimskim miał zresztą swoją kolejną odsłonę już po wojnie, ale o tym później.

Co ciekawe, najgorszy z przedwojennych problemów Sterna miał związek nie z burdami, a z poezją. W 1919 r. popełnił utwór „Uśmiech Primavery". Jego fragment brzmi:

Kiwnie mi głową uśmiechnięta
Wystrojona Panna Święta,
Na jej twarzy drgają dołki,
Wonne rzuca mi fiołki -
A na tacy złocistej
Sam Bóg, jak lokaj,
Aromatyczny, soczysty
W kieliszku poda mi tokaj.

Utwór pochodzący z pierwszego tomu Sterna „Futuryzje" został odczytany w Wilnie, w którym zresztą wówczas Stern studiował polonistykę, podczas wieczoru zorganizowanego w Klubie Handlowca przy ulicy Jagiellońskiej. I został uznany – zapewne ze względu na robienie lokaja z samego Boga – za dzieło bluźniercze. W efekcie Stern po powrocie do Warszawy został aresz-

eprasa.pl 9137619b50

towany, a następnie trafił do więzienia na wileńskich Łukiszkach. Co ciekawe – jak czytamy we wstępie do „Antologii polskiego futuryzmu i Nowej Sztuki" – w prasie pojawił się list protestacyjny w obronie Sterna. Jego autorem był Antoni Słonimski, który wyjaśniał, że utworu nie można uznać za bluźnierczy, lecz jedynie zawiera on „pewne niezręczności formy, które mogą skutkować takim nieporozumieniem". Pod listem podpisali się m.in.: Stefan Żeromski, Wacław Berent, Leopold Staff, Juliusz Kaden-Bandrowski oraz skamandryci. List nie przyniósł jednak żadnych rezultatów, Stern został uniewinniony dopiero na rozprawie kasacyjnej w 1922 r.

W 1924 r. Stern wraz z Brunonem Jasieńskim wydali w komunistycznym wydawnictwie „Książka" tomik „Ziemia na lewo". Ten zbiór wierszy poprzedzony został manifestem, którego fragment brzmi: „Sami historycy mieszczańskiej kultury głoszą jej schyłek. Jesteśmy czuli. I pragniemy miłosiernie przyspieszyć jej śmierć, aby na zupełnie oczyszczonym miejscu wznieść fundamenta nowej. Nienawidzimy burżuja".

To właśnie Jasieński zafascynowany komunizmem wciągnął Sterna we współpracę z „Nową Kulturą", pismem ukazującym się od lipca 1923 do września 1924 r. Tygodnik ten był właściwie legalną trybuną Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, powstawał zresztą pod wpływem radzieckiej Kultury Proletariackiej, czyli Proletkultu. Niewiele jednak wyszło ze wspólnych działań. „Jak dowodzi niepowodzenie współpracy futurystów z »Nową Kulturą«, lewicy komunistycznej obce wydawały się te inteligenckie i tak salonowe jednak spekulacje rewolucyjne nowej sztuki i nowej wiary, która szukała przepisów na nowoczesność i społeczną sprawiedliwość w wierszowanym plakacie adresowanym raczej do członka irracjonalnej wspólnoty, a nie robotnika lub lewicowego racjonalisty i intelektualisty. Rewolucja w programie futurystów z trudem znajdowała dojrzałe, materialistyczne formy akceptacji, nic więc dziwnego, że owa »niedorzeczność« musiała w wielu wypadkach prowadzić do późniejszego »rozczarowania« i nawet konwersji" – pisał Henryk Czubała w tekście „Futuryści i kontestatorzy".

Zmieniła się także nieco poetyka twórczości Sterna. Krzysztof Karasek w artykule „Irrealna gwiazda Anatola Sterna" zaznacza, że „gdzieś od 1925 roku następuje w twórczości poetyckiej Sterna załamanie. Futuryzm się kończy, piękna przygoda młodości staje się przygodą wieku dojrzałego i już nie piękną. Zmiana sytuacji społecznej, zachwianie społecznego optymizmu to pierwsze oznaki tej zmienionej sytuacji. Stern usiłuje się w niej odnaleźć, umieścić w ciągu społecznej przygody, ślady tego widać we wspólnym z Jasieńskim tomie – »Ziemia na lewo«, zarazem jednak kusi go przygoda religijna".

Stern z całą pewnością nie był tak zindoktrynowany jak Jasieński, jego lewicowość była zdecydowania bardziej naiwna. Niemniej jednak odcisnęła swoje piętno na twórczości. W 1934 r. skonfiskowano jego poemat o Józefie Piłsudskim:

Poprzez ten twój dzisiejszy dosyt
I taniec orderów srebrnozłoty,
I szmer pochlebstw służalczych uprzykrzony,
Czyż nie wracają do ciebie, polski dyktatorze,
Czy cię nie kłują żądłem wspomnień osy,
Dzwoniąc ci o tym, brzęcząc o tym,
Jak chłopcem jeszcze, mrąc z tęsknoty,
Chciałeś ojczyzny zmieniać losy,
Jak cudu chciałeś, chciałeś cudu –
O Polsce śniąc – trybunie ludów,
Trybunie ludzi uciśnionych?

Całość utworu to dość naiwne skontrastowanie młodego Piłsudskiego, romantyka i rewolucjonisty, z obecnym marszałkiem, który stał się „wbrew sobie Polski dyktatorem". Jak czytamy w „Polskim Słowniku Biograficznym", Stern wyrażał jednak nadzieję, że Piłsudski pójdzie „na lewo" i stanie na czele „Polski pracy".

Czy poemat o Piłsudskim świadczy, że Stern miał bardzo złe relacje z władzą? Bynajmniej. Jak podaje „PSB", w latach 1928–1931 „wchodził, obok Irzykowskiego i Andrzeja Struga, w skład Rady dla Spraw Kultury Filmowej, powołanej przez Radę Ministrów". Omawiając bowiem postać Sterna, nie można pomi-

Jasieński zafascynowany komunizmem wciągnął Sterna we współpracę z „Nową Kulturą", pismem ukazującym się od lipca 1923 do września 1924 r. Tygodnik ten był właściwie legalną trybuną Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

eprasa.pl 9137619b50

nąć jego działalności jako scenarzysty. Był autorem lub współautorem scenariuszy i scenopisów do około 40 filmów, w tym m.in. do ekranizacji powieści Żeromskiego („Przedwiośnie", „Uroda życia", „Wierna rzeka",), Struga („Grzeszna miłość", według „Pokolenia Marka Świdy"). Z Sieroszewskim i Henrykiem Szaro napisał scenariusz do filmów „Na Sybir" i „Rok 1914", a z Leo Belmontem – scenariusz do filmu „Uwiedziona".

Z Andersem do Palestyny

W 1926 r. Stern ożenił się z Alicją Zeidenman, córką Józefa Zeidenmana, adwokata. Jak czytamy w „Polskim Słowniku Biograficznym", matka narzeczonej, Zofia z Konów, spędziła dzieciństwo w Petersburgu; wkrótce po narodzinach córki owdowiała, wyjechała do Francji. Później wróciła do Petersburga, gdzie pracowała jako nauczycielka. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej wraz z Alicją i dwojgiem pozostałych dzieci uciekła do Warszawy. Żyła z uczenia języka francuskiego, a latem prowadziła pensjonat w Kazimierzu nad Wisłą. Alicja wraz z mężem przełożyła powieści „Eksperyment inż. Garina" (1935 r.) A. Tołstoja oraz anonimowo „Jankes na dworze króla Artura" Marka Twaina, tłumaczyła także nowele Antoniego Czechowa.

Właśnie z letniska prowadzonego przez matkę Alicji Sternowie wrócili do Warszawy w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. Następnie udali się do Lwowa. Po drodze skonfiskowano im samochód na potrzeby armii. We Lwowie Stern wstąpił do Komitetu Organizacyjnego Związku Pisarzy Lwowskich. Po zajęciu Lwowa przez ZSRS, nocą z 24 na 25 stycznia 1940 r., został z grupą pisarzy, m.in. Broniewskim, Peiperem, Watem, Wojciechem Skuzą, aresztowany przez NKWD w restauracji Aronsona. Michał Borowicz w tekście „Inżynierowie dusz", zamieszczonym w „Antologii tekstów o pobycie Tadeusza Żeleńskiego (Boya) we Lwowie" w opracowaniu Barbary Winklowej, tak opisuje te wydarzenia: „23 stycznia 1940 roku artysta malarz D. zaprosił szereg lewicowych pisarzy do restauracji i długo nalegał, by zaproszenie przyjęli. W restauracji, przy oddzielnym stoliku, znalazł się »przypadkiem« również jakiś wyższy oficer NKWD w towarzystwie miejscowej aktoreczki. W pewnym momencie rzucił on w kierunku polskich pisarzy uwagę prowokacyjnie obelżywą. Gdy Broniewski odpowiedział, typ, o którym mowa, podskoczył do stołu literatów, szarpnął za obrus, wywracając i zrzucając całą zastawę. Brzęk tłuczonego naczynia stanowił sygnał. Do sali, niby na dźwięk scenicznego gongu, wpadła garść NKWD-zistów. Nie by przeszkodzić (nieistniejącej jeszcze!) bójce, lecz żeby ją rozpętać! Z wprawą zawodowych gangsterów, rzucili się na literatów. Uderzony pięścią w szczękę Aleksander Wat stracił przytomność. Kilku innych poczęło się bronić! Przed budynkiem czekały już policyjne auta". Borowicz zaznacza, że pisarzy o komunistycznych sympatiach aresztowano pod pretekstem pijackiej awantury dlatego, by uniknąć wstrząsu. „Skoro bowiem aresztuje się sympatyków komunizmu, na domiar ludzi co dopiero wychwalanych w oficjalnych gazetach i obsypanych honorami, cóż czeka innych? [...] Tłumaczony w ten sposób wypadek byłby ponadto dowodem, że sprawiedliwość sowiecka nie liczy się z partyjną przeszłością winowajców: podczas gdy pisarze lewicy są karani, z całą surowością prawa, za ekscesy »cywilne«, niekomuniści – byle tylko stateczni – mogą liczyć na wszystkie dobrodziejstwa ustroju" – pisze.

Sympatie lewicowe Sterna, w sumie naiwne w okresie międzywojnia, nie zostały skorygowane przez doświadczenia wojenne. Swoje utwory zaczął drukować bowiem w marksistowskiej „Kuźnicy". Pisał także m.in. do „Współczesności", „Nowin Literackich" i „Odrodzenia".

Jasne jest, że do aresztowań doszło dlatego, że dla radzieckiej wersji komunizmu polska odmiana tej ideologii była bardzo niewygodna. Dla pełnego obrazu sytuacji warto dodać, że w 1938 r. NKWD zamordowała Brunona Jasieńskiego.

Stern został zwolniony z więzienia jako jedyny z aresztowanych. Na początku 1942 r. na mocy układu Sikorski –Majski wstąpił do armii gen. Andersa. Jak podaje „PSB", w stopniu strzelca służył w referacie propagandy, oddziale sanitarnym i materiałowym. W marcu 1942 r. ewakuował się z Armią do Iranu. „Był, wspólnie z Lejtesem, scenarzystą i członkiem ekipy realizatorskiej dokumentalnego filmu o szlaku bojowym Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich Od Latrum do Gazali (1943, pierwotny tytuł »Od Homs do Tobruku«). Powrócił w tym czasie do twórczości literackiej; z okresu służby wojskowej znane są jego utwory o cechach humoru koszarowego bądź satyry per-

eprasa.pl 9137619b50

sonalnej (m.in. wiersz o Józefie Czapskim), a także patriotyczne piosenki" – czytamy w „Polskim Słowniku Biograficznym".

Doświadczenia Jasieńskiego czy oglądane na własne oczy metody NKWD we Lwowie bynajmniej nie nauczyły Sterna rozumu. Pod koniec 1943 r. opuścił armię. Później pisał, że uczynił to „na skutek prześladowań politycznych i rasowych". Pozostał w Palestynie, gdzie należał do Zarządu Centrum Propagandy Kultury Polskiej na Środkowym Wschodzie oraz współpracował z redagowanym przez Romualda Gadomskiego „Biuletynem Wolnej Polski", prosowieckim organem Związku Patriotów Polskich na Środkowym Wschodzie. Do kraju Sternowie wrócili w 1948 r.

Powrót w objęcia systemu

„W ub. tygodniu do VII Wydz. Karnego Sądu Powiatowego w Warszawie wpłynęła skarga znanego poety Anatola Sterna przeciwko wybitnemu literatowi Antoniemu Słonimskiemu. Stern skarży Słonimskiego o zniesławienie i zarzuca mu fałszowanie jego tekstów. W charakterze biegłych w tym ciekawym procesie wystąpią: Mieczysław Jastrun, prof. Kazimierz Wyka i Julian Przyboś. Anatol Stern powołał na świadków Aleksandra Wata, Seweryna Pollaka, St. Dobrowolskiego i Jana Wykę" – taka oto notka prasowa znalazła się w „Ilustrowanym Kurierze Polskim", datowanym na 1 października 1957 r. Co tak zirytowało Sterna? W jednym z artykułów Słonimski stwierdził, że poezje polskich futurystów, w tym Sterna, „więcej miały wspólnego z Marinettim i faszyzmem włoskim niż z literaturą socjalistyczną". Ponadto Słonimski przekręcił fragment wiersza Sterna „Anielski cham".

Widać wyraźnie, że sympatie lewicowe Sterna, w sumie naiwne w okresie międzywojnia, nie zostały skorygowane przez doświadczenia wojenne. Swoje utwory zaczął drukować bowiem w marksistowskiej „Kuźnicy". Pisał także m.in. do „Współczesności", „Nowin Literackich" i „Odrodzenia".

Jeździł do Rosji, swoje wrażenia opisując na łamach prasy. Dla „Przyjaźni" pisał w 1964 r. w następujący sposób: „Tak niewiele czasu upłynęło od chwili, gdy na czele kilkuosobowej delegacji pisarzy naszych wyjechałem do Moskwy, a już nastąpiła pewna hierarchizacja wrażeń: niektóre zdarzenia i spotkania wypierają inne, które odchodzą na dalszy plan... Na szczęście jednak, tu i ówdzie pisałem o tych sprawach – może by więc tylko pokrótce o najważniejszych spotkaniach zbiorowych naszej delegacji i trochę o mych wędrówkach po Moskwie i po Leningradzie...". Z kolei w rozmowie z „Trybuną Mazowiecką" stwierdzał: „Obecne nastawienie obywateli Związku Radzieckiego do naszego kraju nacechowane jest gorącą sympatią, niekiedy wprost egzaltacją, szacunkiem dla naszego poczucia niezależności. Ten nastrój ulicy udziela się zresztą sztuce, literaturze i publicystyce".

Stern wielokrotnie wychwalał literatów radzieckich, tłumaczył utwory Włodzimierza Majakowskiego, którego znał zresztą osobiście, jeszcze od czasów międzywojnia. „Wydaje mi się, że upłynęło zaledwie parę dni od chwili, gdy omawialiśmy namiętnie wszystkie szczegóły tego tomu poetyckiego w zadymionej salce małej kawiarenki na Nowym Świecie (nie istniejącej dziś tak samo, jak nie istnieje już restauracja Astoria, gdzie podejmowaliśmy potem Majakowskiego). Otrzymałem już podówczas niemal wszystkie istniejące przekłady jego utworów od poetów Broniewskiego, Jasieńskiego, Słobodnika, Słonimskiego, Tuwima, Wandurskiego, no i dałem własne" – pisał na łamach „Życia Warszawy" w 1967 r. Nie sposób pominąć roli Sterna jako tłumacza np. utworów dramatycznych Aleksandra Puszkina (wraz z Sewerynem Pollakiem i Marianem Toporowskim).

Dzięki temu, że nie podskakiwał specjalnie władzy ludowej, miał możliwość wyjeżdżania za granicę. W 1957 r. przebywał w Paryżu na stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ponadto – jak podaje „PBS" – na wniosek prezesa Zarządu Głównego ZLP Jarosława Iwaszkiewicza Urząd Rady Ministrów przyznał Sternowi rentę specjalną „z tytułu zasług własnych" w wysokości 2,5 tys. złotych miesięcznie. W sierpniu 1965 r. na zaproszenie Związku Pisarzy Radzieckich wyjechał na pięć tygodni do Jałty.

Pod koniec życia cierpiał na zaawansowaną cukrzycę. Zmarł 19 października 1968 r. ZLP zawnioskował o pogrzeb na koszt państwa. Nad grobem przemawiali Wyka i Jerzy Zagórski. Nagrobek i płytę nagrobną ufundowało Ministerstwo Kultury i Sztuki.

„Stern już przed wojną sympatyzował z lewicą, wiązał się z nią, współpracował. Był jednym z pierwszych rzeczników poezji radzieckiej, tłumaczył Majkowskiego, znanego mu zresztą osobiście. Jego pracowitość była zresztą ogromna. Wydawał tomy wierszy, redagował almanachy i jednodniówki, tłumaczył, pisał powieści, scenariusze filmowe, sztuki teatralne, recenzje, wspomnienia, eseje..." – pisano po jego śmierci we „Współczesności".

Dziś twórczość Sterna należy do zapomnianych, chociaż po wiersz „Nimfy" sięgnął zespół Pidżama Porno. Oczywiście w zakresie ideologicznym nie sposób oceniać jej pozytywnie, zwłaszcza że Stern nie przejrzał na oczy po lwowskim epizodzie. Czy przejrzałby, gdyby dane mu było pożyć dłużej? Chyba nie. O ile jego tendencję do „lewicowania" w czasach międzywojnia można uznać za naiwną i niegroźną, o tyle już działania powojenne wyraźnie świadczą o koniunkturalizmie. Nie widział, co się dzieje? Nie chciał widzieć? Było mu tak wygodnie? Tego już nigdy się nie dowiemy. ■

eprasa.pl 9137619b50

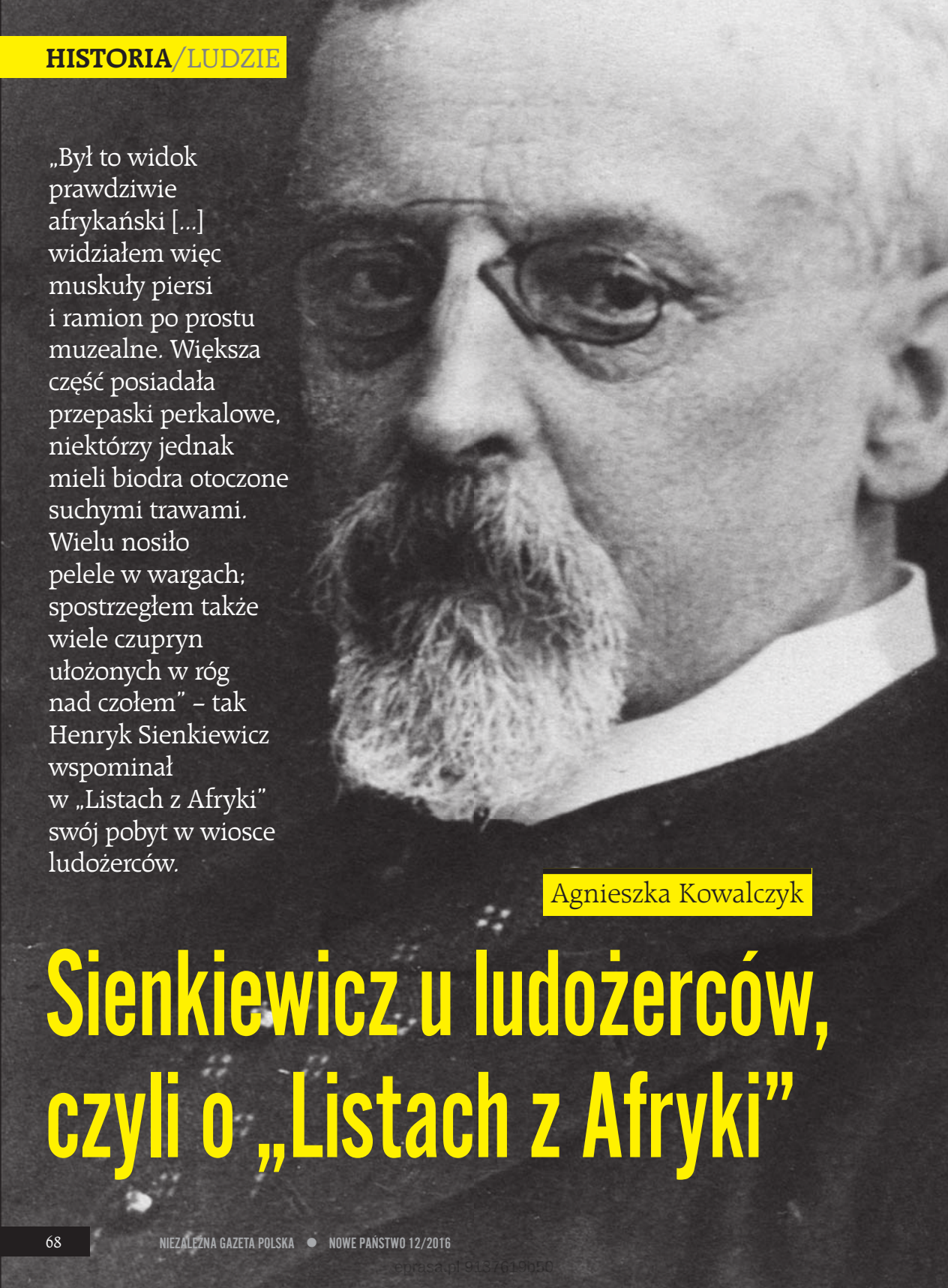

„Był to widok prawdziwie afrykański [...] widziałem więc muskuły piersi i ramion po prostu muzealne. Większa część posiadała przepaski perkalowe, niektórzy jednak mieli biodra otoczone suchymi trawami. Wielu nosiło pelele w wargach; spostrzegłem także wiele czupryn ułożonych w róg nad czołem" – tak Henryk Sienkiewicz wspominał w „Listach z Afryki" swój pobyt w wiosce ludożerców.

Agnieszka Kowalczyk

Sienkiewicz u ludożerców, czyli o „Listach z Afryki"

eprasa.pl 9137619050

Henryk Sienkiewicz w Afryce

Tak mógłby wygladać Sienkiewicz w wiosce ludożerców. Na zdjęciu słynny polski podróżnik Kazimierz Nowak

fot.Wikipedia

Obchody 100. rocznicy śmierci naszego noblisty stanowią doskonałą okazję, by przypomnieć jego oryginalne dzieło, które zrodziła podróż w głąb Czarnego Kontynentu, a o którym dziś prawie nikt nie pamięta. Znamy doskonale Sienkiewiczowską Trylogię, „Quo vadis?", „Krzyżaków", „Latarnika"..., ale mało kto słyszał o „Listach z Afryki". Wytworzyła się bowiem wokół nich trwająca ponad pół wieku zmowa milczenia. Dopiero teraz wydobyte zostały z zapomnienia dzięki inicjatywie wydawnictwa Most, które doprowadziło do ich wznowienia. A przecież „Listy z Afryki" bez wątpienia zasługują na swoje drugie życie, chociażby dlatego, że odsłaniają jeden z najbardziej fascynujących lądów, który w drugiej połowie XIX wieku stał się obszarem szczególnej eksploracji Europejczyków ogarniętych „gorączką podróżniczą". W gronie śmiałków wyruszających do Afryki obok kolonizatorów, misjonarzy, uczonych, handlarzy kością słoniową, łowców przygód zabraknąć nie mogło pisarzy-podróżników, a wśród nich – Henryka Sienkiewicza.

To właśnie dzięki niemu stajemy się uczestnikami niezapomnianej podróży w głąb Czarnego Lądu, dokąd wyprawił się w 1890 r. jako reporter „Słowa". Miał zresztą, jak sam mówił, cygańską duszę i jego żywiołem była włóczęga po obcych ziemiach i morzach. Już wcześniej brał udział w wielkiej wyprawie do Ameryki, skąd jako korespondent „Gazety Polskiej" nadsyłał przez prawie trzy lata znakomite listy z Nowego Jorku i San Francisco, z nieprzebytych prerii Dzikiego Zachodu i kalifornijskiej puszczy. Czytelnicy z zapartym tchem śledzili przygody polskiego Robinsona Crusoe, który spał pod gołym niebem, polował na szarego niedźwiedzia grizli, kolekcjonował ogony grzechotników, zamieszkiwał w indiańskich wigwamach i wyprawiał się na bawoły do stanu Wyoming. Teraz zaś otwierała się przed nim ziemia dzika i pierwotna, tajemnicza i nęcąca egzotyką – nieznany kontynent, który postanowił odkryć w swych „Listach z Afryki".

Tajemnice Egiptu

Na Czarny Ląd wyruszał z Neapolu, gdzie spędził Wigilię, stając się świadkiem ostatnich chwil życia Heinricha Schliemanna – wielkiego archeologa XIX wieku, który zdobył nieśmiertelność odkryciem Troi i Myken. W stronę Egiptu płynął szlakiem Odyseusza, przedzierając się między Scyllą a Charybdą – mitologicznymi potworami, które dziś nie są aż tak groźne, bo jak żartobliwie stwierdził: „Charybda nie wciąga już w siebie słonej wody, a Scylla straciła zapewne zęby ze starości i nie porywa marynarzy". Największe wrażenie po przybyciu do Port Said wywarł na nim jednak nie Kanał Sueski, lecz pustynia – kraina nieludzka, zastygła w bezruchu,

epraśa.pl 9137619b50

przerażająca martwotą: „Istnieje tu wszystko, co kojarzy się z pojęciem śmierci, więc i ogromna groza, i ogromna cisza, i melancholia, i rozdzierający smutek [...]. W pustyni odczujesz wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia". Sienkiewicz odkrywa ducha tej niepojętej przestrzeni, usiłując sięgnąć w głąb metafizycznej zagadki bytu. Nigdy też nie zapomniał, jak w grobowej ciszy pod piramidami, w księżycowym świetle ożyła nagle ogromna i tajemnicza głowa Sfinksa. Z czarnej stawała się ciemnozielona, zyskiwała ludzkie rysy, tak jakby budziła się z wielowiekowego snu: „W jednej chwili tworzy się jakiś mistyczny związek między Sfinksem i księżycem. Sfinks staje się do tego stopnia żywym, że [...] niepodobna oczu oderwać od tej twarzy, która [...] w srebrnym blasku [...] drga, myśli i czuje". Ten monumentalny posąg to dla Sienkiewicza odwieczny świadek dziejów, mający w sobie coś niemal kosmicznego. W przeciągu wieków „widział Mojżesza i Kambizesa, Aleksandra i Ptolemeuszów, Cezara i Marka Antoniusza, Kleopatrę i Najświętszą Pannę, [...] świętego Ludwika i Napoleona". To głębokie doświadczenie duchowe zrodzone w gorących piaskach Afryki porównał Litwos do symfonii, której pojedynczymi akordami są piramidy, Sfinks, księżyc i pustynia oraz samotni Beduini na wielbłądach podobni do starotestamentowych proroków. „Warto przyjechać do Egiptu, by się raz w życiu taką symfonią upoić!"– zachęcał Litwos wszystkich, którzy chcieli poznać tajemnice ziemi faraonów.

Z kolei Suez to dla podróżnika „Mrzygłód egipski" – zapadły kąt, gdzie łatwo stać się łupem miejscowych szakali, którzy z myślą o łatwym zarobku rzucają się z każdej strony na biednego turystę. „Kto się nie umie bronić, to go rozerwą" – skarżył się Sienkiewicz, pisząc, że „tłum Arabów i Murzynów jeszcze brudniejszy, wrzaskliwszy i więcej natrętny niż w innych miastach egipskich. Jest to zbiór najbardziej zakazanych figur, jakie zdarzyło mi się spotkać gdziekolwiek w świecie. Arabowie wydają się malowniczy nawet w łachmanach, ale każdy z nich ma coś takiego w twarzy, jakby dwa dni nie jadł. W ich gwałtownych ruchach i natarczywości, przechodzącej wszelką miarę, tkwi jakaś gorączka głodowa". Chociaż Suez położony jest na wielkim szlaku handlowym i mógłby opływać w dostatki, to jednak tak się nie dzieje, gdyż Port-Said zabiera mu wszystko. Statki zatrzymują się tu tysiącami, ale tylko po to, by dopełnić wszelkich formalności i ruszyć dalej.

Ludzie pokrewni rekinom

W Zatoce Sueskiej zaś mógł po raz pierwszy oglądać Murzynów, którzy ku uciesze pasażerów statku dawali pierwszorzędne przedstawienie, wyławiając z wody rzucane im monety. „Oto z pokładu leci pierwszy pieniążek i natychmiast z kilku naraz łódek cała czereda rzuca się na głowę w morze. Widać tylko [...] ciała pod falą, jak kłębią się, przepychają i biją o pieniążek, zupełnie jak karpie o okruszynę chleba, po czym znika wszystko. Kędzierzawe głowy wypływają nareszcie na powierzchnię, wyrzucając ze wzdętych policzków słoną wodę. Szczęśliwy zdobywca pokazuje pieniążek i z braku innej kieszeni chowa go w usta. [...]. Mówiąc nawiasem, [...] na wszystkich indyjskich wodach nie brak rekinów, widocznie jednak uważają one tych czarnych pauperów za jakieś pokrewne istoty".

Natomiast Aden z cysternami wykutymi w skałach to dla naszego podróżnika kraina śmierci. „Bardziej bezpłodnej, bardziej wrogiej wszelkiemu istnieniu miejscowości nie ma chyba na całym świecie" – stwierdzi Sienkiewicz. Spotkał tu po raz pierwszy mieszkańców Somalii – okrutnych i fanatycznych Murzynów-muzułmanów – dzikich, drapieżnych i zdradzieckich, którzy mordują każdego bez litości. W pamięci utkwiły mu też rojowiska Arabów, Hindusów, Somalisów i Gallasów wijące się w afrykańskim żarze niczym kłębowiska robaków. „Wszystko to nagie lub na wpół przebrane – opisywał – wszystko przewraca białkami oczu, śmieje się, wrzeszczy, żebrze, macha rękoma, ciągnie w różne strony; wszystko wydaje się dziwne, trochę diabelskie [...]. Te kupy ludzi o różnych skórach, ta nagość wielkich i małych ciał, namiętne ruchy, ten wrzask rozmaitych języków ma w sobie coś z egzotycznej orgii". Wśród nich widział też i Anglików – bladych, wycieńczonych anemią, którzy strzegli jak oka w głowie potężnej stacji węglowej czyniącej ich panami Oceanu Indyjskiego.

„Światło morza" i święto równikowe

Dalsza podróż wiodła przez ten właśnie ocean kryjący w sobie niepojęte tajemnice. Oto pewnej nocy Litwos stał się świadkiem nadzwyczajnego zjawiska natury. Gdy wyszedł na pokład, nie mógł uwierzyć własnym oczom, bo całe morze przybrało biały kolor, wyglądało jak kreda. „Cisza była zupełna; woda leżała ciężko, bez ruchu, jakby powierzchnia oceanu skrzepła pod śniegiem. Wszędzie cicho, biało! [...]. Księżyc nie świecił. Gwiazdy czyniły pozór srebrnych gwoździ ponabijanych w żałobne obicie, niebo wydawało się czarne jak kir. Było w tym coś mistycznego, a zarazem przeraźliwie smutnego. Mieliśmy takie uczucie, jakby już nas przeniesiono z ziemi na inną planetę, gdzie wszystko jest odmienne – i morze, i niebo, gdzie panują tylko te dwie trupie barwy i gdzie wśród tajemniczych mroków życie płynie w dusznym ucisku, w niepokoju i zbłąkaniu". To, co Sienkiewicz zobaczył, było „światłem morza". Cała ta fosforescencja trwała przez długie godziny, ale nazajutrz nie pozostało z niej ani śladu. Ranek obudził się świeży, wesoły i jasny.

eprasa.pl 9137619b50

Jeszcze tego samego dnia Sienkiewicz stał się uczestnikiem niezwykłej uroczystości obchodzonej w momencie, gdy statek przekraczał równik. Przy dźwiękach hałaśliwej muzyki na pokład wkroczyło maskaradowe towarzystwo z Neptunem dzierżącym trójząb, którego łaski musiał zaskarbić sobie kapitan. Zabawa polegała na tym, że sadzano kolejno podróżnych nad wanną, mydlono i golono, po czym ławeczka przewracała się i „»pacjent« wpadał na głowę do wody, w której dzicy nurzali go póty, póki się jej dobrze nie opił". Taki chrzest bojowy mieli przejść wszyscy pasażerowie, chyba że wykupili się dziesięcioma butelkami piwa, czego nie omieszkał uczynić także nasz pisarz. Każdy otrzymał potem świadectwo przekroczenia równika z pieczęcią i podpisem: *Neptunus, deus in mare vast*o (Neptun, bóg na ogromnym morzu).

Szaleństwo egzotyki

Sienkiewicz zabrał też swoich czytelników do najbardziej egzotycznego zakątka Czarnego Lądu – do Zanzibaru, gdzie rozpościerały się już podzwrotnikowe lasy z pióropuszami kokosów, jasnozielone plantacje bananów, pola goździkowe, słowem, jedno wielkie morze zieloności. „Jak okiem sięgnąć – pisał – widać tę egzotyczną potęgę roślinności, przechodzącą niemal w rozpustę. Widać, że wszystko tam rozgrzewa się w słońcu, w gorącej wilgoci, pęcznieje, buja, zapładnia i szaleje". Można było znaleźć tam wszelkie bogactwa Afryki: kość słoniową, broń arabską i indyjską, rogi nosorożców, skóry lwów i lampartów, strusie jaja, olbrzymie orzechy z Seszelów, grzebienie murzyńskie... Lokalny targ to królestwo egzotycznych smaków, to raj na ziemi dla malarza rozkochanego w barwach. Obok jasnożółtych bananów i brunatnych kosmatych kokosów „pełnych świeżej, słodkiej wody, objętej w śmietanowym pokrowcu" piętrzyły się stosy czerwonych jak korale pomidorów, złocistych mandarynek, złoto-siwych ananasów, jabłuszek z Cytery i słynnych melonowców karika-papaja. Wśród nich przyciągały wzrok „fioletowe ciała oberżyn", zielone łuskowate annony w środku pełne jakby ubitej z cukrem śmietanki, to wreszcie „olbrzymie owoce, zwane małpim chlebem, w których ognistym wnętrzu siedzą czarne ziarenka jak potępieńcy w piekle". Odurzał zapach lotnych olejków owocowych i wanilii, sandału i goździków. Dla Europejczyka była to prawdziwa kąpiel w egzotyce upajająca rozkoszą wszystkie zmysły.

W Zanzibarze przed naszym podróżnikiem otworzyły się też podwoje sułtańskiego pałacu i stanął on przed obliczem bosonogiego władcy Said-Alima. Najpierw jego oczom ukazało się przedziwne wojsko sułtana złożone z tysiąca drapichrustów – Murzynów Suahili, Zulusi, Somalisów i Sudańczyków uzbrojonych w zardzewiałe karabiny skałkowe, szable, maczugi bądź stare pistolety bez kurków. Niezwykle barwna mozaika ich strojów błyszczących bielą perkalu, to znów mieniących się czerwienią, purpurą, żółcią i błękitem kontrastowała z ciemnym umundurowaniem „bosonogich" wojsk regularnych przypominających pisarzowi zastępy kominiarzy. Wszyscy oni strzegli jego wysokości sułtana, czterdziestoletniego mężczyzny, o inteligentnej twarzy, pięknych, lecz smutnych oczach i rysach Hindusa. Przy boku nosił on drogocenny, zakrzywiony nóż indyjski, a jego palce zdobiły brylanty wielkości orzechów laskowych. Sienkiewicza uderzyło najbardziej to, że jego królewska mość Zanzibaru paradował po pałacu boso. Władza Said-Alima była jednak tylko na pokaz. W istocie rzeczywistymi panami Zanzibaru czuli się Anglicy: „O Anglii mówią, że ma ona żelazną rękę przybraną w aksamitną rękawiczkę" – potwierdzał Litwos. „Ta ręka nie obdziera nigdy z zewnętrznego blasku, gładzi, sypie dary, ale swoją drogą w porcie zanzibarskim stoją na odległość strzału dwa pancerniki: straszny »Marathon« i »Redbreast« gotowe w każdej chwili poprzeć grzeczne słówko konsula: ogniem i żelazem".

„Sielanka ewangeliczna" w buszu

Jeszcze większe wrażenie uczynił na Sienkiewiczu pobyt u misjonarzy, najpierw w Zanzibarze, a potem w Bagamayo. Zanzibarscy Bracia Biali szerzyli chrześcijaństwo wśród murzyńskich dzieci, wykupywali je z niewoli, uczyli czytać, a nawet drukowali książki do nabożeństwa w lokalnym języku kisuahili, a ich siedziba była dla Sienkiewicza prawdziwą oazą spokoju z ogrodem, nad którym wśród pnączy, kwiecia, palm i młodych mangowców górował posąg Matki Boskiej. Wśród wyniosłych drzew snuli się ojcowie w białych habitach, a wokół rozlegał się śmiech murzyńskich chłopców z przeróżnych szczepów – z ziemi Uzaramo, Udoe, Uzagara, Mafiti, Unyore i z Ugandy. Wszyscy oni poznawali zasady wiary chrześcijańskiej, a do tego uczyli się uprawy pożytecznych roślin i sadownictwa, by po powrocie w rodzinne strony móc sadzić „broniące od głodu drzewa i opowiadać o Bogu, który kocha czarnych".

Do brzegów Bagamoyo dotarł w dość nietypowy sposób. Ocean był tu nazbyt płytki, by statek wysadził pasażerów bezpośrednio na lądzie, od którego dzieliło ich jeszcze kilkaset kroków, a że woda sięgała tylko kolan, mogli liczyć na specjalny środek komunikacji. Na horyzoncie dostrzegł więc Litwos „kilkudziesięciu Murzynów to idących luzem, to niosących krzesła na długich drągach [...]. Dla oryginalności wybrałem plecy, nie nosze – wspominał potem z uśmiechem – i usiadłszy na karku Murzyna spuściłem nogi wzdłuż jego piersi

eprasa.pl 9137619b50

[...]. Wyznaję, że miałem mimowolną obawę, czy nie posmolę o jego czarną skórę mego białego ubrania. [...]. Obok mnie niesiono piękną panią Jameson, która w śnieżnej flanelowej sukni wyglądała nad lazurową wodą jak jakaś boginka morska dźwigana procesjonalnie przez czarnych czcicieli [...]". Gdy tylko stopy naszego pasażera dotknęły ziemi Bagamoyo, olśnił go wspaniały tropikalny ogród – dzieło podzwrotnikowej natury i niezmordowanej pracy ludzkiej. Kiedyś, jak wyjaśniał Sienkiewicz, było to prawdziwe pustkowie, dopiero misjonarze zasadzili tu wszystko. Teraz zaś, po wielu latach, małe sadzonki przeobraziły się w „kępy rozszalałej podzwrotnikowej roślinności", przybierając postać nieprzebytego morza kokosów i bananowców, nad którym „piętrzą się rozłożyste wachlarze palmy błotnej, czuby juk, papaje, mango, drzewa chlebowe, annony, jabłonie cyteryjskie i bambusy". Wśród tych okazałych plantacji kryły się stożkowate chaty Murzynów pozostających pod opieką misjonarzy. Do siedziby pracowitych braciszków wiodła wspaniała szeroka aleja wysadzana mangowcami, a kończąca się bramą, przed którą stał posąg „błogosławiącego ludziom i drzewom" Chrystusa, a nad nim wznosił się jak ogromny świecznik wieloramienny kaktus. Podróżnych przywitał ojciec Stefan, który wywarł na Sienkiewiczu niezwykłe wrażenie. Był to człowiek sześćdziesięcioletni, wysoki, chudy, z dużą białą brodą, o obliczu przypominającym do złudzenia twarz Leonarda da Vinci. Jego służba w zabójczym afrykańskim klimacie trwała już trzydzieści lat, toteż „febry, których przeszedł tyle, że sam zapewne liczby nie pamięta, dały mu wyraz ascety taki, jaki się widuje u męczenników na obrazach Zurbarana". Całym swoim życiem dawał świadectwo głębokiej wiary i miłości bliźniego – wykupował dzieci z niewoli, nauczał je, godził zwaśnione plemiona murzyńskie, leczył chorych. Jego sława zaś rosła z dnia na dzień, tak iż stał się obiektem czci wśród Hindusów, Murzynów, Niemców i Anglików, którzy specjalnie przyjeżdżali z Zanzibaru, by zobaczyć go na własne oczy.

Królestwo misyjne ojca Stefana w Bagamoyo także wydawało się jakby nie z tego świata. W afrykańskim buszu misjonarze stworzyli „ewangeliczną sielankę" – jak określił to miejsce Sienkiewicz. Pośród wspaniale utrzymanych ogrodów tropikalnych wznosiły się okazałe budowle z rafy koralowej – kościół, kaplica, wielki dom mieszkalny dla księży, szkoła, warsztaty, dom dla sióstr miłosierdzia oraz szkoła dla ich wychowanek, a do tego jeszcze kuchnia, składy itp. Wszystko to wzniesione zostało rękoma samych księży, w klimacie, w jakim praca fizyczna grozi Europejczykowi niechybną śmiercią i w którym „Niemcy muszą trzymać żołnierzy Zulów i Sudańczyków, bo i karabin jest już za ciężkim brzemieniem dla białego!". Sienkiewicz nie mógł więc wyjść z podziwu, „jakim sposobem jedni tylko misjonarze pracują fizycznie i nie umierają". Sądził, że ich zwycięstwo nad własną słabością wypływało z ogromnej siły wewnętrznej, z głębokiego poczucia obowiązku i wiary we własne posłannictwo. W gorącej Afryce Bracia Biali byli nie tylko przewodnikami duchowymi czarnej ludności, lecz także przyczyniali się do rozwoju cywilizacji, zmieniając oblicze kontynentu – „nie tylko Murzynów chrzczą – ale uczą ich karmić się, mieszkać i odziewać po ludzku – słowem: z dziczy zupełnej tworzą ucywilizowane społeczeństwo". W nagrodę za życie pełne poświęceń czekało misjonarzy jedno – śmierć na obczyźnie. Ale ta perspektywa nie była dla nich wcale przerażająca, a tarczą obronną okazywały się niewzruszony spokój i niezmącona pogoda ducha. W głębi buszu uprawiali w praktyce franciszkańską filozofię życia – pobożność „nie ma tu twarzy surowej", a ascetyzm jest „po prostu wesoły". „Wśród tej bajecznej roślinności – pisał zachwycony Sienkiewicz – [...] rozlegają się głosy dziecinne, mruczą warsztaty, czasem odezwie się dzwonek, a czasem w głębi ogrodu rozlegnie się głos organów, który, porwany przez powiew morski, leci nad dziką krainą, póki [...] nie ścichnie wśród puszcz". Takiej atmosfery duchowej błogości doświadczał we wszystkich odwiedzanych ośrodkach misyjnych, z których wychodzili czarnoskórzy apostołowie, szerząc potem chrześcijaństwo i postęp cywilizacyjny wśród swoich współbraci.

▶ Sienkiewicz u ludożerców

Z żalem rozstawał się więc Sienkiewicz z Bagamoyo i ojcem Stefanem, by zapuścić się w głąb Czarnego Lądu. Wkrótce miało się okazać, że trafi do króla ludożerców Muene-Pira, u którego przyjdzie mu spędzić jeden ze swych nigdy niezapomnianych noclegów. Do jego wioski dotarł w szczególnym momencie obchodzenia uroczystości pombe, której nazwa pochodzi od piwa uzyskiwanego z ziaren rośliny sorgo. A że tego szybko kwaśniejącego napoju Murzyni miewali w nadmiarze, spraszali więc całą okolicę i wszyscy razem pili do upadłego przy dźwiękach bębna, w wirze szalonych tańców. Gdy karawana zbliżyła się do wioski, prawie trzystu czarnoskórych wyszło naprzeciw naszym podróżnikom. W blasku zachodzącego słońca wyglądali dziko i malowniczo. „Był to widok prawdziwie afrykański" – wspominał Sienkiewicz. „[...] widziałem więc muskuły piersi i ramion po prostu muzealne. Większa część posiadała przepaski perkalowe, niektórzy jednak mieli biodra otoczone suchymi trawami. Wielu nosiło pelele w wargach; spostrzegłem także wiele czupryn ułożonych w róg nad czołem". Dopiero wtedy pisarz uświadomił sobie, że znalazł się w samym sercu wioski ludożerców, do której przywiódł karawanę syn panującego, oddany niegdyś na wychowanie do ojców misjonarzy w Baga-

eprasa.pl 9137619b50

moyo. Sienkiewicz stanąwszy przed władcą, nie czuł jednak strachu, bo stary król nie przyjmował go z dzidą w ręku, ale z niepokojem w oczach. „Starowinka – pisał o nim Litwos – folgując dawnym przyzwyczajeniom, kupuje od czasu do czasu w największym sekrecie niewolnika i urządza sobie z niego filet, sauce naturelle [z fr. sos własny], stąd w każdym białym widzi sędziego, który przybywa do Bagamoyo, aby zrobić z nim ostateczny obrachunek". Muene-Pira poczuł się spokojniejszy dopiero wtedy, gdy syn utwierdził go w przekonaniu, że biali nie mają żadnych złych zamiarów. Sienkiewicz bardzo chciał zapytać króla, kiedy ostatnio jadł ludzkie mięso, ale powstrzymywała go obawa przed jego reakcją. Zaraz jednak wyjaśniło się, że nie musi martwić się o swój los, gdyż Murzyni z Udoe nie jadali nigdy białych, wierząc, że przyniosłoby to zagładę ich krajowi. Sienkiewicz stawiał jednak inną hipotezę. „Podług mnie – pisał w żartobliwym tonie – rzecz ta musi się wspierać na jakimś smutnym doświadczeniu. Może niegdyś zjedli, na przykład, jakiegoś dziennikarza, który im stanął kością w gardle; może uczonego, po którego spożyciu wszystkie miejscowe środki okazały się bezskuteczne, a może poetę, po którym panowały powszechne mdłości...". Pewne zaś było to, że wśród ludożerców z Udoe istniała tradycja, by zjadać poległych i jeńców – „w ten sposób wojna żywiła wojnę". „Sam widziałem szczątki spalonego ciała ludzkiego pod drzewem leżące, a na drzewie wisiało odzienie i nóż..." – wyznał w swym liście Tyszkiewicz – przerażony kompan Litwosa. Nasi podróżnicy mogli jednak czuć się całkowicie bezpieczni wśród ludożerców, a ich król nawiązał nawet z uczestnikami karawany przyjacielskie stosunki. Przesiedział prawie całą noc w namiocie naszego pisarza wraz ze swymi synami, nie bojąc się nawet sztucznych ogni, które Sienkiewicz odpalał na postrach, myśląc, że w ten sposób szybciej wypłoszy natrętnych gości. Dopiero nad ranem nasi łowcy przygód zasnęli kamiennym snem, tym bardziej, że uraczyli się wcześniej sporą ilością pombe. Sienkiewicz, zasłyszawszy od misjonarzy, że napój ten podaje się tu w ludzkich czaszkach, dobrze obmacał naczynie, a gdy upewnił się, że to tykwa, z rozkoszą wypił wszystko aż do dna. Na drogę zaś od króla ludożerców otrzymał całą dzieżę owego wybornego piwa.

Wnikliwe studium afrykańskości

To tylko wybrane obrazy i sceny, w które obfitują „Listy z Afryki" Sienkiewicza. Dają one posmak tego wszystkiego, co zawarte jest w jego 23 szkicach podróżniczych, które pozostają wciąż do odkrycia dla współczesnego czytelnika. Wizja Czarnego Lądu u Sienkiewicza jest jedyna w swoim rodzaju, bowiem pisarz po mistrzowsku wydobywa specyficzny koloryt Afryki. Kreśli szkice obyczajowe z różnych sfer życia i tworzy barwną mozaikę ludów, narodów i plemion – Arabów, Hindusów, Murzynów, Anglików..., chociaż wyodrębnia też ich indywidualne portrety, odsłaniając nie tylko fizjonomię, lecz także prawdziwą naturę. Z nieukrywaną niechęcią, a nawet wrogością odnosi się do Arabów, którzy są dla niego istotami pozbawionymi godności, żebrzącymi i nikczemnymi. Zawsze natomiast darzył sympatią i brał w obronę Murzynów – ofiary arabskiego handlu niewolnikami. Żywioł egzotyki ogarniał u niego wszystko. Sienkiewicz docierał do samej esencji „afrykańskości" – z Murzynami, z piaskiem i niebem pustyni, z piramidami i Sfinksem, z polami goździkowymi, ze „sklepami zwrotnikowymi", a nawet ze wszechobecnie panującym brudem. Egzotyzm w jego wydaniu jest oryginalny, bowiem na afrykańskie zakątki spogląda często przez pryzmat swojszczyzny, porównując to, co obce, z tym, co ojczyste, i w ten sposób wyostrzając kontrasty kulturowe. Tak dzieje się na przykład podczas opisu upalnego dnia, gdy słońce znajduje się w zenicie, a wszystko ogarnia martwa cisza. Podczas gdy w Polsce cisza kojarzy się z nocą i ukojeniem, w Afryce milczenie i blask nabierają złowrogiego charakteru, bo słońce jest tu śmiercionośnym żywiołem. Afrykańskiego ducha najpełniej zdają się wyrażać ulirycznione opisy pejzaży Czarnego Lądu, w których objawiają się stany wewnętrzne podróżnika – jakaś nieokreślona tęsknota i smutek w obszarze zamarłej pustyni albo też podziw dla urody świata i niezwykłości krajobrazów, których najbardziej poetycznym wyobrażeniem są tropikalne lasy Zanzibaru. „Listy z Afryki" ujmują swoją nastrojowością, gdyż ich autor wydobywa subtelne, ale uderzające cechy pejzażu, działając bardziej na sferę emocjonalną odbiorcy niż na jego pamięć. W ten sposób czytelnik wczuwa się w atmosferę opisywanego świata i całym sobą doświadcza go i przeżywa.

Spod warstwy tchnących egzotyką afrykańskich osobliwości wyłania się jednak szereg ważnych dla Sienkiewicza problemów politycznych i społeczno-ekonomicznych, takich jak kolonializm, niewolnictwo, konflikty etniczne, działalność misyjna. Dodajmy, że całość jego relacji cechuje reportażowa bezpośredniość, tak iż mamy wrażenie, że sami znajdujemy się w środku Czarnego Lądu i wespół z Litwosem chłoniemy wszystkimi zmysłami ten urzekający swą innością świat, który odszedł już w przeszłość. Dla tego, kto dziś zapragnąłby zgłębić ducha ówczesnej Afryki – odległej, dzikiej i wciąż pociągającej swą pierwotnością – listy Sienkiewicza staną się fascynującą i niezapomnianą lekturą. Tym bardziej że to właśnie one są w polskiej literaturze pierwszą najgłośniejszą realizacją tematyki afrykańskiej i docierają do samego jądra życia Czarnego Kontynentu. ■

eprasa.pl 9137619b50

Olga Doleśniak-Harczuk

Artykuł Newta Gingricha, w tłumaczeniu wybitnego znawcy Stanów Zjednoczonych i wieloletniego kierownika działu zagranicznego „Gazety Polskiej" Jacka Kwiecińskiego (1944–2012), ukazał się na łamach „Nowego Państwa" w 2010 r. (nr 10/56). Jacek Kwieciński widział w Gingrichu nadzieję amerykańskiego konserwatyzmu i gorąco mu kibicował. Gingrich jest w amerykańskiej polityce postacią faktycznie nietuzinkową, to pod jego przywództwem w 1994 r. republikanie po raz pierwszy od czasów Roosevelta odzyskali kontrolę nad Kongresem. To dzięki Gingrichowi do ówczesnego programu wyborczego republikanów włączono postulat wejścia Polski do NATO, co zmusiło Billa Clintona do przejęcia i realizacji tej polityki. Lewicowe media, w odwecie za nagłośnienie przez republikanów afery Clintona z Moniką Levinsky, niszczyły Gingricha za jego rozwód z żoną i ślub z Callistą Bisek, katoliczką polskiego pochodzenia. Pod wpływem Callisty, Newt w 2009 r. nawrócił się i został ochrzczony w Kościele rzymskokatolickim. Wraz z żoną wyprodukował film „9 dni, które zmieniły świat" o pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski, gdzie m.in. opisuje się, jak komuniści zwalczali krzyż z kwiatów, który ludzie układali na placu Piłsudskiego. Dziś Newt Gingrich jest typowany jako jeden z faworytów do stanowiska szefa kancelarii Donalda Trumpa.

Newt Gingrich

Wielki kryzys kompetencji

Jedyną rzeczą, którą zawdzięczamy Obamie, było zmuszenie nas do zastanowienia się nad tym, kim jesteśmy. Zapowiadał „zmianę, w którą możecie uwierzyć", okazał się tym, który chce zmienić to, w co wierzymy.

Obama jest zdecydowanie najbardziej lewicowym prezydentem w naszej historii. Nie dziwi, że 55 proc. Amerykanów określa go jako socjalistę. Jego polityka spowodowała zupełnie bezprecedensową centralizację władzy w Waszyngtonie, niezwykły wzrost kontroli rządu nad zwiększającym się obszarem życia obywateli. [...] Zarządzenie, by firmy sporządzały raporty z każdej transakcji przewyższającej 600 dolarów [część „reformy służby zdrowia" – J.K.], próba kontroli nad całym użyciem energii – to niebywałe przykłady wkraczania rządu w sfery, po które dotąd nie sięgał. Listę można by długo ciągnąć. Agenda tego rządu jest dramatycznym odejściem od naszej tradycji, czego większość ludzi nie akceptuje. Potrzebne jest zdecydowane ograniczenie rozmiarów rządu, władz na wszystkich szczeblach naszego systemu politycznego. Przywrócenie klasycznych wartości amerykańskich, poczucia, że każdy z nas obdarzony jest pochodzącymi od Stwórcy niezbywalnymi prawami, tego, że każdy ma prawo snuć wielkie marzenia, nie mając oczywiście pewności, że się ziszczą. Obecna władza nie rozumie wielu spraw.

[...] Obama? Amerykanie sami zdecydują, co o nim sądzą. Ale wydaje mi się, że jest lepszy w prowadzeniu kampanii wyborczej niż w wykonywaniu obowiązków prezydenckich, lepszy jako celebryta niż szef władzy wykonawczej, lepiej mówi, niż sprawdza się jako wódz naczelny.

[...] Czasem wydaje mi się, że tam, w Białym Domu, mamy do czynienia z wielkim kryzysem kompetencji [...] Rozbieżność między tym, co mówi, a czego dokonuje Obama, jest wręcz dramatyczna [...] Prezydent powinien podzielać podstawowe dla społeczeństwa wartości, wizję jak i dokąd winien zmierzać kraj, choć częściowo zgodną z pragnieniami społeczeństwa. I potrafić wcielać ją w życie. Reagan odnosił tu wielkie sukcesy, naprawdę zrealizował to, co zapowiedział. [...] Obecna władza, jak się zdaje, bardzo wiele po prostu nie rozumie.

eprasa.pl 9137619b50

Gdy prezydent wprowadzał, po katastrofie ekologicznej, sześciomiesięczne moratorium na wiercenia, wydawało mu się, iż platformy wiertnicze są na stałe zamocowane w Zatoce Meksykańskiej. Jedna z nich, za cenę tysięcy miejsc pracy i milionów wpływów, przeniosła się do Egiptu. A druga tłumaczyła swe działania frazą wręcz niesłychaną: „z uwagi na brak stabilności politycznej w Ameryce przenosimy się do Kongo, by wiercić w wodach Afryki".

[...] Waszyngton jest dysfunkcjonalny? Nie musi być. L. Johnson upadł przez jednoczesną wojnę w Wietnamie, rewoltę kontrkulturową, inflację. Okres Nixona, Forda, Cartera wydawał się potwierdzać, że prezydent nie może działać efektywnie. Przyszedł Reagan i w 16 dni zmienił tę percepcję.

Ale to wymaga bardzo zdecydowanego lidera. I prezydenta, którego poglądy, cele są zgodne z tym, czego pragnie społeczeństwo. Jeśli prezydent chce skierować kraj w kierunku, którego nie pragnie większość, wtedy system przestaje dobrze funkcjonować..

Recepta na katastrofę

[...] Obama wyraźnie stracił ogólne poparcie mniej więcej w sierpniu ubiegłego roku. I po prostu to zignorował. Wszystkie sondaże wskazywały, że większość Amerykanów nie chce „reformy zdrowia" jego typu – mimo to wręcz „na siłę" ją przeforsowano. Przeforsowano ustawę o „stimulusie", mimo iż żaden z ustawodawców jej nie przeczytał. Próbują przeforsować „ustawę energetyczną" – w Kongresie dokonano tego w nocy, nikt nie znał szczegółów, utknęła na razie w Senacie, ale przecież nie dlatego, że nie chce jej większość Amerykanów. Obserwuję pierwszy raz w życiu zupełne nieprzejmowanie się zdaniem obywateli. To prawdopodobnie recepta na katastrofę.

[...] Widać diametralne różnice w porównaniu z 1994 r., gdy zostałem spikerem Kongresu. Obecna administracja jest o wiele bardziej radykalna od tej Clintona, sytuacja ekonomiczna o wiele gorsza, „job killing policy" obecnego rządu jest bezprecedensowe.

Mimo że długo prezydent Clinton był przeciwny, zbalansowaliśmy budżet, zreformowaliśmy system welfare. Bo 45 dni negocjowaliśmy twarzą w twarz. W końcu połowa demokratów w Kongresie nas poparła. Dlatego że większość Amerykanów była podobnego zdania, co my [to wtedy pragmatyczny w końcu Clinton powiedział: „era wielkiego rządu skończyła się" – J.K.].

[...] Reagan rozumiał, czego Ameryka potrzebuje dla sukcesu, wiedział, jak to przekazać obywatelom, by ich przekonać (jeśli nie byli w pełni zdecydowani), a oni wpływali na Kongres.

Reagan nie mając kongresowej większości, był bardzo cierpliwy. Ponawiał swe próby, aż stopniowo duża część demokratów poparła nasze plany. Bo nacisk z ich okręgów wyborczych był zbyt duży.

W przypadku Obamy im bardziej ludzie orientują się w jego ustawach i projektach, tym bardziej są nim przeciw. Obama skierował do sądu postanowienia Arizony [w sprawie nielegalnych tzw. imigrantów – J.K.] – 63 proc. obywateli jest za Arizoną. 61 proc. chce odrzucenia Obamy „reformy służby zdrowia". A on zupełnie na to nie zważa. Stąd jego obecne problemy.

Ludzi trzeba słuchać

Jak ograniczyć dług USA [14 trylionów – J.K.]? Czy można to uczynić bez podwyższania podatków? Kiedyś zbalansowaliśmy budżet amerykański przez cztery kolejne lata [gdy Gingrich był spikerem Izby – J.K.], pierwszy raz od lat 20. Recepta jest prosta: przestać szafować pieniędzmi. [...] Gdy byłem spikerem, średni roczny wzrost wydatków (razem ze świadczeniami) wyniósł 2,9 proc. Był to najmniejszy wzrost od prezydentury Coolidge'a w latach 20. [...] Jeśliby się zapytało Amerykanów, czy wolą mniejsze podatki i mniejszy rząd, czy wyższe podatki i więcej rządu, podejrzewam, że w stosunku 80:15 opowiedzieliby się za tym pierwszym.

Jedyną rzeczą, którą zawdzięczamy Obamie, było zmuszenie nas do zastanowienia się nad tym, kim jesteśmy. Zapowiadał „zmianę, w którą możecie uwierzyć", okazał się tym, który chce zmienić to, w co wierzymy.

[...] Prezydent Obama chce, by rząd i politycy redystrybuowali bogactwo, ja chcę, by tworzący bogactwo narodu ludzie zachowali jak najwięcej pieniędzy, na które ciężko zapracowali. On chce jak najpotężniejszego rządu, jak największej biurokracji, scentralizowania władzy, ja chcę przywrócić prerogatywy stanom i lokalnym społecznościom. [X poprawka do konstytucji USA głosi, że uprawnienia, które nie są przewidziane dla rządu federalnego, są zarezerwowane dla stanów i obywateli - J.K.]. Przede wszystkim tym ostatnim, nie stolicom stanowym. [...] Mamy więc i będziemy mieli w 2012 r. wyraźny wybór. Potrzebna jest otwarta dyskusja, wysłuchiwanie zdania, pragnień jak najwięcej, jak najbardziej różnych Amerykanów. Prawdziwej debaty o podstawowych sprawach. Mam nadzieję, że osiągnąwszy sukces, do tego doprowadzimy. Już teraz czytam kilkaset e-maili dziennie. A spotkań z obywatelami nie mogę zliczyć. Trzeba słuchać ludzi. To jest nauka. Bez tego nie można odgrywać roli „nauczyciela". ■

eprasa.pl 9137619b50

Dla kogo świecą gwiazdy Ameryki

Wybory wygrać musiała Hillary Clinton, tymczasem stało się inaczej. Czy celebryci, wraz z nieznanymi światu zwykłymi wyborcami kandydatki demokratów, spełnią swoje zapowiedzi i wyemigrują do Kanady? Polski przykład pokazuje, że raczej pozostaną na miejscu, by bronić demokracji przed Amerykanami.

Krzysztof Karnkowski

fot. KEVIN DIETSCH/PAP/Newscom

Liberalne (w znaczeniu amerykańskim, coraz częściej dominującym w wymiarze ogólnoświatowym), a więc *de facto* lewicowe nastawienie większości amerykańskich elit to fakt na tyle dobrze znany co najmniej od sponsorowanej przez Sowietów rewolty 1968 r., że listy wybitnych postaci tamtejszej kultury, popierających republikanów, czytamy jak materiały sensacyjne, wiadomości zakazane. Ikoną już nie tylko popkultury, lecz także konserwatyzmu stał się Clint Eastwood. Jako wzór i ewenement pokazywany był Mel Gibson, który pogubił się później w życiu prywatnym, by wrócić jednak z mocnym, silnie akcentującym kwestie wiary i wierności zasadom filmem „Przełęcz ocalonych". W prasowych publikacjach pojawiały się też inne nazwiska, czasem wręcz było ich na tyle dużo, by podać w wątpliwość tezę o jednoznacznej dominacji demokratów. Poza wspomnianymi już Eastwoodem i Gibsonem, w podobnych sytuacjach często przywołuje się kilku silnych facetów amerykańskiego kina: Sylwestra Stallone, Arnolda Schwarzeneggera (któremu jednak, jako republikańskiemu gubernatorowi Kalifornii, zdarzały się i niezbyt konserwatywne decyzje) czy wreszcie (tak!) Chucka Norrisa. Obamę krytykowała Angelina Jolie, podobnie zresztą jak jej ojciec John Voight. „[...] jest komunistą, a ja nienawidzę komunizmu. Wszyscy wiedzą, że to komuch, nie ma co pieprzyć, że jest inaczej" – mówił w 2009 r. w rozmowie z polskim „Teraz Rockiem" Jesse Hughes, muzyk zespołu Eagles of Death Metal, o którym kilka lat później głośno poza światem muzyki stało się z powodu zamachu na ich paryskim koncercie.

eprasa.pl 9137619b50

Przygasły de Niro woli Hillary

Jednak we wszystkich artykułach o Hollywood jak refren powraca informacja o ukrywaniu poglądów przez artystów i faworyzowaniu przez wpływowych producentów ich bardziej lewicowych kolegów i produkcji pozbawionych treści konserwatywnych, patriotycznych czy chrześcijańskich – nawet jeśli oznacza to rezygnacje z zysków, gdyż takie filmy oglądane są dość chętnie. O przewadze sympatyków lewicy wśród muzyków również napisano bardzo wiele i wyjątki takie, jak przywołany powyżej, też niewiele w ogólnym krajobrazie zmieniają. Tak więc Clinton mocno poparł przygasły Robert de Niro z jednej, a dawna gwiazda Disneya, dziś zmieniona w półpornograficzny produkt Miley Cyrus z drugiej, każde z nich zaś było tylko częścią wielkich grup szturmowych aktorów i piosenkarzy, gotowych bić się za Hillary.

Znamy to wszystko z polskiego podwórka. W latach 90. nie dziwili popierający postkomunistów artyści, którzy największe sukcesy odnosili jeszcze w czasach PRL. Później od piosenkarzy czy aktorów zaroiło się wokół Platformy Obywatelskiej, która w 2007 r. swoją ofertę, kierowaną do mniej ambitnych wyborców, wzmacniała nazwiskami celebrytów. Podobnie było w kolejnych wyborach parlamentarnych, a po drodze – prezydenckich. Niewiele osób znanych z plotkarskich magazynów decydowało się oddać głos na Jarosława Kaczyńskiego i podzielić się tym z dziennikarzami. Poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości ze strony Jerzego Zelnika czy Katarzyny Łaniewskiej nie przysporzyło im sympatii ze strony kolegów i koleżanek po fachu. Wystarczy zresztą spojrzeć na reakcje (również zawodowe) na „Smoleńsk", zaś patrząc w trochę dalszą przeszłość, przypomnieć sobie, jak z dnia na dzień zakończyła się kariera Ewy Stankiewicz jako reżyserki fabularnego „Nie opuszczaj mnie". A histeryczne reakcje na wygraną, wcześniej zaś tylko możliwość wygranej Prawa i Sprawiedliwości? Zapowiedzi emigracji w przypadku niewłaściwego wyboru Polaków (najzabawniejsze, gdy formułowane przez i tak tworzącą za granicą Agnieszkę Holland, lecz również Katarzynę, córkę premier Kopacz, deklarującą wyjazd do Kanady)? Przekraczająca granicę obsesji niechęć do Kościoła lub tylko do jego „zaściankowej" polskiej wersji? Tłumaczenie wyborczej decyzji biedą, zacofaniem, brakami w wykształceniu, „gorszym" pochodzeniem społecznym?

„Trumpa wybrali sfrustrowani, biali, biedni, niewykształceni, często bezrobotni, rasiści, z prowincji, czyli amerykańscy Kiepscy. Coś to przypomina?" – pyta prof. Joanna Senyszyn. Ano właśnie. Pomińmy może kwestię koloru skóry, w Polsce trudno bowiem o wyborców, którzy nie byliby biali. Rasiści? Zamiast oskarżać o rasizm, zawieśmy w powietrzu oskarżenie o antysemityzm, obowiązkowo wyssany z mlekiem matki. Reszta już bez zmian – od lat media tak właśnie opisują wyborców prawicy w Polsce, dodając jeszcze, coraz bardziej wbrew faktom, czynnik wieku. Jeśli więc do Trumpa, na podstawie jego przedwyborczych wypowiedzi, większość polskiej sceny politycznej podchodziła nieufnie lub przynajmniej niepewnie, z obawą o prorosyjskość i nieprzewidywalność, przedwyborcza nagonka i powyborcza histeria zjednały nowemu prezydentowi USA sporą sympatię polskiej prawicy.

Wszystkie dzieci iluminatów

Wróćmy do Stanów. Od wielu lat, zwłaszcza zaś, odkąd mamy szeroki dostęp do internetu nie tylko jako źródła, lecz także nadajnika informacji, wiele osób zajmuje się śledzeniem rozmaitych spisków. Najlepiej jeśli tłumaczą one kwestie panowania nad światem jednych czy zawrotne kariery drugich, na ogół zresztą na służbie u tych pierwszych. Oczywiście możemy pójść tropem rozmaitych jaszczurów z kosmosu, jednak hasło „masoneria" nie będzie już tak wielką egzotyką, zwłaszcza dla prawicowego czytelnika. O jej wpły-

eprasa.pl 9137619b50

wach w Stanach, już po wygranej Trumpa, na antenie TVP barwnie opowiadał Wojciech Cejrowski. Iluminaci kontrolujący przemysł rozrywkowy? Czemu nie. Informacje o związkach gwiazd z różnymi siłami działającymi w ukryciu i mniej lub bardziej demonicznymi znajdziemy zarówno w dziesiątkach filmików na YouTube, jak i w katolickiej prasie, ostrzegającej czytelników przed duchowymi zagrożeniami. Oczywiście pozostaje kwestia selekcji informacji, tu zaś każdy z nas będzie miał swój indywidualny próg. Ktoś zobaczy napis „sex" w każdej fałdzie materiału w filmach Disneya, ktoś znajdzie szemraną symbolikę w na pozór niewinnym teledysku, a ktoś po prostu uważnie wczyta się w teksty. Podejrzanie dużo w nich deszczu, parasoli i tajemniczego Rain Mana, obsypującego naszych artystów (a może tylko ofiary przemysłu muzycznego) deszczem pieniędzy i dóbr wszelakich. Ci zaś mówią lub śpiewają o sprzedaniu duszy, pozostaje tylko kwestia, czy to przenośnia, czy wręcz przeciwnie – przyznanie się. Czy chodzi tylko o artystyczny kompromis i oddanie się w ręce chciwych producentów, czy o coś więcej, zaprzedanie duszy diabłu, potraktowanemu już zupełnie dosłownie? Przystąpienie do jakiejś tajemniczej elity, która w ramach demonstracji siły przemyca coraz bezczelniej swoją symbolikę w tekstach i teledyskach? To temat na inną opowieść, tu warto jednak zauważyć, że praktycznie wszyscy najbardziej znani artyści ze sceny muzycznej, którzy poparli Hillary Clinton, często przewijają się w tego typu rozważaniach.

Jay-Z, Beyonce, Lady Gaga – bardzo lubią symbolikę jednego, wszechwidzącego oka. Gra z odbiorcą, podpuszczanie poszukiwaczy sensacji? W tekstach i teledyskach każdy znajdzie to, czego będzie szukał, łącznie z rozpaczliwym poszukiwaniem pomocy osoby zniewolonej u pierwszego artysty, który oczywiście zaprzecza przynależności do Iluminatów. Beyonce przedstawia się jako wierząca, jednak swoje piosenki ilustruje coraz ciemniejszymi barwami, a by znaleźć tam tak chętnie przytaczaną jako dowód upadku świata pochwałę bardzo swobodnej seksualności, nie trzeba już niczego szukać na siłę, wystarczy włączyć telewizor. Lady Gaga o wiele wyraźniej łączyła elementy nieprzyjemnego erotyzmu z mocno podejrzanym przekazem duchowym czy raczej antyduchowym. Wszystkie te osoby brały udział w kampanii Clinton, deklarowały swoje poparcie dla kandydatki demokratów podczas wieców i koncertów. Obrazu dopełniła mocno już przeterminowana, lecz wciąż chcąca zwrócić na siebie uwagę piosenkarka Madonna, oferująca seks oralny za głosowanie na byłą pierwszą damę. Nie wiemy, czy to żart, czy poważna propozycja, jednak samo pojawienie się podobnej wypowiedzi na obrzeżach polityki pokazuje skalę upadku tego towarzystwa.

Dla sprawiedliwości wspomnijmy, że znalazła się też młodsza, obdarzona orientalną urodą konkurentka – gwiazdka porno, która postanowiła w podobny sposób wesprzeć Trumpa. To jednak chyba jedyna tego typu deklaracja po drugiej, z zasady bardziej konserwatywnej, stronie. Jeśli jednak poszukać i wśród mniej licznych gwiazd, które poparły republikanina, znajdziemy przedstawicieli młodszego pokolenia, których albo oskarża się o konszachty z iluminatami (jak raper Kayne West, który co prawda nie głosował, ale po wyborach wypowiadał się o nim dobrze), albo mają, co najwyraźniej obowiązkowe, przesycone erotyzmem i niepokojącą symboliką teledyski (Azealia Banks). Najwyraźniej na pewnym poziomie obecności w przemyśle muzycznym Ameryki to chyba, *nomen omen*, zło konieczne, co potwierdzałoby spiskowe teorie nawiedzonych poszukiwaczy. Tyle że sam Trump nagrywa ciepłe przesłanie dla amerykańskich polityków i o ile w miarę postępów kampanii coraz bardziej pozycjonuje się jako sympatyk idei pro-life, o tyle Clinton mocno wspiera aborcję, nie znajduje w sobie zbyt wiele dobrych słów dla chrześcijan, za to w jej najbliższym otoczeniu funkcjonuje osoba oskarżana o praktyki okultystyczne – jej szef kampanii.

Clooney na rozdrożu

Aktorzy jawią się w tej zbieraninie jako grupa najspokojniejsza. O przechyle lewicowym wewnątrz niej wspomniałem na początku tekstu, chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewną zaskakującą konsekwencję tego stanu rzeczy. Świat republikanów jest dla części z nich tak obcy i niepojęty, że choć w komediowych serialach prawie wszystkie sympatyczne postacie to demokraci, to chcąc pokazać brud i cynizm polityki, prezentują go na przykładzie jedynej zrozumiałej dla siebie siły. Demokratą jest więc demoniczny Frank Underwood ze słynnego serialu „House of Cards", antybohater, który dla zdobycia i utrzymania władzy nie cofnie się przed niczym, równocześnie w nic nie wierząc i nikogo nie kochając. W otoczeniu demokratycznego kandydata na prezydenta rozgrywa się akcja „Id marcowych" Clooneya, bardzo mocno zaangażowanego w kampanię Hillary Clinton. Tymczasem jego demokratyczny bohater ma na sumieniu wykorzystanie stażystki, w konsekwencji zaś dokonanie przez nią aborcji, następnie zaś samobójstwa. Działacze demokratów z „House of Cards" czy „Id marcowych" nie są godni zaufania, od władzy zaś należałoby ich trzymać jak najdalej. Czy to znaczy, że dla Clooneya republikanie są wartą rozważenia alternatywą? Nie. Taki amerykański paradoks.

Wybory wygrać musiała Hillary Clinton, tymczasem stało się inaczej. Jednak celebryci raczej nie spełnią swoich zapowiedzi i nie wyemigrują do Kanady. Pozostaną na miejscu, by bronić demokracji przed Amerykanami. Przy okazji zaś karmiąc ich nadal politycznie poprawną propagandą, wulgarną erotyką teledysków i niepokojącą symboliką. ■

eprasa.pl 9137619b50

Małgorzata Matuszak

Kim jest... człowiek

Pytanie o to, kim jest człowiek, należy do najważniejszych pytań filozoficznych, a jego dzieje są w zasadzie tak długie, jak samej filozofii. I nie tylko jej. Pyta o człowieka wiele nauk szczegółowych, formułując wiele definicji, zarówno nawzajem się uzupełniających, jak i wykluczających się, z których każda zawiera jakąś cząstkę prawdy o człowieka, żadna jednak nie jest w stanie udzielić takiej, która istotę bycia człowiekiem by wyczerpywała. Odpowiedź na pytanie „kim jest człowiek?" pozostaje zatem wciąż otwarta. Człowiek jest zawsze kimś więcej niż tym, co o sobie wie. Jest i pozostanie dla siebie tajemnicą. Jednak to zapytywanie o siebie właśnie zdaje się charakteryzować człowieka najlepiej – pytanie o to, kim jest, potrafi zadać tylko człowiek, jedynie on zdolny jest zwracać się ku sobie w autorefleksji. Nie poprzestaje tylko na dociekaniu i konstatacji faktu swego istnienia, lecz docieka także, kim jest ten, który o swoje istnienie pyta.

Potrafi człowiek być istotą wspaniałą i darzącą, dobrą i twórczą, bywa też niszczycielską i złą, chciwą i zawziętą. W „Antygonie" Sofoklesa pada zaś taka definicja człowieka: człowiek jest istotą niesamowitą. A dokładniej: jest najbardziej niesamowity ze wszystkich niesamowitości świata. Bo chociaż „wiele jest dziwów", to spośród nich wszystkich najdziwniejszy jest człowiek. Dlaczego? Gdyż to, co wytworzył, to, co uznał za swe największe osiągnięcie, i co istotnie wyraża jego wielkość, zwraca często przeciwko samemu sobie.

Słowo „deinon" jest w grece niepokojąco, „niesamowicie" dwuznaczne. Z jednej strony – oznacza bowiem coś niesamowitego, z drugiej – coś przerażającego. Słychać w nim władzę, potęgę, przemaganie się, przemoc, gwałtowność. Nie chodzi w tym miejscu o zdolność do wyzwalania jakichś stanów uczuciowych, wzbudzania stanu niepokoju, lecz o wyrażenie samej istoty bycia człowiekiem, o to, co w nim przemożne – o to, co może być jego powodem do dumy, ale też może wytrącić go z poczucia swojskości względem samego siebie. Istotnie, jak pisał Arystoteles, obdarzony zdolnością świadomego i celowego działania i cnotą uzdalniającą do mężnej walki z przeciwnościami, gotów być człowiek najzacniejszą z istot żywych, jeśli w doskonały sposób rozwinie swe możliwości; lecz może być i najlichszą, kiedy pogwałci dary natury, kiedy, wykorzystując swe umysłowe „uzbrojenie" do niecnych celów, wyłamie się spod prawa i sprawiedliwości. Dzisiaj, gdy jesteśmy świadkami wszystkich okrucieństw, których doświadczają ludzie, gdy pamiętamy dramaty XX wieku, kiedy widzimy, jak przeciwko człowiekowi zwraca się to, co sam wytworzył, jak sam degraduje i obraca w niwecz osiągnięcia, z których był tak dumny, pytanie o to, kim jest człowiek, stało się jeszcze bardziej palące i trudniejsze.

W grudniu, gdy przeżywamy tajemnicę wcielenia i narodzin Jezusa, pytanie o człowieka i jego człowieczeństwo nabiera szczególnego znaczenia. Kim bowiem jest człowiek, że stał się nim Bóg? Że Nieskończony przyjął jego granice, stał się człowiekiem, by z nim współradować się i współcierpieć? By go zbawić? Powołani jesteśmy do świętości, do tego, by czynić dobro, i tego, co dobre, chronienia i czynienia zwycięskim. W czasach, w których tak często Boże Narodzenie obchodzi się bez Bożego Narodzenia, łatwo o tym zapomnieć. Nie zrozumiemy tego, kim jesteśmy, bez Boga. ■

W grudniu, gdy przeżywamy tajemnicę wcielenia i narodzin Jezusa, pytanie o człowieka i jego człowieczeństwo nabiera szczególnego znaczenia. Kim bowiem jest człowiek, że stał się nim Bóg?

eprasa.pl 9137619b50

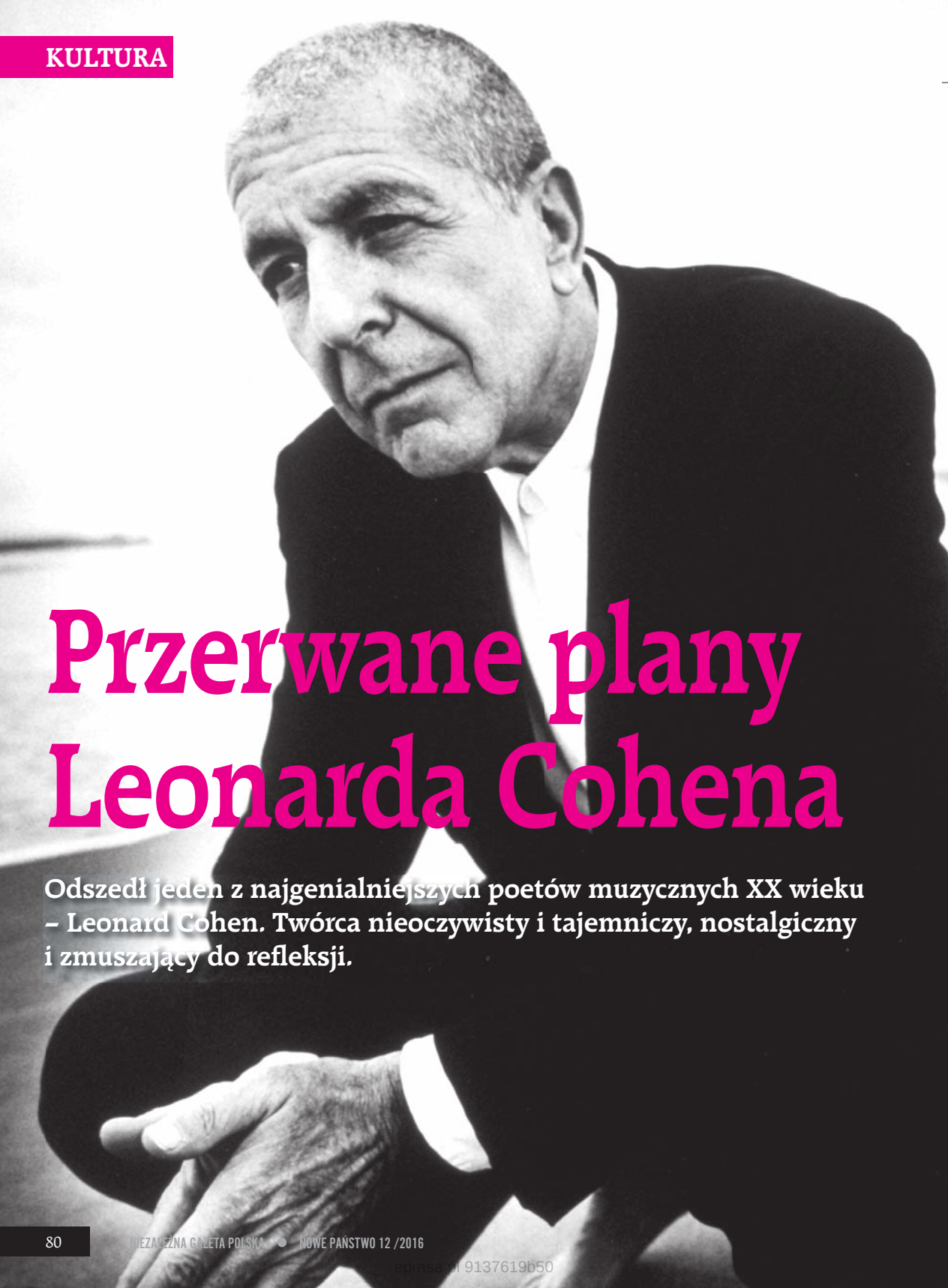

Przerwane plany Leonarda Cohena

Odszedł jeden z najgenialniejszych poetów muzycznych XX wieku – Leonard Cohen. Twórca nieoczywisty i tajemniczy, nostalgiczny i zmuszający do refleksji.

epraso.pl 9137619b50

Jakub Kozłowski

Leonard Cohen umarł w roku wydania swojej ostatniej i chyba najdojrzalszej płyty. Album „You Want it Darker" w równej mierze zachwycił oddanych fanów, jak i przedstawicieli mediów. Zresztą ci ostatni zawsze podchodzili z niebywałą estymą do Cohena. Na potwierdzenie warto przywołać zorganizowane kilka miesięcy przed śmiercią spotkanie muzyka w Ambasadzie Kanady w Los Angeles z wybranymi dziennikarzami z całego świata. W momencie gdy Cohen otworzył drzwi, by wejść na salę, wszyscy uczestnicy powstali. Ten przejaw szacunku tak bardzo go wzruszył, że kończąc konferencję, powiedział znacząco: „Dziękuję, przyjaciele, za przybycie, bardzo to doceniam. I doceniam również to, że wszyscy powstaliście, kiedy przyszedłem. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie, ponieważ mam zamiar kręcić się w pobliżu, aż skończę 120 lat". Niestety, los zadecydował inaczej.

Rodzinne więzi

Wyjątkowość nowego albumu wynika m.in. z bliskiej współpracy między Leonardem a Adamem Cohenem, synem artysty, który podjął się trudu produkcji płyty. Adam Cohen w przepełniony szacunkiem sposób tak opowiadał o wspólnej pracy: „Rozmawiałem ze swoją żoną wcześniej tego popołudnia i ona powiedziała: »W pewnym sensie wydaje się, że całe twoje życie prowadziło do osiągnięcia gotowości, aby móc pracować nad tą płytą«. Wiedziałem, że miała na myśli nie moją solową, tak zwaną, karierę, ale czasy, kiedy jako sześcio-, siedmiolatek stałem z boku sceny, oglądając występy mojego ojca. Jednak bardziej niż o cokolwiek innego chodzi o uprzywilejowany punkt obserwacyjny [...]. Mam na myśli możliwość słuchania jego [Leonarda – przyp. aut.] muzycznych dzieł poprzez te wszystkie lata. Poprzez niekończące się dekady naznaczone sukcesem, kiedy to wypełniał swoje albumy transcendentalnymi wartościami, a my, gdzieś na uboczu, podziwialiśmy jego pracę, udając, że potrafimy mu dorównać". Leonard, nawiązując do osobistego tonu wypowiedzi syna, zaznaczył, że za jeden z najważniejszych sukcesów swojego życia uznaje ciepłe, chociaż nie przesadnie bliskie relacje rodzinne. Współpraca z Adamem miała również wymiar bardziej psychologiczny: lata wspólnego życia wytworzyły między twórcami nierozerwalną więź i zrozumienie pozwalające bezbłędnie określić, w jakim kierunku płyta powinna zmierzać. Adam Cohen: „Właśnie to stanowiło moją główną, a być może jedyną przewagę. Nie licząc cierpliwości, jaką ojciec okazywał mi przy wielu okazjach, gdy w sposób niezwykle drobiazgowy podchodziłem do muzyki".

Jak to możliwe, że przez tyle lat spędzonych na scenie, w wieku 82 lat Cohen potrafił utrzymać tak wysoki poziom swoich kompozycji? Pytany o to Leonard, sam nie potrafił jasno określić źródła swojej muzycznej siły: „Nie wiem. Myślę, że każdy solista – o czym Bob Dylan mógłby pewnie powiedzieć o wiele więcej niż ja – pisze zawsze utwory najlepsze, na jakie go stać. Więc jeżeli masz odrobinę szczęścia, to możesz utrzymać swoje artystyczne siły w dobrej formie przez wiele lat. Jeżeli masz szczęście, to wówczas twoje własne intencje mają tu niewielkie znaczenie. Możesz utrzymywać swój artystyczny mechanizm w jak najlepszym stanie technicznym, ale to, czy będzie ci on służył przez wiele lat, czy szybko przestanie działać, tak naprawdę nie zależy od ciebie".

System, który działa

Brak jasnego wyjaśnienia, skąd biorą się pokłady artystycznych inspiracji Cohena, nie przeszkadzał mu w nagrywaniu genialnych płyt, jak „Songs of Love and Hate" czy „I'm Your Man". Leonard Cohen zwykł mówić: „Gdybym wiedział, skąd biorą się dobre piosenki, to częściej bym tam zaglądał". Na wspomnianym spotkaniu w ambasadzie Kanady wskazał równocześnie, że w jego przypadku każde słowo, każda linia i zwrotka utworu rodzą się w bólach: „Muszę oczyszczać swoje otoczenie, żyć w porządku i w zgodzie z naturą. Gdyby bowiem moje otoczenie było równie zaśmiecone co mój umysł, nie mógłbym przejść z pokoju do pokoju. Każdy z pisarzy ma swój magiczny system, który dla niego spełnia swoją rolę, który pozwala otworzyć kanały artystycznego natchnienia. Mój system jest dla mnie odpowiedni, chociaż muszę pochylić się nad każdym słowem. Jednym pisanie przychodzi szybko, innym zdecydowanie wolniej".

A jednak o ile proces artystyczny Leonarda Cohena być może przebiegał w bólach, o tyle efekt jego prac zawsze zadziwiał lekkością rymów, pięknem skojarzeń i głębią przekazywanych treści. Ta przenikliwość twórczości Cohena, dźwięki towarzyszące słowom mistrza, wzmocnione jego głębokim, intensywnym głosem, decydowały o niezwykłości artysty. Artysty, który nie tylko stał się inspiracją dla kolejnych pokoleń twórców, lecz także którego dorobek pozostanie dla nas muzyczną ucztą. ■

fot. Marcel Hartmann / Reina UK/ PAP

cprasa.pl 913/619b56

Stefan Czerniecki
Czerniecki.net

Z jednej rewolucji w drugą

Statua Wolności w teherańskiej wersji propagandowej

eprasa.pl 913

Większość z jeżdżących tu aut swoje przeglądy techniczne przechodziła w zeszłym stuleciu. Przy cenach za ropę, jakie obowiązują w Iranie (równowartość około 40 groszy za litr benzyny dla taksówkarzy i około 70 groszy dla pozostałych kierowców) nie potrzeba już wiele, aby kolejne miliony silników ruszyły w trasę. W Teheranie naprawdę ciężko oddychać.

Na pierwszy rzut oka naprawdę trudno zorientować się, czy ona się uśmiecha. Czy czasem jej zęby nie układają się w złowieszczy kształt? A może ona po prostu taka jest? Może tak właśnie wedle wyobraźni rysownika wygląda śmierć? Z wychudzoną twarzą, głębokimi oczodołami, pustym, nic niemówiącym wzrokiem. Ta tutaj przybiera w dodatku znaną postać smukłej, dostojnej kobiety trzymającej w garści znicz. Z tym, że jej wersja z teherańskiego muralu go nie dzierży. Nie trzyma także tablicy. Dlatego, choć czuje się nawiązanie do Statui Wolności, symbolu Stanów Zjednoczonych, to i tak widać przede wszystkim kościstą twarz śmierci.

▶ Młodzi bezrobotni

Jest rok 1978. Teheran. Ulica Taleqani. Długi, ciągnący się kilkaset metrów mur. Otacza jeden z ważniejszych budynków miasta. To teren ambasady. Ambasady przyjaciela. Dla władającego obecnie Iranem szacha Mohammada Rezy Pahlawiego to ważne miejsce. Tutaj pracują urzędnicy jego najwierniejszego sojusznika. Stanów Zjednoczonych.

Po ulicach maszerują kobiety z odsłoniętymi twarzami. Te same, którym nie tak dawno przyznano w ramach tzw. białej rewolucji prawa wyborcze. W szkołach rozkwita edukacja, obejmując kolejne kręgi. Uczą się i biedni, i bogaci. Kobiety i mężczyźni. Nawet społeczne niezadowolenie rolniczej klasy wielkich posiadaczy ziemskich z racji likwidacji ich uprzywilejowanej pozycji nie jest w tej chwili jakoś specjalnie odczuwalne. Prawdopodobnie wszystko przez fakt, iż zarazem kilka milionów chłopów po raz pierwszy otrzymało możliwość wykupienia użytkowanej przez nich ziemi na własność. Oni są głośniejsi. Ich jest więcej. A przecież po ostatnich dekretach są naprawdę zadowoleni. Przyszły potężne zmiany. Idą kolejne. I to naprawdę diametralne.

Na ulice stolicy Iranu wyjeżdżają codziennie 4 mln samochodów

To wszystko efekt odwilży. Liberalnych społecznych zmian zarządzonych przez samego Mohammada Pahlawiego. Tych samych, które z czasem zaczynają przybierać coraz bardziej szare barwy. Pierwotny entuzjazm Irańczyków powoli zaczyna przygasać. Budzi się islam. Wprowadzone reformy postrzegane są przez imamów jako godzące w tradycje ich religii. Co gorsza, poparcie szacha Pahlawiego jest coraz wątlejsze także wśród młodych ludzi. Objęcie tak wielkich społecznych mas powszechną edukacją przynosi zupełnie niespodziewane skutki. Według danych urzędów, poziom bezrobocia wśród absolwentów szkół średnich jest obecnie wyższy niż wśród analfabetów. Coś poszło nie tak. Coś w reformach

eprasa.pl 9137619b50

się nie powiodło. Czego zabrało? Doradcom Pahlawiego zaczyna brakować czasu, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie. Chcieli dobrze.

Tymczasem wykształcona bezrobotna młodzież staje się idealnym zapalnikiem dla planujących przewrót przeciwko rządzącemu twardą ręką szachowi. Za kilka miesięcy wybuchnie irańska rewolucja islamska. I to właśnie ci młodzi ludzie wezmą udział w jej najważniejszej operacji.

Zmiana

Jest styczeń 1979 r. Szach Mohammad Pahlawi zostaje obalony. Ponury nastrój rewolucji islamskiej narasta. Zdetronizowany władca musi ratować się ucieczką z kraju. W ciągu kilku dni teherańska ulica zaczyna zbiorowe zamiatanie pamięci po minionym monarsze. Ludzie demontują pomniki poprzedniego władcy. W antyrządowych protestach uczestniczą miliony ludzi. 5 lutego 1979 r. do kraju z piętnastoletniego wygnania wraca ajatollah Ruhollah Chomeini. Jest inteligentny i znakomicie zorientowany w zastanej sytuacji. Doskonale wie, co powiedzieć tłumowi. Proklamuje powstanie pierwszego rządu islamskiego. Przywraca koncepcję demokracji religijnej. Na ulice Teheranu wprowadzone zostaje prawo szariatu. Kobietom na nowo nakazuje się zasłanianie twarzy.

Przebywający na obczyźnie Pahlawi zapada tymczasem na chorobę. Udaje się do Nowego Jorku, by tam poddać się operacji. Pojawiają się komplikacje. Jego pobyt w szpitalu przedłuża się. Amerykanie nie kwapią się z oddaniem władcy jego byłym poddanym. Mimo że ci stanowczo się tego domagają. Chcą go osądzić.

Wreszcie przychodzi 4 listopada 1979 r. Kilkuset studentów rozpoczyna marsz chodnikami Teheranu. Idą na wspomnianą już ulicę Taleqani. Pod opisany już długi mur. Pracownicy amerykańskiej ambasady są zdezorientowani. Nie tego się spodziewali.

Studentom udaje się sforsować ogrodzenie i wedrzeć do środka. Pracowników budynku biorą jako zakładników. Za trzy tygodnie uwolnią 13 spośród nich: kobiety i afroamerykańską mniejszość. Resztę przetrzymują dalej. Ich uwolnienie warunkują ekstradycją szacha Pahlawiego ze Stanów Zjednoczonych. Nadal chcą go osądzić. Tutaj, u nich w kraju. I coś jeszcze: chcą go osądzić sami. Bez udziału sił zewnętrznych.

Z czasem eskalują kolejne żądania. Chcą, by przyjazny poprzedniej władzy rząd USA przyznał się do błędu i oficjalnie przeprosił za wspieranie reżimu Pahlawiego. Amerykanie nie chcą rozmawiać. Okupacja ich ambasady musi doprowadzić do zerwania stosunków dyplomatycznych między Teheranem a Waszyngtonem. Już wkrótce Biały Dom wprowadzi

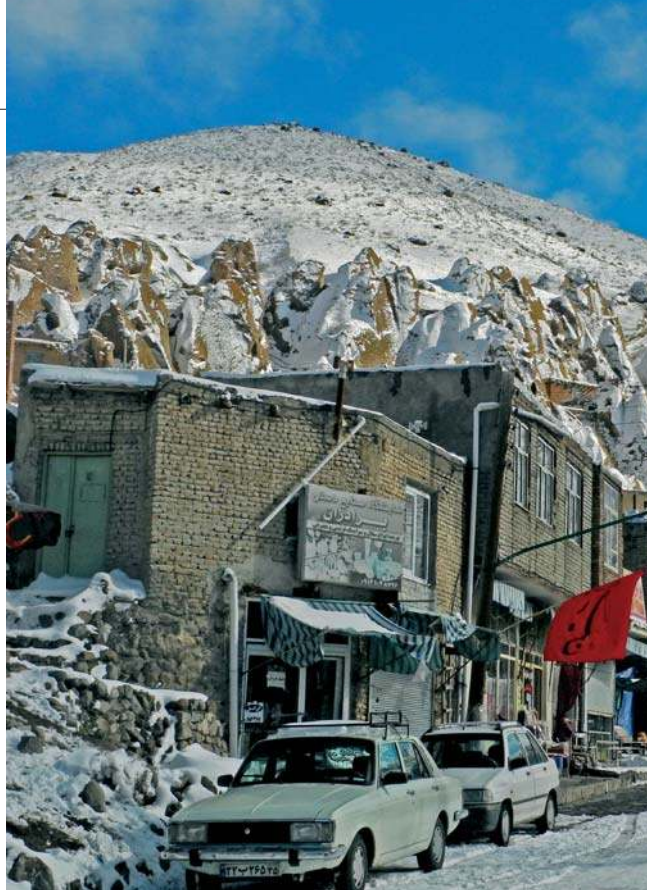

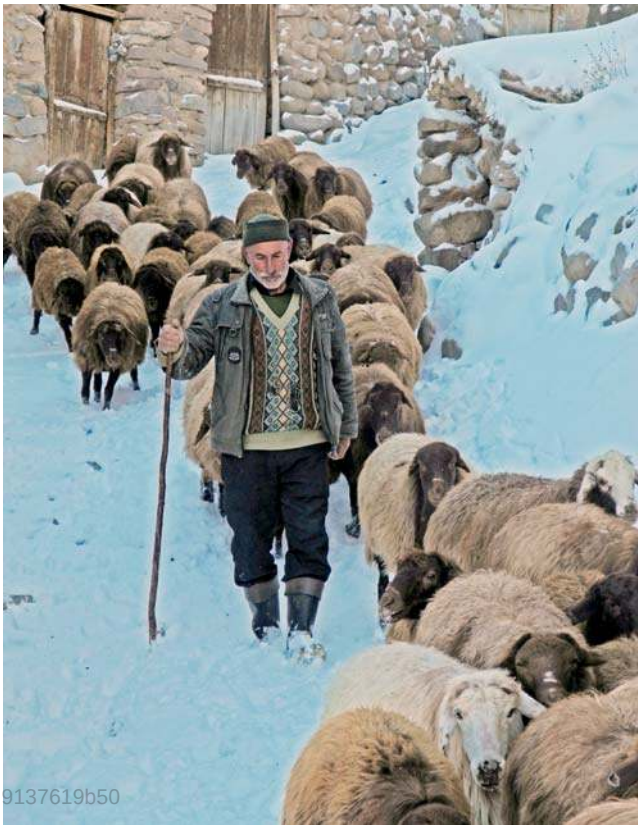

Poranne wyjście na wypas

eprasa.pl 9137619b50

Domki Kandovan przypominają zakryte kapturami głowy mnichów

bolesne dla Iranu embargo importowe na ropę naftową. Zamrozi ponadto irańskie aktywa w amerykańskich bankach.

Przetrzymywani zakładnicy powrócą do ojczyzny dopiero po roku. W międzyczasie zginie ośmiu amerykańskich komandosów biorących udział w akcji odbijania jeńców. Akcji bezskutecznej. Zaczyna się impas. Impas, który *de facto* trwa do dziś. Stany Zjednoczone z wiernego przyjaciela stają się wrogiem publicznym każdego Irańczyka. Następuje koniec pewnej epoki. Zaczyna się nowa.

Ostrzeżenie

Okolica muru ciągnącego się wokół opuszczonej ambasady USA wydaje się dziś wyludniona. Jestem tu sam. To niedobrze. Widać mnie jak na dłoni. A bycie widocznym tuż przy wielkim symbolu zerwania przyjaźni z „państwem zła", jak zwykła nazywać Stany Zjednoczone nowa władza, nie jest najlepszą perspektywą. Przyjechałem tu przecież specjalnie dla tego miejsca. Chcę zrobić mu zdjęcie. Potrzebuję go do tego reportażu.

– Nie radzę... – słyszę spokojny kobiecy głos.

Odwracam głowę, by zobaczyć kobietę w czarnej chuście na głowie.

– Nie polecam robienia tutaj zdjęć... – pani dostrzegła schowany w moich dłoniach niewielki aparat fotograficzny. – Mówię zupełnie poważnie.

– Jest zakaz? – upewniam się. Swoją drogą: zupełnie naiwnie. Dobrze wiem, że jest. O zakazie fotografowania murali można dziś wyczytać w większości przewodników. Wolę jednak strugać idiotę.

– Odwróć się – instruuje mnie szeptem. – Ale powoli. Dyskretnie. Jakbyś patrzył w niebo na coś.

– Rozumiem... – momentalnie poważnieję i odwracam głowę. Po drugiej stronie ulicy Taleqani widać wysoki betonowy blok.

– Widzisz? Mężczyzna w mundurze. Obserwuje cię już od kilku minut. Dlatego właśnie cofnęłam się, aby cię ostrzec.

– To żołnierz?

– Gorzej... To członek formacji Strażników Rewolucji. Nazywamy ich tu Gwardią Rewolucyjną. Powstali po rewolucji islamskiej. Pewnie o niej słyszałeś...

– Tak, tak – potwierdzam kiwając głową. – Dlatego właśnie tu jestem.

– Musisz uważać ze zdjęciami. Gwardziści Rewolucyjni mają za zadanie chronić Iran przed zagrożeniami. Jak to pięknie się u nas mówi: „tymi wewnętrznymi i zewnętrznymi" – w tym momencie jej piękne czarne oczy nieco dłużej mi się przyglądają. Jakby chciały upewnić się, czy wszystko rozumiem. – Gwardia podlega bezpośrednio duchowemu przywódcy Iranu. I co w tym wszystkim najważniejsze: jest mu fanatycznie wierna.

– Dziękuję. Spróbuje uważać – mówię, wskazując na schowany do kieszeni kurtki aparat.

– Ostrzegłam cię. Teraz rób, jak chcesz.

Na szczęście udało mi się już zrobić kilkanaście fotografii.

Idę dalej wzdłuż muralu. Obok opisanej we wstępie Statui Wolności ubranej w turpistyczną szatę są kolejne obrazki. O, na przykład ten. Rewolwer pomalowany w barwy flagi Stanów Zjednoczonych. Symbolu tłumaczyć nie trzeba.

Zdjęcie z flagą

– Hej! Zrobisz mi zdjęcie? – młody wychodzący ze stacji metra teherańczyk macha do mnie ręką.

– Jasne, skoro chcesz – jego propozycja wcale mnie już nie dziwi. Jeżdżę po tym kraju prawie drugi tydzień. Takie reakcje na zdjęcia są tutaj normą. Ludzie pozują, czasem sami wręcz domagają się zdjęcia. Troszkę inaczej niż u amazońskich Indian. Trzeba się przestawić. Z początku było mi z tym ciężko. Teraz z przyjemnością

eprasa.pl 9137619b50

W górskim Kandovan właśnie spadł pierwszy w tym roku śnieg

przystawiam do oka aparat. Często nie pytając nawet o zdanie fotografowanego. Zwykle są uradowani.

– Czekaj, czekaj... – po kilku zdjęciach chłopak zmienia pozycję. – Zrobisz mi zdjęcie tam. Podchodzi pod mural. A dokładnie pod miejsce, gdzie ktoś namalował amerykańską flagę. Oczywiście w jej pejoratywnym ujęciu. Chłopak upewnia się, czy jestem gotowy do zrobienia zdjęcia. Po chwili zaczyna symulować kopanie symbolu Stanów Zjednoczonych. Niezręczna sytuacja. Udaję, że zrobiłem zdjęcie. Po chwili macham mu na pożegnanie. Zerkam raz jeszcze za siebie. Na wskazane wcześniej przez moją dobrodziejkę okno. Pan mundurowy wciąż patrzy. Chyba pora opuścić to miejsce. Nie czuję się tu najlepiej.

W Teheranie, podobnie jak w całym Iranie, jest zakaz prowadzenia działalności dla wielkich firm, zwłaszcza amerykańskich koncernów. Nie znajdziemy zatem na ulicach ani restauracji Mc Donald's, ani KFC. Nie zjemy pizzy w Pizzy Hut, nie napijemy się kawy w Starbucksie. Ale, ale... Nie oznacza to, że na przykład nie znajdziemy restauracji o nazwie „Mash Donald's" z dziwnie nawiązującym w wyglądzie logo do tego ze znanej nam wszystkim sieciówki. Irańczycy umieją liczyć.

Część ze wspomnianych restauracji znajduje się przy ulicy Valiasr. Najdłuższej ulicy całego Bliskiego Wschodu. Dzielącej stolicę Iranu na dwie części: wschodnią i zachodnią. Asfaltowej nitce ciągnącej się na długości 20 kilometrów. Tutaj już nikt nie depcze amerykańskiej flagi. Tutaj kręci się prawdziwy biznes.

▶ 40 groszy za litr

Taki Iran znajdziemy jednak tylko w Teheranie. Pełen betonowych bloków. Przy okazji Iran pozbawiany uroku i jakichkolwiek ciekawych obiektów. Z pędzącymi autami. Z rozgadanymi handlarzami. Ten obraz zniknie już w trzecim pod względem wielkości mieście Isfahan. Tam znajdziemy wielkie bazary. Piękne budynki. A przede wszystkim nieco czystsze powietrze od tego pozostawionego daleko na północy, w 15-milionowym Teheranie.

Ulokowany w kotlinie między górami Teheran od lat zmaga się z problemem hiperwysokiego zanieczyszczenia powietrza. Aglomeracyjny smog jest już tak wielki, że rząd zastanawia się raz po raz nad ustanawianiem dni wolnych od pracy i szkoły. Utrzymujący się nad miastem przez ponad 200 dni w roku smog sprawia, że dostrzeżenie sylwetki tak nieodległego – znajdującego się zaledwie 54 km od granic miasta – szczytu góry Demawend, graniczy z cudem.

Prócz fatalnego ulokowania miasta, wpływ na szarą aurę ma także coś jeszcze... Na ulice Teheranu każdego dnia wyjeżdżają 4 mln pojazdów. Większość z nich przegląd techniczny przechodziła w zeszłym stuleciu. Przy cenach za ropę, jakie obowiązują w Iranie (równowartość około 40 groszy za litr benzyny dla taksówkarzy i około 70 groszy dla pozostałych kierowców) nie potrzeba już wiele, aby kolejne miliony silników ruszyły w trasę. W Teheranie naprawdę ciężko oddychać.

Żeby pooddychać prawdziwie irańskim powietrzem, trzeba stąd wyjechać. Im dalej, tym lepiej.

▶ A 650 kilometrów stąd...

Głowa leży już obok. Wpierw odcięła właśnie ją. Wokoło ciemnoczerwona kałuża krwi. Martwy łeb

eprasa.pl 9137619b50

ma jeszcze otwarte oczy. Kobieta bierze się za tułów. Zaczyna odzierać ze skóry żebra. Bardzo misternie, acz zdecydowanie. Pewne ruchy wykonując jakby automatycznie. Wszystko dzieje się przed sienią jej domu. Przed niewielkim przybytkiem, w którym po długie całodobowej podróży z odległego Teheranu miałem okazję spać tej nocy.

– Mogę? – pytam męża kobiety, kiwając znacząco głową, że chciałbym zrobić zdjęcie.

– Baale – odpowiada, mrugając okiem. To chyba zgoda. Chyba.

Ubrana w tajemniczy czador kobieta oprawiająca barana i ten turpistyczny krajobraz wokół niej. Ciemniejąca z każdą chwilą kałuża krwi, osamotniona głowa, syk maszynki gazowej z wyprowadzonym z niej sznurem zakończonym palnikiem, którym to kobieta przypala cielsko martwego zwierza.

– Naa! Naa! – krzyczy nagle kobieta odwracając się.

– Ale mąż pozwolił... – tłumaczę się z angielska. Zupełnie bez sensu. Równie dobrze mógłbym wypalić po polsku. Nikt z rodzimych mieszkańców tej wioski nie posługuje się innym językiem niż perski.

Kobieta szybko odsuwa się od oprawianego barana, wskazując, abym przestał fotografować. Nie wróci, dopóki nie skończę.

To mieszkanka Kandovan. Jedna z około 300 kobiet zamieszkujących tę maleńką mieścinę położoną w górach północnego Iranu. Kandovan nazywają często „irańską Kapadocją". Trudno się dziwić. Tutejszy pejzaż faktycznie przypomina słynną turystyczną atrakcję środkowej Turcji. Ośmielę się nawet stwierdzić, że jest znacznie ładniejszy od swego słynnego osmańskiego krewnego.

Rozlokowane u podnóża sinobrunatnego wzgórza skalne ostańce przypominają z daleka jakieś tajemnicze głowy opatulone w kaptury. Wyobrażenie jest tym prostsze, że w każdej ze skał wydrążone są charakterystyczne dziury. Mniejsze na górze (okna) robią za oczy owych „skalnych pokutników". Większe na dole (drzwi) za usta. Ta zadziwiająca forma to skutek wybuchu wulkanu sprzed setek tysięcy lat. W konsekwencji erupcji skały lądowały na chłodnej ziemi i w wyniku szeregu zjawisk zastygając, tworzyły owe tufowe, porowate konstelacje skalne.

Najstarsze z tutejszych domów liczą nawet po 700 lat. Pod tym względem niewiele się tutaj zmieniło. Lokalny przekaz głosi, że jako pierwsi na tych terenach zaczęli pojawiać się bezbronni pasterze uciekający przed mongolską nawałnicą nadciągającą z północy. Wulkaniczne, łatwe w drążeniu skały idealnie nadawały się na chwilową kryjówkę. Mongolski najazd trwał jednak trochę dłużej niż przewidywali. Uchodźcy bali się powrotu do siebie. Z czasem zaczęli więc przeistaczać prowizoryczne jamy skalne w nadające się do życia pieczary. A jeszcze później – to już efekt, który możemy podziwiać także my dzisiaj – w domy. Kandovanianie żyją tak także teraz.

O ile latem i wiosną bez trudu można sobie wyobrazić mieszkańców wioski śpiących w owych „bezkształtnych domkach", o tyle teraz, zimą...

Prawdziwe oblicze

Tego wieczoru nad Kandovan nadciągają ciemne chmury. Tuż po zmroku zaczyna sypać. Kremowa, jasnopiaskowa do tej pory mieścina w kilka minut zamienia się w śnieżnobiałą paletę, z której tylko gdzieniegdzie wystaje jakiś ciemniejszy kikut, kontur komina czy odśnieżonego okna. W Teheranie, którego wspomnienie powoli staje się na szczęście coraz bardziej odległe, widok niemożliwy.

Strome i śliskie kamienne uliczki w kilka chwil przykrywa grubsza warstwa śniegu. Przejście bez podtrzymywania się o okoliczne ściany nie wchodzi już w rachubę. Miasteczko ogarnia paraliż. Mieszkańcy są jednak przygotowani także na to.

Trach! Łuup! – kolejna ciężka hałda śniegu ląduje na ziemi. Zanim spadła, przeleciała jakieś 10 metrów. Na dachach Kandovan widać małe, czarne punkciki. Uwijające się jak mrówki. Każda ze szpadlem, z łopatą, czasem z drewnianą płytą. Zgarniają śnieg. Najczęściej zupełnie nie patrząc, czy akurat pod nimi ktoś nie przechodzi albo czy przypadkiem nie stoi tam samochód.

I coś jeszcze. Tutaj nikt nie myśli o zamalowywaniu ścian trupimi czachami w kształcie Statui Wolności. Tutaj nikt nie chodzi z maseczką na ustach. Maseczką mającą filtrować zanieczyszczone spalinami powietrze. I mam wrażenie, że obie rewolucje (i ta biała, i ta późniejsza – islamska) przeszły tutaj niezauważalnie. Tutaj jest tak, jak było przed wiekami. Prawdziwie.

Tak, chyba znalazłem. To jest ten prawdziwy Iran. A przynajmniej będę od tej pory żył w błogim przeświadczeniu, że tak on właśnie wygląda.

I obym się nigdy nie rozczarował. ■

eprasa.pl 9137619b50

Olga Doleśniak-Harczuk

Berlin przedmurzem cywilizacji

W obliczu Brexitu, zwycięstwa Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych i możliwej victorii Marine Le Pen nad Sekwaną ostatnią deską ratunku dla świata jest rewitalizacja przywódczej roli Niemiec. „Naród myślicieli i poetów musi przejąć dowództwo" – postuluje Jeff Jarvis, nowojorski dziennikarz, a po godzinach krytyk Donalda Trumpa.

Jeff Jarvis wystąpił 22 listopada na konferencji informatycznej HUB w Berlinie. „My w Stanach Zjednoczonych będziemy przez najbliższe cztery lata mieć co innego na głowie [Trumpa], dlatego Niemcy muszą przejąć od Stanów rolę Wielkiego Brata i wyznaczać nowe kierunki. Nie tylko na niwie nowych technologii, innowacji i inwestycji, lecz także jako ostoja zachodnich wartości skłonna przeciwstawić się nieprzyjaznym wiatrom. Naród myślicieli i poetów musi być silnym bastionem w czasach Brexitu, Trumpa i Le Pen" – zaapelował do niemieckich słuchaczy Jarvis. Mówca skrytykował przy okazji słabość amerykańskich mediów, które dopuściły do rozpanoszenia się konserwatywnych treści w eterze i sieci, głównym portalom internetowym w USA zarzucił zaś, że liczyła się dla nich w kampanii wyborczej jedynie wysoka klikalność, a tę osiągano metodą „piszemy albo o kotach, albo o Trumpie" (jak wiadomo, koty są ulubionym tematem internetu). Jarvis wyraził nadzieję, że w Niemczech taka sytuacja w mediach byłaby niemożliwa, zaapelował jednak na wszelki wypadek o czujność blogerów i dziennikarzy. „Ratujcie nas przed zmianami klimatu!" – wykrzyknął na koniec, tłumacząc, że nowy gospodarz Białego Domu zamierza przywrócić Ameryce węgiel i czoła mogą mu stawić dziś jedynie europejskie elektrownie wiatrowe etc. Mowa Jarvisa trafiła w gusta wielu Niemców, któ-

eprasa.pl 9137619b50

rym od kilku tygodni media tłumaczą na nowo świat „po Trumpie". A będzie to świat okrutny, nieobliczalny, z okiem Saurona nad każdym niemieckim przedszkolem i smogiem z kominów amerykańskich fabryk kłębiącym się nad Helgolandem.

„Idiota" w zaciszu gabinetu tak nie bolał

O pomoc w naświetleniu nie tyle źródeł antytrumpowskiej narracji w większości niemieckich tytułów prasowych, ile przyszłych relacji Berlin–Waszyngton poprosiłam dr Janę Puglierin, eksperta do spraw stosunków amerykańsko-niemieckich przy DGAP (Niemieckie Towarzystwo Polityki Zagranicznej). – Te stosunki mogą się okazać trudne. Po ogłoszeniu wygranej Trumpa nastroje były minorowe, ale nie ma co poddawać się panice, tylko trzeba podejść do sprawy pragmatycznie. Już po Brexicie pojawiły się w Europie głosy, że teraz Europa musi jeszcze bardziej się zjednoczyć, po wygranej Trumpa wypadałoby nie tylko się zjednoczyć, lecz także zastanowić nad tym, jakie mamy możliwości, by stopniowo wybić się względem Stanów na niezależność – twierdzi ekspert. I dodaje: – Dla Polski wizja porozumienia między Trumpem a Putinem musi być przecież równie niepokojąca, Trump wiele razy w kampanii sugerował, że może chcieć ocieplić relacje z Moskwą. Poza tym może zechcieć spełnić swoje pogróżki pod adresem NATO i wtedy to już będzie dla Europy bardzo zła wiadomość.

Przypominam pani doktor, że Trump krytykował nie tyle NATO jako całość, ile tych członków sojuszu, którzy do dzisiaj nie spełnili zobowiązań o podniesieniu wydatków na obronę do 2 proc. swojego PKB. Polska jako jedno z pięciu państw sojuszu wywiązała się z tego warunku, bogate Niemcy dziś mrożą wydatki na obronę na poziomie 1,13 proc. PKB. Ekspert nie odnosi się jednak do tej kwestii. Woli poczekać na pierwsze decyzje polityczne Trumpa. A jak mogą wyglądać relacje między przyszłym prezydentem Niemiec (jeszcze szefem MSZ) Frankiem-Walterem Steinmeierem a Trumpem? To w końcu Steinmeier nazwał Trumpa „siewcą nienawiści", po czymś takim zwyczajnie głupio udawać na oficjalnych spotkaniach, że nic się nie stało i wszystko gra dalej. Kiedy w latach 70. Nixon w zaciszu swojego gabinetu w rozmowach z najbliższym otoczeniem nazwał kanclerza Willego Brandta „idiotą" i „psim synem", nikt o tym nie wiedział, nagrania ujawniono dopiero trzy dekady później, ale tutaj sytuacja jest jasna. Steinmeier obrażał i cały świat dowiedział się o tym, a internet nie zapomni. – Fakt, Steinmeier nazwał tak Trumpa, ale pamiętajmy, że Donald Trump wielokrotnie obraził Angelę Merkel, po obu stronach były więc dyplomatyczne wpadki, bardzo niefortunne wypowiedzi. Jak się kogoś nazywa „siewcą nienawiści", to nie jest to potem najlepszy fundament do budowania dobrych relacji dyplomatycznych. Ale z drugiej strony Trump potrafił nazwać Hillary Clinton „Angelą Merkel Ameryki" i z pewnością to porównanie nie miało pozytywnego wydźwięku. Proponowałabym, by obie strony najlepiej zapomniały o wszystkich ostrych słowach, jakie padły w tej kampanii, i starały się zacząć od nowa, z czystą kartą – proponuje dr Puglierin.

Jak mogą wyglądać relacje między przyszłym prezydentem Niemiec (jeszcze szefem MSZ) Frankiem-Walterem Steinmeierem a Trumpem? To w końcu Steinmeier nazwał Trumpa „siewcą nienawiści", po czymś takim zwyczajnie głupio udawać na oficjalnych spotkaniach, że nic się nie stało i wszystko gra dalej.

Pożegnanie z bezpiecznym światem

Pytanie, jak ta rada się ma do postulatu przywództwa Niemiec. W lutym na konferencji bezpieczeństwa w Monachium prawdopodobnie dojdzie do pierwszego spotkania Merkel, Steinmeiera i Trumpa. Jana Puglierin zaznacza, że już pod koniec kampanii wyborczej w USA Berlin podjął starania, by dotrzeć do najbliższych współpracowników niepokornego miliardera. Sama Merkel złagodziła początkowo pouczający ton względem następcy Baracka Obamy w Białym Domu i podczas swojego wystąpienia w Bundestagu 23 listopada wezwała do „szacunku wobec Trumpa" i „otwartości", choć także do „wzmożonej walki przeciwko populizmowi". Merkel czuje na plecach oddech AfD, zdecydowała się ubiegać o czwartą kadencję w Kanzleramcie, ale świat, jaki znała i jaki wywindował ją na przywódczynię Niemiec i nieformalnie Unii Europejskiej, rozpada się na jej oczach. Stąd to czułe pożegnanie z Barackiem Obamą w Berlinie. Mutti nie żegnała tylko Baracka, lecz także porządek, w którym to ona rozdawała karty i czuła się bezpiecznie. ■

eprasa.pl 9137619b50

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

Chiny–Watykan

W wywiadzie, jaki na początku listopada ukazał się w „The Wall Street Journal", emerytowany biskup Hongkongu kardynał Joseph Zen skrytykował ugodę, jaką Watykan zamierza zawrzeć z Chinami. Stolica Apostolska rozważa uznanie mianowanych przez władze ChRL biskupów z tzw. Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich.

Według kard. Zena, uznanie nieważnie wyświęconych biskupów może zniszczyć Kościół w Chinach. W wywiadzie duchowny stwierdził, że chociaż biskupi z Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich są z reguły wierni nauczaniu Kościoła, to jednak są „kukiełkami" kontrolowanymi przez komunistyczne władze.

„Franciszek nie ma prawdziwej wiedzy o komunizmie" – powiedział hongkoński kardynał.

O tym, że ugoda z Pekinem może nie przynieść pozytywnych rezultatów dla Kościoła w Chinach, pisze także w artykule pt. „Polska, Chiny i Kościół katolicki w komunizmie" („National Catholic Register", 04.11.2016 r.) ks. Raymond J. de Souza. Autor stwierdza, że Kościół w Chinach działający w podziemiu jest słaby i rozproszony. Brak mu przywódcy i autorytetu na miarę prymasa Wyszyńskiego.

A to powoduje, że wszystkie negocjacje z Pekinem są prowadzone przez nie do końca rozumiejącą sytuację Stolicę Apostolską. Na dodatek Watykan prowadzi zaawansowane już negocjacje w momencie, gdy w Chinach przechodzi nowa fala walki z chrześcijaństwem. Rozpoczęła się ona z chwilą dojścia do władzy Xi Jinpinga, który ogłosił kampanię „sinizacji religii", mającej polegać na tym, że kościoły, m.in. za pomocą symboli, muszą się dostosować do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". Usuwane są krzyże z kościołów, burzone świątynie i domy modlitw, a wierni aresztowani. Nie ustają represje wobec duchownych. W ostatnim czasie władze komunistyczne zachęcają Chińczyków, by donosili na rodziców, których dzieci potajemnie uczęszczają na lekcje religii.

Według międzynarodowej organizacji Pomoc Kościołowi w Potrzebie, ChRL należy do 10 najbardziej niebezpiecznych dla chrześcijan krajów świata.

Tajwan

Ponad 20 tys. Tajwańczyków protestowało 17 listopada przed budynkiem parlamentu przeciwko legalizacji małżeństw homoseksualnych i zgodzie na adopcje dzieci przez pary tej samej płci. W ostatnich tygodniach odbyły się trzy czytania projektu ustawy wprowadzającej wyżej wymienione zmiany. Ostateczna forma ustawy ma być gotowa w parlamencie w przyszłym miesiącu, a głosowanie nad nią ma odbyć się w lutym 2017 r. Jeśli ustawa przejdzie, to Tajwan stanie się pierwszym państwem w Azji, które zalegalizuje małżeństwa homoseksualne.

Protestujący Tajwańczycy wyrażali niezadowolenie z szybkiego procesu procedowania ustawy i domagali się referendum, w którym obywatele wyspy odpowiedzieliby na pytanie, czy są za małżeństwami homoseksualnymi. Uczestnicy demonstracji mówili m.in, że w tej chwili na Tajwanie „mniejszość chce zniszczyć instytucję małżeństwa".

Ustawę zezwalającą na małżeństwa homoseksualne próbowano uchwalić już w 2013 r., ale mająca wtedy większość w parlamencie partia Kuomintang do tego nie dopuściła. W styczniu tego roku wybory parlamentarne wygrała Demokratyczna Partia Postępu (DPP), a wybory prezydenckie przewodnicząca DPP Tsai Ing-wen. Tsai wiele razy wyrażała poparcie dla małżeństw homoseksualnych. Wiceprezydentem jest Chen Chien-jen, pierwszy na wyspie katolik na tak wysokim stanowisku. Chen jednak nie zabiera zdecydowanego głosu w kwestii małżeństw homoseksualnych, a ogranicza się tylko do stwierdzeń jak

eprasa.pl 9137619b50

to, że „powinniśmy kochać wszystkich, każdy ma prawo do budowania szczęścia w swoim życiu, homoseksualiści nie są tu wyjątkiem".

W kampanię na rzecz małżeństw homoseksualnych włączają się także zachodni dyplomaci. Kilku przedstawicieli państw Unii Europejskiej i USA brało udział w paradzie gejów zorganizowanej pod koniec października.

Wszystko wskazuje na to, że liberalne nastawienie nowych władz Tajwanu, brak zdecydowanego głosu wpływowych i cieszących się szacunkiem na wyspie katolików oraz progejowska propaganda serwowana Tajwańczykom przez zachodnich dyplomatów sprawią, że legalizacja małżeństw homoseksualnych na Tajwanie stanie się w przyszłym roku faktem.

Korea Południowa

Od początku listopada w niemal każdy weekend w centrum Seulu gromadziły się dziesiątki tysięcy protestujących Koreańczyków. Domagali się ustąpienia prezydent Park Guen-hye.

Przyczyną niezadowolenia jest tzw. afera Choi Soon-sil, czyli przyjaciółki prezydent Park. Sama głowa państwa Korei Płd. mówi, że wiele zawdzięcza Choi, która wspierała ją w najtrudniejszych momentach jej życia – gdy w 1974 r. północnokoreański agent zabił jej matkę i gdy pięć lat później szef wywiadu Korei Płd. (KCIA) zamordował jej ojca, prezydenta Park Chung-hee.

Pod koniec października tego roku pojawiły się informacji, że Choi Soon-sil nie tylko dodawała otuchy Park Guen-hye, lecz także po wyborze Park na prezydenta w 2013 r. doradzała jej w sprawach politycznych i mimo że nie wydano jej poświadczenia bezpieczeństwa, miała wgląd do tajnych dokumentów. Choi miała także poprawiać, a nawet pisać ważne przemówienia Park. Podejrzewa się również, że przyjaciółka pani prezydent wykorzystywała swoje bliskie relacje z głową państwa, aby wpływać na nominacje w rządzie. Choi pomogła także w utworzeniu dwóch fundacji (otrzymały one od odpowiednich organów zezwolenie na działalność w ciągu 24 godzin; normalnie cała procedura trwa kilka tygodni). Na kontach tych fundacji znalazły się duże sumy pieniędzy i pojawiły się oskarżenia, iż środki te wykorzystywano do wspierania ludzi powiązanych z prezydent Park. Przyjaciółka prezydent Korei Płd. miała również wyłudzać pieniądze od wielkich koreańskich koncernów, m.in. Samsunga. W aferę zamieszany jest także były doradca i wieloletni znajomy prezydent Ahn Jong-beom.

Prezydent Park przeprosiła Koreańczyków, ale tylko za to, że pozwoliła swojej przyjaciółce poprawiać przemówienia. 17 listopada południowokoreański parlament przyjął ustawę powołującą specjalnego prokuratora, który ma przeprowadzić śledztwo w sprawie skandalu korupcyjnego obciążającego prezydent. Choi Soon-sil została aresztowana i toczy się przeciw niej śledztwo. Według sondaży opinii publicznej, 67 proc. obywateli Korei Płd. chce dymisji prezydent.

Park Geun-hye rządzi Koreą z ramienia konserwatywnej partii Saenuri (SP) od lutego 2013 r. W kwietniu tego roku SP poniosła spektakularną porażkę. Po 16 latach rządów konserwatywna partia straciła większość w Zgromadzeniu Narodowym Korei Południowej. Ku wielkiemu zaskoczeniu ugrupowanie, które prowadziło w sondażach przedwyborczych, przegrało z lewicą. Konserwatystów pogrążył pogarszający się stan krajowej gospodarki.

Wietnam

Wietnam to jedno z państw, które w zeszłym roku zawarły Partnerstwo Transpacyficzne (TPP), wielostronną umowę regulującą zasady handlu przez 12 krajów w całym regionie Azji i Pacyfiku. Zgromadzenie Narodowe tego kraju miało ratyfikować umowę na odbywającej się w połowie listopada sesji. Po wygranej Trumpa w USA wietnamskie władze uznały jednak, że odłożą ratyfikację „ze względu na zmiany polityczne, jakich mogą doświadczyć Stany Zjednoczone".

Umowa TPP miała być najbardziej konkretnym elementem strategii „zwrotu ku Azji", którą Obama ogłosił w 2012 r., jako przeciwwagi dla rosnącej potęgi Chin.

Oficjalnie TPP, do której przystąpiły USA, Australia, Brunei, Kanada, Chile, Japonia, Malezja, Meksyk, Nowa Zelandia, Peru, Singapur i Wietnam, ma na celu intensyfikację handlu i ułatwienie inwestycji między krajami partnerskimi TPP, promowanie innowacji, wzrostu gospodarczego i rozwoju oraz wspieranie tworzenia i utrzymania miejsc pracy.

Sygnatariusze umowy generują około 40 proc. światowej wymiany handlowej.

Trump w czasie kampanii nazwał TPP „katastrofą", bo jest to umowa korzystna dla wielkich międzynarodowych korporacji produkujących poza USA, i zapowiedział, że za jego rządów Ameryka jej nie ratyfikuje.

Władze Wietnamu zapewniają, że mimo iż wstrzymały ratyfikację TPP, to chcą utrzymać dobre relacje z Waszyngtonem i innymi państwami, których dotyczy umowa. ■

eprasa.pl 9137619b50

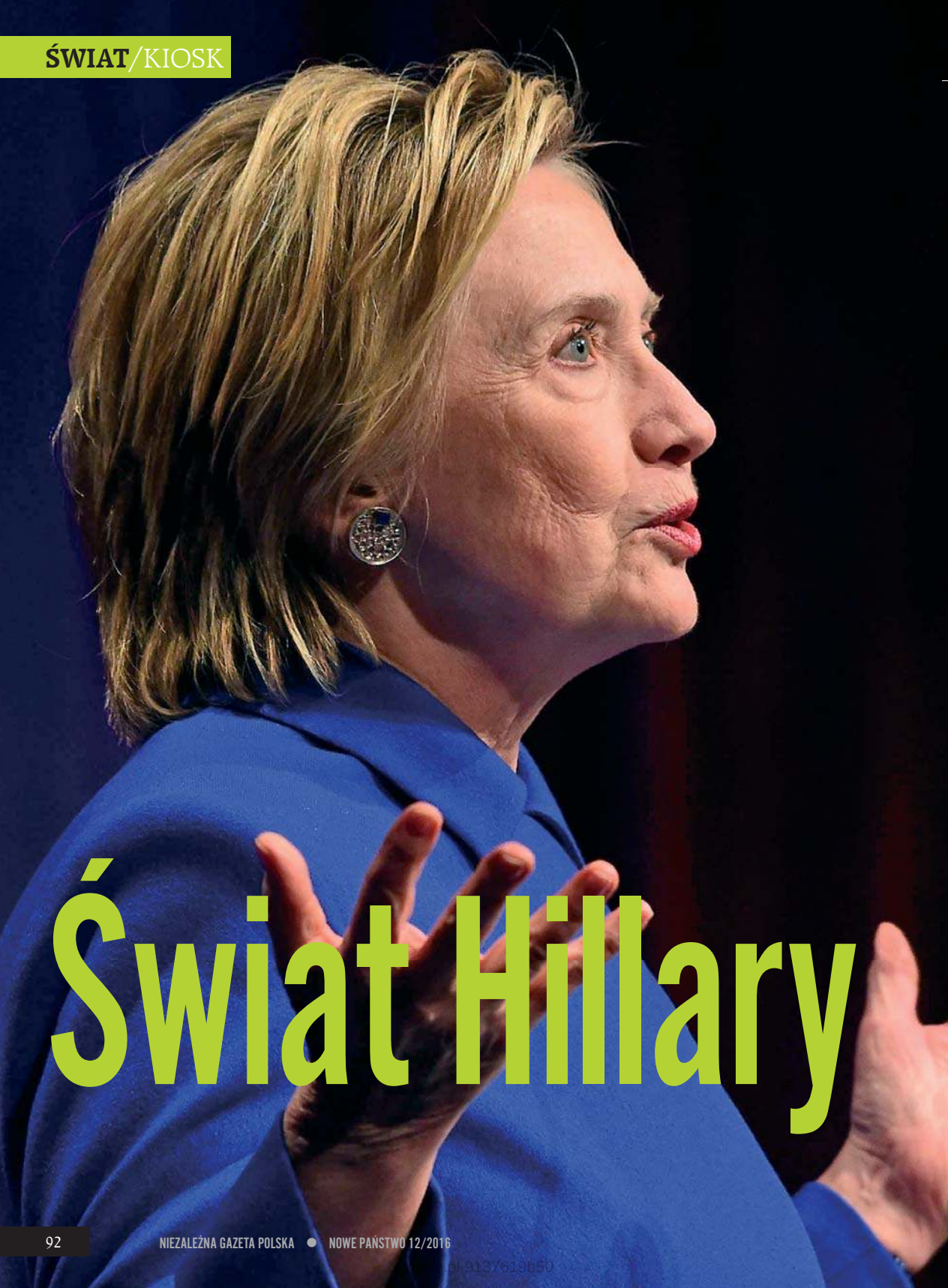

Świat Hillary

pl.9137619b50

opracował Antoni Rybczyński

Czego Amerykanie nie wybrali, tego świat nie pozna. Jak wyglądałaby polityka Stanów Zjednoczonych pod rządami Hillary Clinton? Tego już się nie dowiemy. Może i dobrze. Dotychczasowe dokonania kandydatki Partii Demokratycznej w sprawach międzynarodowych przedstawił na finiszu kampanii prawicowy portal Breitbart pod jednoznacznym tytułem „Świat Hillary. Jak polityka zagraniczna Clinton zdestabilizowała niemal każdy zakątek globu".

To podsumowanie skutków działalności Hillary Clinton – jako senator, sekretarz stanu i jednej z twarzy Fundacji Clintonów. Zdaniem autorów, międzynarodowa aktywność niedawnej kandydatki na prezydenta przyniosła przede wszystkim wzmocnienie światowych autokracji, destabilizację, a nawet upadek szeregu państw, wreszcie rozwój globalnego ruchu dżihadystycznego. Z niektórymi zarzutami można polemizować, niektóre wydają się mocno naciągane, ale z pewnością trudno nie przyznać autorom portalu racji w jednym: jeśli osiem lat międzynarodowej polityki Obamy to jedna wielka porażka, to duży udział w tym ma również Clinton – nawet jeśli od czterech lat nie kieruje już dyplomacją USA.

Ośmielić autokratów

Stojąc na czele Departamentu Stanu, Clinton nadzorowała politykę administracji Obamy, znaną jako „zwrot ku Azji", czyli zwiększenie obecności USA na tym kontynencie ze szczególnym uwzględnieniem zbliżenia z Chinami. Clinton publicznie popierała „politykę jednych Chin", czyli legitymizowała twierdzenia Pekinu, że Tajwan, Tybet, Hongkong i Xinjiang są integralnymi i legalnymi częściami ChRL. Ale były to również czasy, gdy nikt nie przejmował się skupowaniem przez Chiny amerykańskiego długu. Co więcej, Clinton prywatnie wychwalała nowego prezydenta Xi Jinpinga, który prowadzi dużo bardziej agresywną politykę niż poprzednik. To w ostatnich latach, przy bezczynności USA, Pekin kolonizował sporne wyspy na Morzu Południowochińskim, prześladował chrześcijan i prowadził brutalne czystki w szeregach elity rządzącej.

fot. Ron Sachs/PAP/DPA

Clinton głośno popierała Obamę w jego polityce „normalizacji" stosunków z Kubą, a jej współpracownicy utrzymywali bliskie relacje z tą grupą ludzi w Waszyngtonie, która czerpie korzyści z kontaktów z reżimem Castro. Jak podkreśla Breitbart, „normalizacja" Obamy wywołała falę brutalnych niesprawiedliwych aresztowań politycznych dysydentów na Kubie oraz nową falę uchodźców szukających ucieczki przed komunistyczną dyktaturą, zanim USA zmienią swoje stanowisko traktowania ich jako politycznych uchodźców.

Polityka USA w czasach, gdy Clinton była sekretarzem stanu, wzmocniła też reżim irański. Administracja Obamy zignorowała irańską zieloną rewolucję, serię protestów przeciwko ówczesnemu prezydentowi Mahmudowi Ahmadineżadowi i ajatollahowi Chameneiemu. Departament Stanu pod rządami Clinton odrzucił prośby o wsparcie finansowe od grup pracujących u podstaw, dokumentujących brutalne łamanie praw człowieka przy tłumieniu pokojowych protestów. Ale oczywiście ukoronowaniem wysiłków administracji Obamy, które zabezpieczy rządy szyickich ajatollahów na wiele lat, jest porozumienie atomowe z Iranem – twierdzi Breitbart. Choć umowa została zawarta długo po odejściu Clinton z dyplomacji, to ona była odpowiedzialna za wskazanie negocjatorów do rozmów atomowych i za zaaprobowanie dwóch dużych ustępstw USA na rzecz Iranu w 2011 r. – zagwarantowania Iranowi prawa do wzbogacania uranu i zamknięcia dochodzenia Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej dotyczącego wcześniejszych prac Teheranu nad bronią atomową.

Kolejny mało chwalebny odcinek aktywności sekretarz stanu Clinton to Malezja, która pod rządami premiera Nadżiba Razaka stała się ogniskiem korup-

eprasa.pl 9137619b50

cji i coraz silniejszych nastrojów radykalnie islamistycznych. Tymczasem administracja Obamy bardzo przychylnie traktowała Kuala Lumpur, m.in. podnosząc notowania Malezji w rankingach praw człowieka i robiąc z niej wiarygodnego partnera w Partnerstwie Transpacyficznym. Jako sekretarz stanu Clinton była pierwszym szefem Departamentu Stanu od ponad dekady, który odwiedził Malezję w ramach obamowskiej strategii „azjatyckiego obrotu".

„Strategiczna cierpliwość" – tak określa się politykę sekretarz Clinton wobec Korei Północnej. Jeden z ekspertów opisał ją w następujący sposób: „siedzenie z tyłu i patrzenie, jak Korea kontynuuje rozbudowę swojego programu broni atomowej". Od momentu, gdy Clinton odeszła z urzędu, państwo Kim Dzong Una zdetonowało dwie bomby atomowe, po części ośmielone „strategiczną cierpliwością" USA, a po części układem Zachodu z Iranem.

W czasie kampanii wyborczej Clinton usiłowała przekonać Amerykanów, że tak naprawdę walczy o Biały Dom nie z miliarderem Trumpem, a agentem Putina. Putina przedstawianego jako uosobienie zła. Tyle że ta sama Clinton kilka lat temu była twarzą niesławnego resetu w stosunkach USA z Rosją. Resetu, który przygotował grunt pod agresję na Ukrainę. Resetu, który przyniósł otoczeniu Clinton i jej fundacji niemałe pieniądze z Rosji.

Niezbyt dużą polityczną przenikliwością polityczną Clinton wykazała się w ocenie prezydenta Turcji (za czasów jej pobytu w Departamencie Stanu premiera) Recepa Tayyipa Erdoğana. W swych pamiętnikach mówiła o nim w samych superlatywach. Chwaliła za politykę zagraniczną pod hasłem „zero problemów z sąsiadami". Erdoğan ze swej strony – co ujawniają e-maile na WikiLeaks – próbował budować wpływy w otoczeniu Hillary poprzez pieniężne datki na kampanię Clinton. Chwalony przez byłą szefową dyplomacji USA Erdoğan zaczął islamizować Turcję i represjonować politycznych przeciwników – apogeum stał się odwet po nieudanym lipcowym puczu. Po drodze posypała się też cała strategia bliskowschodnia Turcji, która sama stała się poważnym problemem. No i zbliżyła się ostatnio do Rosji.

Na liście krajów, w większości swego czasu nazwanych rozbójniczymi, brakuje tylko Wenezueli. Także tutaj Hillary ma się czym „pochwalić". Kierowała dyplomacją w okresie, który przypadł na ostatnie lata rządów dyktatorskich zajadle antyamerykańskiego Hugo Chaveza, socjalisty, który zmarł krótko po odejściu Clinton ze stanowiska. Jego rządy doprowadziły bogatą w ropę Wenezuelę do katastrofy. Nacjonalizował prywatne przedsiębiorstwa, intrygował przeciwko USA z Kubą, Iranem i Chinami, jednocześnie w kraju brutalnie prześladując opozycję. Tymczasem Clinton, nie zważając na to, w 2009 r. broniła idei prowadzenia z Chavezem rozmów. Kuriozalnie zabrzmiały jej wypowiedzi przed komisją spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, że nie należy przejmować się związkami Chaveza z Ahmadineżadem i komunistycznymi Chinami, ponieważ „izolowaliśmy go, więc poszedł gdzie indziej. Uważam, że to bardzo kontaktowy facet". Dziś gospodarka Wenezueli spada w przepaść, podczas gdy dziesiątki więźniów sumienia siedzą w więzieniach pod rządami następcy Chaveza, Nicolasa Maduro.

▶ Ośmielona korupcja

Amerykański portal prezentuje też listę krajów, gdzie korupcja mogła rozkwitać jeszcze bardziej dzięki polityce Clinton. Breitbart przypomina Algierię, której rząd „jest zaangażowany w jeden z najpoważniejszych schematów korupcyjnych wokół Fundacji Clintonów: oferując Clintonom czek na 500 000 dolarów. »Tak się składa, że ta darowizna zbiegła się z wysiłkami lobbingowymi podejmowanymi przez Algierię w Departamencie Stanu w związku z amerykańską krytyką stanu praw człowieka w Algierii«" – pisał „The Telegraph" cytowany przez Breitbart.

W tym roku w Brazylii doszło do impeachmentu i odsunięcia od władzy socjalistycznej prezydent Dilmy Rousseff za cały wachlarz podatkowych nieprawidłowości, w tym fałszowanie funduszy rządowych, aby przyciągnąć inwestorów. Milionowe protesty uruchomiło jednak głębokie zaangażowanie Rousseff w coś, co znane jest jako „Operacja Myjnia Samochodowa", potężny korupcyjny schemat, w którym dziesiątki państwowych urzędników ciągnęły miliony z projektów zarządzanych przez państwowy koncern naftowy Petrobras. Jako sekretarz stanu Clinton miała wieloletnie kontakty z Rousseff i chwaliła „jej zobowiązanie do otwartości, przejrzystości", mówiąc, że „jej walka z korupcją tworzy globalne standardy". Był rok 2012.

Breitbart przypomina też falę krytyki, jaka spadła na Fundację Clintonów za żerowanie na biedzie Haitańczyków po trzęsieniu ziemi w 2010 r. Nie dość, że były zarzuty o korupcję, to jeszcze Fundacja miała „odegrać pewną rolę" w bezprecedensowym wybuchu epidemii cholery na wyspie.

Jednym z najbardziej alarmujących układów zawartych przez Departament Stanu za rządów Clinton było porozumienie, które oddało jedną piątą amerykańskich zdolności produkcji uranu Rosji. Podczas gdy Rosja zdobyła kontrolę nad korporacją Uranium One, do Fundacji Clintonów płynęły datki ze Wschodu. Wraz z Uranium One, jak pisał „New York Times", Moskwa zyskała kontrolę nad „kopal-

eprasa.pl 9137619b50

niami w Kazachstanie, które należą do najbardziej lukratywnych na świecie".

Pieniędzy na Fundację Clintonów nie żałowały arabskie monarchie. Wiadomo na przykład, że fundacja otrzymała 12 mln dolarów darowizny od króla Maroka w zamian za obecność Hillary na szczycie Fundacji. W ostatniej chwili okazało się, że szefowa dyplomacji jednak nie przyjdzie. Z kolei Arabia Saudyjska od lat wspiera rodzinę Clintonów i na fundację dała co najmniej 50 mln dolarów. Te bliskie więzi przetrwały, nawet gdy Hillary prywatnie przyznała, że ma dowody na to, że Arabia Saudyjska zapewniała „potajemne finansowe i logistyczne wsparcie dla Państwa Islamskiego i innych radykalnych grup sunnickich w regionie".

Jednym z najbardziej alarmujących układów zawartych przez Departament Stanu za rządów Clinton było porozumienie, które oddało jedną piątą amerykańskich zdolności produkcji uranu Rosji.

Breitbart nie zapomina też o milionach, jakie szły na Fundację Clintonów od wielkiego biznesu w samych Stanach Zjednoczonych. Wiele pytań dotyczących korupcji i kumoterstwa pojawiło się po ujawnieniu powiązań Clintonów z urzędnikami Departamentu Sprawiedliwości w kontekście dochodzenia w sprawie używania przez Hillary do służbowych celów prywatnego serwera.

Dżihadystyczny boom

Prezydent Obama z wielką pompą ogłosił, że wojna w Afganistanie skończyła się dla amerykańskich żołnierzy w 2014 r. Tyle że polityka, która doprowadziła do tego momentu, wytworzyła szkodliwą próżnię. Za Clinton Departament Stanu generalnie ignorował problem wszechobecnej korupcji, który zostawił Afganistan z niewieloma atutami do walki z Talibanem czy Al-Kaidą. Polityka Hillary wszędzie na świecie doprowadziła do rozwoju Państwa Islamskiego. Teraz urzędnicy amerykańscy ostrzegają, że Taliban jest silniejszy niż przed 11 września 2001 r.

Jednym z pierwszych przystanków w podróżach Clinton jako sekretarz stanu była Indonezja, gdzie ogłosiła: „Jeśli chcecie wiedzieć, czy islam, demokracja, nowoczesność i prawa kobiet mogą koegzystować, jedźcie do Indonezji". W czasie jej wizyty (2009 r.) spotkała się ona jednak z okrzykami „Allahu akbar" i wyrażaniem pogardy w najdotkliwszy dla muzułmanina sposób: przez rzucanie butami. Od tamtej pory polityka zagraniczna Clinton przyczyniła się do powstania Państwa Islamskiego, dżihadystycznej grupy aktywnie werbującej indonezyjskich rekrutów. „Od 300 do 700 Indonezyjczyków mogło przyłączyć się grupy w Syrii i Iraku w ciągu dwóch ostatnich lat" – donosiło w lipcu BBC. 30 różnych indonezyjskich grup złożyło przysięgę wierności „kalifowi" IS Abu Bakrowi al-Bagdadiemu.

Inaczej niż w Syrii, której upadek nastąpił po aktach przemocy dokonywanych przez bezlitosnego tyrana, upadek Iraku jest bardziej związany z amerykańską polityką zagraniczną i długotrwałą okupacją. Amerykańska obecność na lądzie w Iraku przyczyniła się do zwalczania dżihadystycznych elementów niż jakiekolwiek działanie zazwyczaj uciekających z pola walki żołnierzy irackich oraz skorumpowanego przywództwa w Bagdadzie. Gdy Clinton kierowała dyplomacją, Obama wycofał większość oddziałów amerykańskich z Iraku, pozostawiając po sobie pustkę, którą szybko wypełniły Państwo Islamskie, Al-Kaida i wspierane przez Iran szyickie milicje. Wojskowi eksperci zgadzają się, że przedłużona obecność amerykańska w kraju przyczyniłaby się do stabilizacji, zaś wycofanie wydało kraj na islamistyczną kolonizację.

Ostatnie lata to także niespotykana wcześniej ekspansja dżihadystów w Afryce. Narody zamieszkujące wokół Jeziora Czad kontynuują walkę z ekspansją Boko Haram, dżihadystyczną organizacją założoną w 2002 r., ale najbardziej aktywną dopiero od początku tej dekady w Borno, północno-wschodnim stanie Nigerii. Boko Haram jest obecnie najbardziej morderczym skrzydłem Państwa Islamskiego odpowiedzialnym za zamordowanie około 15 tys. ludzi i ucieczkę milionów. Organizacja stała się znana światu po tym, jak porwała ponad 200 uczennic ze szkoły w Borno w 2014 r. Większość z tych dziewcząt pozostaje w niewoli, „poślubiona" dżihadystom jako seksualne zabawki. Jako sekretarz stanu Clinton odmówiła uznania Boko Haram, wówczas wiązanej z Al-Kaidą, za Zagraniczną Organizację Terrorystyczną. Taka decyzja ograniczyła zdolność rządu Nigerii do walki z grupą, ponieważ nie mógł liczyć na pomoc USA.

W opinii autorów publikacji, na Clinton ciąży też przynajmniej częściowa odpowiedzialność za rozwój innej dżihadystycznej organizacji w Afryce. W 2009 r. sekretarz stanu pojechała do Somalii zaoferować wsparcie w walce z Al-Shabaab, powiązaną z Al-Kaidą organizacją terrorystyczną. Po tej wizycie Al-Sha-

eprasa.pl 9137619b50

baab oficjalnie ogłosiła swoje związki z Al-Kaidą i dokonała dwóch krwawych ataków na cywilów w Kenii. To była masakra w centrum handlowym Westgate Mall (2013 r.) i atak na Garissa University (2015 r.). Od tamtej pory Al-Shabaab stała się tak silną i znaną organizacją, że o jej względy rywalizują Al-Kaida z Państwem Islamskim. USA zrobiły niewiele, aby temu zapobiec. Nic nie dały ataki przy użyciu dronów czy nieudany rajd na obóz Al-Shabaab w 2013 r. A Hillary sama jedynie prosiła terrorystów, żeby dopuszczali pomoc humanitarną.

Upadłe państwa

Rola Clinton w śmierci Amerykanów, w tym ambasadora, 11 września 2012 r. podczas ataku w Bengazi, jest dziś dobrze znana. Odegrała dużą rolę w przeforsowaniu decyzji o wsparciu powstania w Libii przeciwko dyktatorowi Muammarowi Kadafiemu, jak też miała swój udział w tym, że za tym nie poszła sensowna strategia zapewnienia Libii stabilnego świeckiego rządu. Upadek dyktatury Kadafiego zmienił Libię w państwo upadłe, najpierw rządzone przez dwa rywalizujące obozy, a teraz jeszcze w części kontrolowane przez Państwo Islamskie, Al-Kaidę i różne islamistyczne milicje plemienne.

Wojna domowa w Syrii rozpoczęła się w 2011 r., podczas urzędowania Clinton w Departamencie Stanu. Pani sekretarz miała podobno popychać Obamę do decyzji o uzbrojeniu sunnickich rebeliantów i milicji, w których było wielu dżihadystów, a którzy później przeszli do IS. Prezydent podobno nie posłuchał rady Clinton, lecz nie zrobił też nic innego. Można jednak powątpiewać w taką wersję, skoro w 2011 r. Clinton mówiła o Asadzie jako „reformatorze", a jego rządy były dla niej powodem do optymizmu. Dziś Syria pozostaje krajem podzielonym między Państwo Islamskie, kurdyjskie milicje, związane z Al-Kaidą sunnickie grupy oraz sojusz Iranu, Rosji i Asada.

Powstanie Południowego Sudanu, najmłodszego państwa świata, było bezpośrednim produktem polityki zagranicznej Clinton. Lata wojny domowej w Sudanie między północną populacją muzułmańską a chrześcijańskim południem otworzyły drogę do secesji i wojny między dwoma narodami, a nie w łonie jednego. Gdy w Sudanie w 2012 r. gościła Clinton, „Washington Post" pisał, że kryzys uchodźców w Sudanie jest jednym z najgorszych na świecie. Departament Stanu wspomagał rząd Południowego Sudanu, nawet gdy pojawiły się dowody, że władze wykorzystują dzieci-żołnierzy. Potem pojawiły się raporty, że związane z Clintonami firmy dostawały pieniądze od rządu południowosudańskiego. Wsparcie Departamentu Stanu za czasów Clinton nie przyczyniło się do stabilizacji Sudanu Południowego, a dziś z obozów uchodźców ONZ dochodzą wieści o masowych gwałtach, zaś kraj stoi w obliczu głodu.

Słabiutkie reakcje administracji Obamy na rosyjską kolonizację byłych republik sowieckich doprowadziły do tego, że Ukraina straciła Krym i swe wschodnie obwody – pisze Breitbart. Zaś w Gruzji, po inwazji w 2008 r., pod rosyjską kontrolą pozostają separatystyczne regiony Abchazji i Południowej Osetii. Hillary Clinton przewodziła polityce „rosyjskiego resetu", która sprowadzała się do prób grzecznego wyperswadowania Władimirowi Putinowi, aby nie plądrował sąsiadów. Clinton podarowała nawet swemu rosyjskiemu partnerowi Siergiejowi Ławrowowi dosłowny „przycisk resetu" jako podarunek, co go zdumiało. Dzięki resetowi udało się Rosję utrzymać z boku, aby nie przeszkadzała w negocjowaniu irańskiego układu atomowego czy też nie wetowała inwazji na Libię. Ale ostatecznie nie przekonało to Putina do zmiany jego polityki zagranicznej. Kolejne ujawniane rewelacje pokazują, że Clintonowie biorą pieniądze od obu stron konfliktu na Ukrainie i nie są zbyt twardzi, jeśli chodzi o przeciwstawianie się agresji Putina.

Jako sekretarz stanu Clinton złożyła pierwszą wizytę jako najwyższy rangą amerykański dyplomata w Jemenie od 1990 r. Tam powiedziała Alemu Abdullahowi Salehowi, że poprze program powrotu terrorystów Al-Kaidy więzionych w Guantanamo do Jemenu, choć wiedziała, że Jemen był ogniskiem aktywności Al-Kaidy. Saleh jest dziś sojusznikiem wspieranych przez Iran rebeliantów Houti, którzy wszczęli wojnę domową z obecnym prezydentem Abdem Rabbo Mansurem Hadim. Al-Kaida jest prawdopodobnie najbardziej stabilnym podmiotem w kraju, gdzie 80 proc. cywilów żyje odcięta od pomocy humanitarnej, i kilkakrotnie zwiększyła swój zasięg w ciągu roku. Jemen jest upadłym państwem rozdartym między Iran a Arabię Saudyjską, państwa wiele zawdzięczające polityce sekretarz stanu Clinton.

Spadkiem po polityce Clinton – zdaniem prawicowego portalu – jest chaos w wielu regionach świata. A jedną z odczuwalnych mocno przez Zachód konsekwencji tej destabilizacji jest napływ migrantów. Polityka Obamy i jego byłej szefowej dyplomacji w Syrii i Libii przyczyniła się do ucieczki z kraju niemal 5 mln Syryjczyków i ponad miliona Libijczyków szukających schronienia w Europie i innych państwach Bliskiego Wschodu. Podczas gdy ludzie uciekają także z Afganistanu, Pakistanu, Afryki Subsaharyjskiej i innych regionów, kraje takie, jak Rosja, Chiny i Arabia Saudyjska nie zamierzają w żaden sposób pomóc, zamiast tego krytykują Zachód za to, że nie jest wystarczająco gościnny. ■

eprasa.pl 9137619b50

Ryszard Czarnecki

Polak na Tajwanie

I znów kłaniam się Tajwanowi – z wzajemnością, bo Chińczycy z Tajwanu (albo po prostu Tajwańczycy) to, jak to w Azji, uprzejmi ludzie. Jestem tu ponownie po trzech latach, a czwarty raz w ciągu nieco więcej niż dekady.

I widzę, że dawna Formoza nie podzieli losu portugalskiej kolonii w Makau, która stała się integralną częścią Chin Ludowych. Nie będzie też bywszym brytyjskim Hongkongiem, który wtopił się w rządzone przez komunistów Państwo Środka. Ostatnie wybory parlamentarne i prezydenckie w państwie mającym angielski skrót ROC (Republic of China) wygrali ci, którzy zbliżenia z Pekinem nie chcą. Dzieje się to w tym samym czasie, gdy podkręcona przez kandydata, a teraz już prezydenta elekta Donalda Trumpa rywalizacja amerykańsko-chińska nabiera rumieńców, a Waszyngton ostrzega Europę przed chińską dominacją ekonomiczną, choćby przekazując dane o wykupywaniu przez Chińczyków najnowocześniejszych niemieckich firm z branży IT. Ale właśnie dlatego USA może zależeć na Tajwanie – z dużą wzajemnością.

W czasie pobytu na Tajwanie pilnie notuję przewagi tego niewielkiego chińskiego państwa, które nie chce być częścią Mainlandu, jak określana jest ChRL. Tajpej słynie z orchidei, owoców mango i ananasów, ale też z tego, co ma w bankach – bajońską kwotą 1,3 biliona dolarów. Jest pierwszym producentem jachtów w Azji i szóstym na świecie. Produkują tu jeden notebook co 35 sekund. Tajwan eksportuje rocznie 20 mln... akwariów! Jest krajem specjalizacji – opanował ponad 2/3 światowego rynku produkcji półprzewodników i zagarnął 70 proc. rynku rowerów w Unii i USA.

Ale sukces ma swoją cenę. W czasie wizyty w Europejskiej Izbie Handlowej, skupiającej tu już 2 tys. firm ze Starego Kontynentu (co roku przybywa 10–15 nowych), mój niemiecki kolega, niegdyś potężny szef potężnego związku przemysłowców w RFN, mówi zbulwersowany, że ściśnięci tam pracownicy (głównie pracownice) wyglądają jak „kurczaki na farmie". Dzieje się to nie gdzieś na prowincji, lecz w stolicy kraju, w instytucji zrzeszającej europejskie firmy...

Tajwan od Europy różni się także tym, że obowiązuje tu kara śmierci. Nie na papierze. Rzeczywiście jest wykonywana, choć rzadko. Relatywnie niewielki przecież Tajwan (51. miejsce na świecie pod względem ludności, 133. gdy chodzi o powierzchnię) ma czwarte (!) rezerwy walutowe na świecie. I dokonuje ekspansji – także na nasz kontynent. Szkoda, że dopiero rząd PiS zniósł podwójne opodatkowanie, co zapala zielone światło dla inwestycji z Tajpej nad Wisłą, Odrą i Wartą. Znacznie szybsze od rządu PO–PSL były prawicowy rząd Orbana w Budapeszcie i prawicowy rząd Radičovej w Bratysławie: kraje te odpowiednie umowy dwustronne podpisały z Tajwanem już pół dekady temu. Ciekawe, że bracia Madziarzy współpracują z komunistycznym Pekinem, a jednocześnie przyciągają do siebie kapitał z Tajwanu, nie bojąc się wcale ChRL – tak jak, zdaje się, bały się rządy Tuska i Kopacz. Póki co mamy w Rzeczypospolitej 30 firm z Tajwanu, ale umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania podpisaliśmy dopiero w drugiej połowie października. Stąd też na razie zainwestowali u nas tylko ćwierć miliarda dolarów. Nasza dyplomacja ocenia, że potencjał polsko-tajwańskich obrotów gospodarczych jest dziesięć razy większy niż to, co jest teraz.

W dniu, kiedy wylądowałem w Tajpej, odnotowano na Tajwanie dwa trzęsienia ziemi. Wstrząsy sejsmiczne na tej wyspie są taką samą normą jak deszcz w Brukseli. W ciągu roku jest tu 120 trzęsień ziemi, czyli co trzeci dzień. I nikt się tym nie przejmuje. Słyszę tutaj, że właśnie dlatego na Tajwanie wznosi się lekkie konstrukcje – w związku z tym nie ma ofiar – w przeciwieństwie do Włoch, gdzie wielowiekowe, ciężkie budowle są niszczone przy wstrząsach o mniejszej sile w skali Richtera niż te tajwańskie.

Za Tajwan, Polaków na Tajwanie i relacje między nami a Tajpej wznoszę toast, pamiętając wszak, że miejscowi trzymają zawsze przy toastach kieliszek niżej od gościa. Dlaczego? Przez szacunek... ■

eprasa.pl 9137619b50

Marcin Wolski

W prawo, zwrot

Jednym z wątków, które często chętnie podejmuję, jest związek kolejnych rewolucji informacyjnych z wielkimi zmianami w historii ludzkości. Jeśli antyk powstał jako kultura pisma, reformacja była dzieckiem druku, rewolucja francuska – prasy, totalitaryzmy dwudziestowieczne niemożliwe byłyby bez wynalazku mikrofonu, a ogłupiałe społeczeństwa dobrobytu bez telewizji, to niewiadomą pozostawało, jaki będzie efekt kolejnej fali postępu ludzkiego komunikowania, co narodzi się z internetu i pączkujących dzięki niemu mediów społecznościowych. Jedno już wiemy: dzięki nowym mediom procesy stały się trudne do kontrolowania, a stare struktury niezdolne do szybkiej reakcji.

Niezależnie, jak podejdziemy do tzw. arabskiej wiosny, była ona pierwsza jaskółką tego, co się stać może, gdy masy, zdobywając narzędzia komunikowania, wystąpią przeciwko elitom. Podobnie stało się z protestami przeciwko ACTA.

Również to, co wydarzyło się w Polsce, Wielkiej Brytanii czy USA w ciągu ostatnich dwóch lat, jest dowodem schyłku pewnej epoki. „Siły postępu" dysponowały prawie wszystkimi instrumentami władzy. Miały za sobą siłę służb, administracji, mediów, wspierały je wielkie korporacje i tzw. elity kulturalne. Ale przegrały. (U nas m.in. dzięki internetowym memom, których nie udało się ocenzurować!).

I sądzę, że dalej będą przegrywać, i to w skali nieporównanie wielkiej. Każde bowiem zwycięstwo zdrowego rozsądku nad czymś, co jest lewacką utopią skrytą pod terminem poprawności politycznej, ośmiela sterroryzowane dotąd społeczeństwa do kolejnych kroków. Okazuje się, że można zagłosować na „pisiorów", poprzeć Brexit czy oddać głos na Trumpa. I wygrać! Siła „Jasnogrodu" okazuje się pozorna, oparta na blefie i zastraszeniu. Załóżmy więc, że nagle pozwoli się społeczeństwom zagłosować nad problemami wypartymi chwilowo z dyskursu społecznego. Wyobrażacie sobie wyniki referendów na temat kary śmierci, islamskiej imigracji czy adopcji dzieci przez pederastów? I to referendów poprzedzonych ogólnokrajową dyskusją z równouprawnieniem wszystkich stron? Skądinąd sądzę, że takie głosowania będą prędzej czy później nieuchronne. Podobnie jak wyrzucenie pseudonaukowców spod znaku gender z wyższych uczelni.

Wszystkie rewolucje świata wybuchały w momencie, kiedy większość uświadamiała sobie, że jest rządzona przez amoralną garstkę, która uzurpowała sobie prawo do orzekania, co jest słuszne, co niesłuszne, przekupiła odpowiednią rzeszę akolitów, resztę zmanipulowała, podzieliła, napuściła na siebie.

Na szczęście uzurpacji takowej prawie zawsze towarzyszą pycha i arogancja. Potencjalnych przeciwników nie tylko się lekceważy (twierdząc, że nie ma z kim przegrać), lecz także upokarza. Do pewnego momentu to działa, ale potem...

Amerykańscy demokraci upojeni wizją sukcesu wystawili najgorszą kandydatkę z możliwych (w odwodzie był jeszcze gorszy lewak od niej) i nie pozostawili swoim rodakom większego wyboru.

Co gorsza, po klęsce brną dalej, obrażając elektorat, przedstawiając połowę narodu jako głupich, biednych i gorzej wykształconych. Skąd my to znamy?

W trakcie tegorocznych wyborów w USA wielce pouczające było spojrzenie na mapę. I to nie stanów, lecz hrabstw. Patrząc na tym poziomie, widać, że Amerykę zalała prawie jednolita czerwień Trumpa, z której jak wysepki wyrastały zaznaczone na niebiesko wielkie ośrodki, w których okopała się lewica. Ton w tych bastionach nadawali nie ludzie wolni i przedsiębiorczy, lecz miłośnicy świadczeń socjalnych, warstwa urzędnicza i wykształciuchy z ośrodków akademickich. W Waszyngtonie 92 proc. obywateli głosowało na Hillary Clinton, kilkanaście mil dalej w Pensylwanii proporcje ulegały zmianie. Czy ludzie byli tam gorzej poinformowani, czy tylko poddani mniejszej presji?

Żeby było jasne, dostrzegając historyczny zwrot, nie popadam w jednoznaczny entuzjazm, nie wiemy przecież, jaki świat wyłoni się po cyklu wyborów w Europie. Jakie pojawią się nowe zagrożenia i wyzwania.

Jedno jest pewne, że bardzo wielu ludzi w świecie rozwiniętego Zachodu uznało, że dotychczasowa sytuacja jest nie do zniesienia. ■

eprasa.pl 9137619b50

Tomasz Sakiewicz

Siła Polonii

Ogromną zdobyczą amerykańskich wyborów jest przesunięcie oceny Polonii z elektoratu pasywnego na języczek u wagi. Wygląda na to, że Polacy mogą się ustawić w tej roli na wiele lat, o ile sami nie zmarnują tego potencjału.

Kiedy w czasie mojej ostatniej wizyty w USA mieszkający tam Polacy pytali, na kogo głosować, tłumaczyłem, że kogokolwiek by wybrali, niech nie oddają swoich głosów za darmo. Trzeba najpierw jak najwięcej uzyskać od kandydatów i doprowadzić do licytacji między nimi na sprawy istotne dla Polaków.

O głosy polskie słabo się do tej pory starano. Polacy, podobnie jak reszta społeczeństwa amerykańskiego, połowicznie brali udział w wyborach. Były to najwyżej 4 mln oddanych w nich głosów. Liczbę Polaków w USA ocenia się na 10–12 mln. Przez małżeństwa mają wpływ na kolejnych kilka milionów Amerykanów. Ocenia się, że 60 proc. idących na wybory Polaków wybierało do tej pory demokratów i stanowiło konserwatywne skrzydło tej partii. Ostatnie wybory zmieniły te proporcje. Według Donalda Trumpa, który dysponuje szczegółowymi wyliczeniami, większość Polonii poparła właśnie jego. Oznaczałoby to przesunięcie prawie pół miliona polskich wyborców z demokratów na republikanów. To około 10 proc. spośród głosujących rodaków. Jeżeli tak było, to rzeczywiście polskie głosy zaważyły.

Korzystny dla Polaków system wyborczy

Tak naprawdę nie jest istotne w wyborach na prezydenta USA, ile masz głosów w całym kraju, ale ile w stanach wahających, tzw. *swing state*. Największe polskie skupiska, czyli Chicago i Nowy Jork, nie były w stanie przegłosować demokratów, bo tam ich przewaga była zbyt duża. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w Wisconsin, Michigan i Pensylwanii. Występowały zaledwie kilkuprocentowe różnice głosów i przeciągnięcie jakiejś grupy było drogą do sukcesu. Wprawdzie od 30 lat wygrywali tam demokraci, ale niewielka różnica głosów kusiła, by poszukać jakiejś mniejszości, która może posłuchać republikanów. Z pewnością bardzo kuszącą mniejszością byli Polacy. Lekceważenie, jakie zaprezentował sztab Hillary Clinton wobec Polaków, ułatwiło sprawę. Trump kilkakrotnie spotkał się z przedstawicielami Polonii i obiecywał to, co chcieli usłyszeć: zniesienie wiz dla nas, ochronę militarną Polski i pomoc w zwrocie tupolewa. Czy to mogło mu dać te setki tysięcy głosów? Nie musiało, bo wystarczyło 100 tys. w trzech kluczowych stanach. To 1 proc. wszystkich Polaków w USA i około 2–3 proc. tych z naszych rodaków, którzy tam głosują. Tego już naprawdę nie da się wykluczyć. Przy aktywności w polskich środowiskach jest to wręcz pewne. Tak niewielkie liczby w skali całej grupy bardzo trudno wyłapać w badaniach, ale obserwatorzy w tych stanach twierdzą, że widać było zmianę nastrojów w polskich środowiskach na rzecz republikanów. Tamtejsza Polonia nie jest tak skłócona, jak w Chicago i Nowym Jorku. W Pensylwanii wokół obchodów rocznic Smoleńska i Katynia udało się wręcz zjednoczyć środowiska patriotyczne. Były to kluby „Gazety Polskiej", Rodziny Radia Maryja, miejscowy Kongres Polonii Amerykańskiej oraz organizacje weteranów. Działały one w Amerykańskiej Częstochowie, gdzie pewnie duchowa opieka Królowej Polski dała właściwy klimat do porozumienia.

Nie zmarnujmy tego dorobku

Z niewiadomych przyczyn większość polskich mediów próbuje bagatelizować ten sukces Polaków. Przypominanie o naszej roli w amerykańskich wyborach leży w naszym narodowym interesie. Nawet gdyby ta analiza przeszacowała nasze głosy, to powinniśmy zrobić wszystko, żeby jej nie odrzucano. A wiele wskazuje na to, że głosy polskie rzeczywiście decydowały. Tylko ciągłym przypominaniem tego politykom w USA możemy coś od nich uzyskać. Trzeba prowadzić licytację o polskie głosy.

Wywiad Trumpa w tej sprawie dla telewizji Polonia może być potężnym atutem, niestety, atutem na razie przemilczanym. Drobne interesiki rozparcelowują polskie interesy. ■

eprasa.pl 9137619b50

niezależna

eprasa.pl 9137619b50